

ARCHIWUM POLSKIEJ FANTASTYKI

Czesław

BIAŁCZYŃSKI

UCZEŃ CZARNOKSIĘŻNIKÓW

WOJNY HAOLTAŃSKIE 2



Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Skąd się wzięły ogniste folio\(a\)tomy – skrót od tłumacza](#)

[Krótkie wprowadzenie w sytuację na CO2](#)

[Uczeń Czarnoksiężników](#)

[T. Profesor Hokus](#)

[R. Wszechstronnie uzdolniony](#)

[Y. Jak meteor](#)

[U. Zagadka](#)

[M. Człowiek, którego nikt nie zapamiętał](#)

[F. Nic albo wszystko](#)

[– . W akcji](#)

[P. Semabirynt jaźni](#)

[S. Bez dna](#)

[I. Przyjęty w Królestwo Intuicji.](#)

[Uprowadzenie Intuicjonała wszech czasów, na CO2 Akt przedostatni](#)

[Przypisy](#)

Czesław Białczyński

Wojny Haoltańskie 2

**Uczeń
czarnoksiężników**

SOLARIS
Stawiguda 2015

Skąd się wzięły ogniste folio(a)tomy – skrót od tłumacza

Ponieważ to ważne, skąd się wzięły i czym są Ogniste Foliały, nazywane też Ognistymi Folio-a-tomami, a być może nie wszyscy z was znają pierwszy tom Wojen Haoltańskich, zdecydowałem się tutaj w skrócie bardzo mnemokoncentrycznym opowiedzieć wam o tym. Było to tak: Któregoś wczesnego ranka, kiedy wracałem do atelier po jednym z przyjęć, drugiego lutego 2085 roku naszej ery, po hucznym fetowaniu początku Chińskiego i Słowiańskiego Nowego Roku, w porze szarego świtu, wzrok mój przypadkiem padł na biurko stojące w odległym kącie, pod samym oknem wychodzącym na wschód. Z pewnością zbieg okoliczności to sprawił, iż właśnie oświetlił je pierwszy promień czerwonego jak krew, zimnego i małego jak malinowy lizak, lutowego słońca. W jego blasku pnący się pod sam sufit stos książ, którego wczoraj jeszcze w ogóle tam nie było, pokrył się rudymi refleksami, zwracając mą uwagę. Rude płomyczki rychło nabrały mocy, przeradzając się w pomarańczowe siedlisko ruchu tętniące własnym pulsem. Patrzyłem urzeczony, jak ów stos książ dziwnych, bo na pierwszy rzut oka niepapierowych, jak ów stos lśniący w karminowych promieniach wschodu przeradza się w znane mi dobrze symbole, zmienia formę i kolor, zmienia rytm i walor, wreszcie przybiera kształty oczywiste, nie do zlekceważenia; jak upodabnia się do Gorejącego Krzaka objawionego Mojżeszowi, przybiera wygląd ognistych słupów, na których spłynęła Arka Przymierza, pała oślepiającym blaskiem uprząży rydwanu, którym powoził Helios, formuje się

w płomienisty miecz Archaniola Gabriela, użyty przeciw naszym Rodzicom, i w języki stosów ofiarnych świątyń Amona, Ptaha, Isztar, Baala, Quetzalcoatla, Zeusa, Afrodyty, Ozyrysa, Taranisa, Thora, jak przybiera kształt Ognistego Dzbana Zerywanów, Świetlistej Czary Światowida, Peruna, Swaroga i Wodo, oraz kształt Złotego Jarzma Prowego, Rgła, Radogosta, Marduka, Thota i Varuny, Złotego Pierścienia Dażbogi – Pani Niebieskiej, Mokozy – Pani Przeznaczenia, Trimurti, Utixo, Unkulunkulu, Złotej Gałęzi Spora i Dziewanny, Tangaloa, Kwan-ti, Rai-Dena, a nawet w emanujący zarem Astram Kriszny. Nie sposób pozostać obojętnym wobec tego typu znaków. Mogą być ostrzeżeniem jak zjawą Gully Foyle’a, którą widywał i której nie pojmował, lub ognie świętego Elma, albo objawieniem, które otwiera przed umysłem zupełnie nowe perspektywy niczym olśniewający blask towarzyszący wniebowstąpieniu, nirwanie, światło czakramów. Księgi nie były zwyczajne, jak już rzekłem. Ogniska nocy Świętego Jana – Wodo-Kupały. Co w nich niezwykłego, odkryłem wkrótce, kiedy podszedłem bliżej i z niejaką obawą dotknąłem ich dłonią. Zrobiono je z trójwymiarowej folii i były nadzwyczaj chłodne, po prostu zimne, aż bolały palce. Kierowany ciekawością przytknąłem do pierwszej z brzegu folii termometr. Zero stopni Celsjusza. Wziąłem ją w dłoń – jakbym nic w niej nie miał. Pobiegłem do łazienki po wagę, bardzo wrażliwe urządzenie z elektronicznym czujnikiem. Położyłem tom na szalce. Ani drgnęła. Znów zero? Nieważka. Dołożyłem drugi tom, na oko dwa kilo, na skali nic. Tak niespotykane fakty są wystarczająco niepokojące, by natychmiast wytrzeźwieć i żeby człowiekowi odechciało się spać na dobre. Od razu zabrałem się do wertowania zestawu dzieł. Było tego dwadzieścia cztery tomy i już w pierwszej księdze, na pierwszej stronie znalazłem klucz

do rozszyfrowania obcojęzycznego tekstu. Znajdowały się tam pokrywające stronicę od góry do dołu sześciany. Naliczyłem ich siedemset trzydzieści. Trzysta sześćdziesiąt pięć zielonych w kolumnie po prawej oraz trzysta sześćdziesiąt pięć czerwonych w kolumnie po lewej. Od razu zorientowałem się, że sześciany czerwone odpowiadają zielonym i są ich tłumaczeniem na nieznaną naszej cywilizacji język o zapisie hieroglificznym. Pierwsze z nich przedstawiały doskonale widoczne na wszystkich sześciu płaszczyznach każdego z sześcianów sceny z życia bądź pojedyncze przedmioty, drugie zaś skomplikowane znaki zbudowane z grubych, zamasztych kresek stanowiących osnowę oraz plątaniny cienkich linii wypełniających kontur tak utworzonego szkieletu. Nie wszystkie rysunki i zdjęcia potrafię jednoznacznie określić, przedstawiają one bowiem często przedmioty, jakich nigdy nie widziałem, których przeznaczenia nie potrafię zidentyfikować, oraz niezrozumiałe dla mnie sceny obrzędów bądź zwyczajnych zajęć codziennych (doprawdy trudno powiedzieć) z tamtego obcego mi świata. Na szczęście świat z obrazków nie był całkiem mi obcy, momentami nawet zaskakująco znajomy. Od tamtego dnia rozpoczął się nowy rozdział w moim życiu. Rozdział wypełniony mrówczą pracą, z lupą i mikroskopem w ręku, w otoczeniu słowników literatury fachowej, z komputerem brzęczącym nieustannie za moimi uszami. Zaiste nie mam pojęcia, czy tekst, który z takim trudem odcyfrowuję, jest tego poświęcenia wart. Do tej pory przetłumaczyłem tylko dwa z tych opasłych tomów. Ten jest drugi, który właśnie oddaję w ręce Szanownych Czytelników. Ciągle dręczy mnie przecucie, że niezwykły język interlingua oraz jego zapis – interlinlla kryje przede mną jakieś drugie dno, do którego mój przekład nie sięga, które jest hermetyczną

twierdzą pełną zakamuflowanych sensów i znaczeń niedostępnych naszej zbyt ograniczonej wyobraźni. Niestety, na dobrą sprawę nie ma żadnej gwarancji, że posiadane przeze mnie księgi wszystkie dotyczą tej samej historii, tej samej osoby, tej samej epoki historycznej. Jedyłą solidniejszą wskazówką jest tutaj tytuł przetłumaczonego już tomu pierwszego. Rzecz zrozumiała, nie potrafię w żaden sposób wyjaśnić pochodzenia Książ, w każdym razie wyjaśnić w kategoriach naukowych. Mam kilka teorii. Wiele na przykład przemawia za tym, że jest to relacja z przyszłości naszego własnego świata, która pierwotnie nie była przeznaczona dla nas, lecz dla żyjących w Teraźniejszości Autora rzesz odbiorców. Jakimś sposobem magicznym, lub przez dziurę w czasie (?) wymknęła się mimo wszystko w przeszłość. Niekiedy odnoszę jednak wrażenie, że została celowo nam dostarczona – wrzucona w nasz czas. Równie dobrze mógł tego dokonać sam autor jak i ktoś inny. Być może Jan San doszedł do wniosku, że wyprzedzając swych wrogów publikacją o wiele wieków, zabezpieczy się, zapobiegnie temu, co przeciw niemu zaplanowali. Być może stało się inaczej; wrogowie Jana San wyekspediowali w przeszłość jego dzieło, gdyż pozbywszy się wpierw jego samego chcieli usunąć ostatni ślad po nim w Teraźniejszości, w której żyją. Są to tylko spekulacje, i wszystko inne w naszej sytuacji może być tylko spekulacją, która przeważnie z prawdą miewa tyle wspólnego co orka z orkanem, organy z organem albo Orfeusz z Morfeuszem. W jakim celu właśnie nam dostarczono ów tekst, jeśli wykluczamy przypadek? Może wyjaśnią tę kwestię inne tomy. Jedno jest pewne, adresatem tej przesyłki przez wieki na pewno nie byli nasi naukowcy, których zamierzano by tym sposobem zaznajomić z technologiami używanymi w przyszłych

tysiącleciach. Ludziom z tamtych czasów musiało być bowiem wiadome, że w wieku dwudziestym naukę opanowali szarlatani, których bóstwem jest logika, liturgią matematyka, a obsesją powtarzalność zdarzeń i dotykalność rzeczy. Tymczasem zaś nie wszystko da się dotknąć i nie każda sytuacja się powtarza. Powiedziałbym nawet, iż prawie nic się dotknąć nie pozwala i żadna sytuacja się nie repetuje. Jest oczywiste, że żaden naukowiec nie zainteresuje się czymś, czego sam nie wymyślił, co nie da się zważyć i nie ma atestu najważniejszych na świecie autorytetów. Taka rzecz bowiem, a każdą z trzech powyższych cech posiadane przeze mnie księgi reprezentują, z góry jest podejrzana o falsyfikację zgodnie z żelazną logiką twierdzenia Van Heter Odyna, które mówi, że współczynnik podejrzliwości rośnie wprost proporcjonalnie do liczby obowiązujących w danym świecie praw matematycznie ujmowalnych oraz odwrotnie proporcjonalnie do stopnia posiadanej przez daną cywilizację rzeczywistej wiedzy o wszechświecie. Lustrzane twierdzenie określa stopień zaufania nazywany przez Van Heter Odyna współczynnikiem wiary. Zastanawiające jest dla mnie także, że kiedy usiłowałem pokazać posiadane dzieła memu serdecznemu współpracownikowi Logisowi Ratio, ten w ogóle nie zauważył piętrzącego się pod sufit stosu. Cóż, powiedziałem sobie, nie każdemu jest dane wiedzieć i rozumieć wnikliwie, nie każdy może się wznieść w ulotne krainy wyobraźni i intuicji, na pewno nie dokona tego żaden skrajny racjonalista. Pozwolicie więc, racjoniści, którzy zechcecie podważyć autentyczność przetłumaczonego przeze mnie tekstu, że z całym szacunkiem dla was pomnę lekceważącym milczeniem wasze argumenty z hermetycznej krainy Kultu Nieomylnego Rozumu.

Czesław Białczyński

Kraków 85 – 05 – 15,
rozmiar buta 41.

Krótkie wprowadzenie w sytuację na CO₂

Trzeci tydzień siedziałem na CO₂ – planecie bardzo bogatej w dwutlenek węgla i opanowanej całkowicie przez Sektę Elpikowców. Złapany w niewolę przez Rei Furra Łapsa, zamknięty w klatce liściatce wśród przekształcających się intensywnie w rośliny pseudoludzi w rodzaju Certariona i innych fanatyków masowego przekształcenia i przystosowania Ludzkości. Skazany na śmierć. Nie, nie na śmierć fizyczną, lecz na Wielkie Przeobrażenie w Liścioporost Świadomy, Liścioporost Wieczysty – toż to gorsze niż makabryczne piekło wymyślone przez jedną z pradawnych religii. Ratując się przed śmiercią, obiecałem im cały mój majątek i dali mi inkaust i księgę, bym ten majątek spisał i wymienił. Ja tymczasem piszę księgę inną, Księgę Tajemną, księgę mego życia, za pomocą soku cytrynowego...

O czym to ja... w poprzednim tomie, na czym to ja????!

Sytuację pogarsza ta ich diabelska taktyka trzymania mnie cały czas pod presją zagłady, z wyrokiem „przeobrażenia” na karku i na prochach, które mi sypią do zupy jak kotu sperkę. ...Na czym to ja skończyłem poprzednią opowieść... Ach, tak!!! Już wiem. Wybaczcie, ale mgła mi zasnuwa umysł, mgła gęsta niczym nieprzenikniony Welon Mojry, mgła spreparowana z narkotycznych wizji, mgła namacalna, ale tak nierzeczywista, jak ta przysłowiowa już od wieków mgła smoleńska. ... Aha!!! Dobra. Mam trop. Wreszcie wraca mi pamięć.

Ja, intuicjonał wszech czasów, posiadacz gigantycznych mocy

PSI, zostałem podstępnie zwabiony na CO₂ przez zamachowców haoltańskich działających pod płaszczykiem wszechkosmicznego czasopisma o biliardowych nakładach, zwanego „Światem Fantastycznym”... Porządek. Pożądanie. „Świat Fantastyczny” i „Fantastyka Światowa”. Haoltańczycy i Chaostańczycy. Stąd całe nieporozumienie. Prosta zbieżność fonetyczna. Wydaje mi się, że powinniśmy się cofnąć jeszcze dalej. Najdalej, jak to możliwe. Poza dzieciństwo pamięć moja nie sięga... Nie. Nie mam ochoty mówić o dzieciństwie ani grzebać się we własnej genealogii, na razie... Ważna jest jednak szkoła. Bez szkoły, bez szczegółów na temat Akademii Psionicznej w Krakatos nie potraficie właściwie ocenić całego dalszego ciągu. Ludzie, których tam spotkałem, atmosfera, którą przesiąknęłam, wydarzenia, w których brałem udział, ukształtowały w dużym stopniu moje nastawienie do całej rzeczywistości. Takie wykłady, jak te profesora Mroka, czy ćwiczenia medytacyjne z mistrzem Peng Think albo mistrzem Kayano, nie pozostawiają na tym samym miejscu ani jednego segmencika osobowości i trwale zmieniają percepcję. Świat przestaje się jawić człowiekowi jako bezsens i bezlik chaotycznych wydarzeń, staje się zamkniętym systemem o ścisłych powiązaniach i przyporządkowaniach. Po kursie Fairsightera, Starra albo Sichta znika wszelka naiwność wpleciona w takie pojęcia jak wolność, konieczność, hierarchia, wszechświat, fikcja, rzeczywistość. Akademia w Krakatos jest stanowczo najniesamowitszym i najbardziej zwariowanym miejscem, jakie istnieje w Naszej Galaktyce. Muszę ją wam opisać, zwłaszcza że już tam błysnęły moje zdolności, i to do tego stopnia, że czteroletni kurs nauczania pozwolono mi skrócić do lat dwu! Co prawda potem o mały włos nie oblałem końcowego Egzaminu, ale to inna historia. Zatem

uwaga!:

Uczeń Czarnoksiężników

T. Profesor Hokus

Kiedy to się wydarzyło, profesor rektor Hokus był już bardzo stary. Od paru lat przysięgał sobie, że wreszcie odejdzie na emeryturę, zostawiwszy młodszym od siebie i bardziej krewkim cały ten, delikatnie mówiąc, „bałagan”, zwany też pieszczotliwie przez wszystkich uczestników przedsięwzięcia, nie wyłączając kadry naukowej, PsiAkiem. Rzeczywiście, profesor był już tak leciwy, że prawie nie wyczuwał u siebie tętna, a krew tak słabo krążyła w jego kruchych żyłach, iż ciągle czuł grobowy chłód; w środku lata wkładał na siebie po kilka grubych swetrów. Nie dopisywał mu też specjalnie słuch i wzrok, dawno przestał odczuwać radość z powodu tak prozaicznych czynności jak sen i odżywianie, od czasu do czasu miewał kłopoty z lewą nerką i prawym płucem oraz prawą dłońią i lewym kolanem. Szczególnie irytowało go, że codziennie po wstaniu z łóżka (w którym nawiasem mówiąc prawie już nie bywał; dwie godziny snu na dobę zupełnie mu wystarczały – poza drzemkami, w które ustawicznie w ciągu dnia zapadał) musi się ubierać, myć, golić, czesać siwe włosy, a każdego wieczoru na odwrót – rozbierać się, myć zęby, wkładać pidżamę, wyjmować szkła z oczu. Idiotyczny rytuał tych samych od niepamiętnych czasów czynności, gestów i niemal symbolicznych znaków powtarzał się z supernudną identycznością. Ukształtowany raz na zawsze w rygorystyczny kaftan nawyków. Nawyki, w które staruszek obrósł przez lata

obcowania ze światem realnym i mniej realnym, a także zupełnie niemal fikcyjnym, utworzyły z biegiem czasu rodzaj pancerza, sztywnego uniformu, jakiegoś pokraccznego pseudoszkieletu, który zupełnie niespodziewanie i zaskakująco ograniczał jego, Hokusa, umysł. Wpijał się w osobowość – sprawiał, że profesor dusił się i zużywał energię w coraz większym stopniu na bezpłodną grę z samym sobą, a raczej z tym właśnie szkieletem pancernym nawyków, dodatkowo wzmocnionym przeciwnościami rozsypującego się ciała, odmawiającej współpracy pamięci i systemu nerwowego. Prawdę mówiąc, rozważał już tylko dwie możliwości. Pierwsza – natychmiastowa anabioza, która pozwoliłaby mu jeszcze raz ujrzeć zmienione oblicze świata za jakieś sto, może dwieście lat. Ciekawość pozostawała jedyną, ciągle niezaspokojoną krynicą jego jaźni i sprawiała, że każdego następnego poranka profesor Hokus przewycięzał uparcie swą niechęć do spodni, koszuli oraz maszynki do golenia i zwlekał się z posłania. Druga – jeszcze jeden rok intensywnych zajęć na uczelni, choć w rzeczywistości ograniczonych do funkcji reprezentacyjnych. Mimo wszystko czynności wszak wystarczająco męczących, by anabioza w przyszłości przestała być możliwa w związku z nadmiernym procentowym zużyciem organizmu.

W tym drugim przypadku ciekawość odgrywała rolę wcale nie mniejszą niż w pierwszym, bowiem rok obecny zapowiadał się szczególnie. Zasłużony i wysłużony profesor Hokus ciągle piastował funkcję rektora, ale faktycznie od paru już lat w podejmowaniu poważniejszych decyzji zastępował go Mrok. Mrok był o wiele młodszy i przede wszystkim jako gwiazda Wydziału Prekognicji i Jasnowidzenia bardziej, jak się zdawało, predestynowany do pełnienia zadań kierownika instytucji, która

posiada (jeśli tak się można wyrazić) całe legiony niespożytych w pomysłowości wrogów i równie liczne szeregi zwolenników – słowem, znajduje się w centrum uwagi, czyli w nieustannym ogniu walki. Kiedy iks lat temu (sam nie pamiętał dokładnie ile) przyjmował na siebie ciężar odpowiedzialności związanej ze stanowiskiem rektora, zdecydował o tym wyborze przede wszystkim fakt, że jako jedyny z nielicznego grona praktykujących mistrzów i dziekanów posiadał tytuł supermistrza Iluzji. Był to czas dziwny. Czas trwającej od pięciuset lat eksplozji potęgi Ziemi stowarzyszonej z setką innych planet w lokalnym sojuszu, który coraz częściej zwano Układem Solarnym, chociaż oficjalnie nosił miano Rady Planet. Coraz częściej też tu czy tam pojawiała się określenie Metropolia zamiast Ziemia.

Był to czas, gdy cały system słoneczny znajdował się w generalnej przebudowie. Czas wielkich przedsięwzięć, straszliwych załamania, bankructw na skalę kosmiczną i wzrastania kosmicznych fortun, tworzenia spółek, kooperatyw na wariackich papierach, eksportu najwybitniejszych indywidualności i najlepszych towarów, importu najprzedziwniejszych bezużytecznych przedmiotów oraz idei i odkrywania niewiarygodnych możliwości tkwiących w przedmiotach użytecznych i od milionów lat użytkowanych (na przykład mózgu), lecz mało efektywnie. Był to więc czas dobry dla takich przedsięwzięć jak Akademia Psi, ale dobry tylko pozornie. Ziemia co prawda przeżywała trzecią młodość, lecz trudno było wymagać od starego serca, by, tak samo sprawnie jak młode, tłoczyło starą krew (zamiast młodej) w nadżarte zębem czasu arterie ziemskiej cywilizacji i żeby przy tym wszystkim obyło się bez mniejszych bądź większych

niedomagań. Planeta, zalewana obcymi prądami i ideami, tysiącami obcych przedmiotów i myśli, dławiała się od ich nadmiaru, nie potrafiła wchłonąć tej olbrzymiej kulturo-towarowej masy bez czkawki, mimo długiego okresu, jaki minął od nawiązania pierwszych znaczących kontaktów z innymi cywilizacjami. Ludzie byli zmęczeni nowością, żyli w szoku ciągłych przemian i zaskoczeń, nieustających innowacji, i marzyli o chwili spokoju, oddechu i ciszy. Nie chcieli już widzieć więcej obcych twarzy (choć prawdę powiedziawszy 80% odkrytych w wyniku Wielkiego Kontaktów cywilizacji zewnętrznie, a często i w głębszych warstwach, niewiele różniło się od cywilizacji ziemskiej). Nie chcieli słuchać obcej mowy, nie chcieli używać nowych technologii, posługiwać się nowymi urządzeniami, i po tych pięciuset latach mieli dosyć jakiegokolwiek kontaktu, także Wielkiego. A władze? Wiadomo, władze tworzą ludzie. Całą uwagę władz pochłaniało szybkie przyswojenie i przemysłowe wdrożenie tej masy nowinek, przebudowa systemu planetarnego, zabiegi i wybiegi dyplomatyczne, mające zapewnić Ziemi jak najlepszą pozycję w tworzącej się wspólnocie, oraz plany dalszych kolonizacji i ekspansji. Jeszcze jeden pomysł, który siłą rzeczy musiał powiększyć panujący chaos i destabilizację, nikomu nie był do szczęścia potrzebny, a już najmniej Władzy. Na dodatek wypłynął on z wewnątrz i w sytuacji ogólnego przesytu, zakorkowania, zadławienia się informacyjnego, stanu chorobliwego permanentnego przeżarcia się instytucji badawczych i naukowych, które nie potrafiły tego wszystkiego przetrwać. Mógł nawet wyglądać na podstępny cios w plecy, zadany ręką własnych synów cywilizacji podrygującej na jednej nodze przy skraju przepaści. Tak więc w rzeczywistości sytuacja

nie sprzyjała rozpętywaniu szumu wokół psitalentów i była o wiele bardziej skomplikowana niż obecnie – wręcz niekorzystna. W latach wcześniejszych nic nie wskazywało na możliwość eksplozji na wyeksploatowanym i zagrzebanym w piachach zapomnienia, peryferycznym poligonie psioniki. Wręcz odwrotnie, po ciosach zadanych telepatii przez doktora Plaine w 869 n.n.e., generalnej rozprawie z różdżkarstwem, wróżbiarstwem i prekognicją dokonanej przez simplerystów w 884 n.n.e. pod przywództwem profesora Simplemana, oraz po ostatecznym podważeniu zasadności horoskopów astrologicznych w rozprawie „Wrzody żołądka i gwiazdy w świetle promieni Roentgena” Diletusa Coarse’a z 913 roku n.n.e. psionika wydawała się być ostatecznie pogrążona i wypchnięta za burtę współczesności. Jak zwykle jednak bywa, kilka niezwiązanych ze sobą pozornie odkryć otworzyło, początkowo nieuświadomianą, lecz rychło oczyszczoną, drogę ku restauracji. Dzieła dopełnił John Waster zastosowaniem nowych technik hipnopedycznych oraz filozof Sasza Morus, który rozwinął szczegółowo, podaną dotychczas jedynie w ogólnym zarysie, nowoczesną wersję filozofii multystycznej.

W omawianych latach 1098–1153 powstały więc wszelkie warunki do wybuchowego odrodzenia nauk psionicznych, tym razem na solidnym gruncie matematyczno-fizycznej wymierności. Tak też się stało. Grupa relegowanych przez wszelkie porządne uczelnie zapaleńców w roku 1215 n.n.e. założyła Akademię Psi. W początkowej fazie Akademia raz po raz rozsypywała się niemal w proch pod ciosami rozjuszonych obrońców starego porządku, starej nauki, starego prawa i prawodawstwa oraz dawnej moralności. Jak już wspomniałem, ludzkość miała pewne kłopoty z przystosowaniem się do nowej

po Wielkim Kontakcie sytuacji i nie życzyła sobie więcej zmian, zwłaszcza o charakterze gwałtownym, niosących w sobie zarodek światopoglądowej rewolucji. Idea wykorzystania psitalentów u homo sapiens mogła znów zburzyć hierarchie, które z trudem się wytworzyły, i przewrócić nowe filozofie klasyczne, które jeszcze nie okrzepły w swym klasycyzmie. Zatem, i nic w tym dziwnego, filozofowie i socjologowie pospołu z psychologami oraz fizykami, wspomagani przez biologów, filologów i matematyków wytaczali na szaniec coraz grubsze armaty swych dyscyplin, by oddać druzgocące salwy zawyłych, dla nikogo prócz nich samych niezrozumiałych argumentów, wywodów i wzorów, w wątle mury obronne zwolenników rozwijania zdolności psi i kształtowania z pożytkiem dla wszystkich tych nielicznych egzemplarzy ludzkiej fauny, które takie talenty choć w minimalnym stopniu posiadały. Zadaniem Hokusa jako drugiego po L'Audalu rektora było wtedy sprawić, aby owe groźne strzały nie osiągnęły więcej niż uderzenie kulą w płot albo walenie głową w mur – według ludowych porzekadeł – i wypełniał tę misję bez zarzutu, angażując całą swą iluzjonistyczną wiedzę i zdolności. Udawało mu się to niezgorzej, choć czasami przypominało popisy najwyższych lotów ekwilibrystyki – stąpanie nad kanionem ulicy między szczytami dwóch igłowców po linie..., której wcale nie ma. Za kadencji Hokusa niebezpieczeństwo bezpośredniej likwidacji Akademii zostało zażegnane, a ludzkość przekonana dzięki jego reklamowym sztuczkom magicznym o pożytku, jaki z utrzymania PsiAka płynie, zaakceptowała go na tyle, żeby przestać się nim zajmować i zapomnieć o jego istnieniu. I niechybnie zapomnieliby całkowicie, gdyby nie to, że Hokus oraz jego specjaliści od reklamy przypominali jej od czasu

do czasu, iż są i działają – pojawiali się na dwie, trzy minuty w centralnym dzienniku HV (nie częściej niż dwa razy w roku), by nie wdając się w szczegóły wygłosić pean o najnowszych osiągnięciach Akademii lub hymn dla jakiejś grupy adeptów, która mogła poszczycić się choćby najdrobniejszym udanym eksperymentem. Hokus wolałby tego nie robić, najlepiej byłoby siedzieć cicho, ale kierowała nim konieczność zapewnienia kolejnych dotacji na dalsze, pracowicie stawiane gmachy i rozbudowywane podziemne labirynty. Metropolia musiała być na sto procent przekonana o olbrzymim pożytku, jaki rzekomo PsiAk jej przynosił, by z czystym sumieniem za to wszystko, co Hokus sobie wymyślił, płacić. Naprawdę zaś w pierwszym okresie pożytki z Akademii nie płynęły żadne; rekrutacja szła opornie, psitalenty sprawowały się marnie, metody uaktywniania ośrodków podkorowych okazywały się nie dopracowane, a sukcesy były tak iluzoryczne jak złote naszyjniki, kolie i diademy, które Hokus wyciągał ze swego czarnego kapelusza, chociaż włożył weń wcześniej wyłącznie swoją osobistą, kolorową chustkę do nosa. W stworzonej przezeń, jak ją zwykł nazywać, „iluzyjnej przestrzeni” Akademia miała jednak czas okrzepnąć, rozrosnąć się, nabrać rozpędu i rozmachu. Hokus miał powody, by być z siebie zadowolonym. Po kilkudziesięciu latach początkowo ostrego naporu i burzy na placu boju nie dość, że nie pozostał niemal żaden oponent, to jeszcze do tego żadna właściwie licząca się konkurencja. Szczęśliwie dopomógł tu traf. Okazało się, że Ziemianie spośród wszelkich ówczesnie znanych kosmicznych nacji posiadają najlepiej rozwinięte odpowiednie ośrodki w mózgu i są bezkonkurencyjnymi psitalentami. Nie znaczy to, że gdzie indziej w ogóle ich nie było. Także z czasem uczniowie PsiAka,

otrzymawszy dyplomy mistrzów, rozjeżdżali się po sąsiednich systemach gwiazdnych, gdzie zakładali swe własne szkoły. PsiAk nie stał się więc jedynym ośrodkiem kształtującym myśl psioniczną, ale gdyby dobrze policzyć, zaledwie siedem centrów poza Akademią miało obecnie jakiegokolwiek znaczenie.

Profesor Hokus wysiadł właśnie z ixara, który przeniósł go z lotniska wprost pod okazały, jak przystało na rektora, dom. Usiłował odegnać przykre myśli i falę zalewających go wspominek, które tylko uświadamiały mu jeszcze ostrzej, jak jest już stary i niedołączny. Dom stał pusty i ciemny od miesiąca. Hokus z roztargnieniem przyłożył dłoń do zamka, a gdy ten szcęknął, rozpoznał jego linie papilarne, przekroczył próg pogrążony w swych niewesołych rozważaniach. Natychmiast we wszystkich pomieszczeniach zapłonęły jaskrawe światła, owiał go dobrze znany zapach ambry, który automaty poczęły sączyć przez klimatyzację wraz ze świeżym powietrzem. Profesor nie lubił półcieni, bał się ciemności, dlatego zawsze programował pełne oświetlenie, a ambra kojarzyła mu się z bezpieczeństwem rodzinnego domu, piersią matki używającej perfum wyłącznie o tym zapachu. Przez swe zaangażowanie w sprawy publiczne profesor poświęcił zupełnie swe życie prywatne, nie miał go, nie miał też rodziny, przyjaciół, bliskich i dalekich znajomych, nie bywał na przyjęciach i nawet nie miał jakiegoś hobby, któremu by się oddawał po pracy. Nie miał na te bzdury czasu, ale nie żałował tego. Tylko chwilami miewał napady paraliżującego strachu i obawiał się, że umrze nie zdążywszy sięgnąć po pastylkę z podajnika. Mimo tego nie narzekał nigdy, był nawet zadowolony. Wystarczyło mu, że od dziesięciu lat nie zanotował żadnej napastliwej wypowiedzi w HV ani nie napisano żadnego krytycznego artykułu o dziele jego życia. Tak, mógł być zadowolony. Akademia cieszyła się ogólnym szacunkiem, program nauczania realizowano bez opóźnień, przybywały coraz to nowe gmachy i urządzenia

techniczne, fundusze miały się dobrze, a całą konkurencję stanowiły procyońskie Towarzystwo Indalla, Vegan Psionik Institut, Nadświeltna Korporacja Telepatyczna, Wolne Zrzeszenie Pozazmysłowych Doświadczeń z Marsa i Federacja Organizacji Antytradycji, Pseudonauki, Parafilozofii oraz Hiperwglądu. Można je było wepchnąć do jednego niezbyt obszernego worka i utopić w jowiszowym oceanie metanu bez zmrużenia powiek. Pozostawały jeszcze dwie, dosyć potężne – Blok Teoretyków Biopola z Syriusza oraz również syriańska Akcja Umysł Bezpośredni – ale działania tamtych szły w innym kierunku, zwłaszcza że wszystkie znane cywilizacje Syriusza (a jest ich osiem), chociaż oparte na białku węglowym, są niehumanoidalne. Mógłby więc Hokus odejść na zasłużoną emeryturę, przestać się kłopotać tysiącem spraw związanych z funkcjonowaniem Akademii, pozwolić odpocząć w anabiotycznej trumnie swym umęczonym członkom, a jednak ciągle się wahał, nie potrafił podjąć decyzji.

Teraz krzątał się po pustych pokojach, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, po przyspieszonym o miesiąc powrocie z Danterolingii, zwanej potocznie Piekłem, gdzie w siarkowych wodach oraz borowinowych okładach leczył reumatyzm atakujący lewy łokieć i prawą stopę. Cóż takiego powodowało ten dziwny niepokój i podniecenie starego supermistrza iluzji, coż mogło go do tego stopnia wytrącić z równowagi, ożywić zamierające krążenie krwi, że podbiegł do podajnika i połknął, nie popijając wodą, dwie tabletki przeciw nadciśnieniu?! Nie było to w istocie nic zwykłego. Chodziło o niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad ukochanym tworem profesora, nad jego wypieszczonym dzieckiem, nad hołubionym, pielęgowanym, wychuchanym, wymuskany owocem jego działań i przemyśleń, słowem nad PsiAkiem! Straszliwa groźba miała się zmaterializować właśnie w tym roku! I nie wiadomo, nikt nie wiedział, w jaki sposób temu zaradzić! Owo fatalne

wydarzenie zapowiadano już od jakiegoś czasu. Pierwszą wieść o tym ogłosił pełen ciemnych przeczuć mistrz hiperwglądu Chypotess prawie dwieście lat temu, gdy podczas jednego z seansów, w trakcie których zwykł się wprawiać w ekstazę za pomocą voodoo, wypowiedział następujące słowa: *Czarny Smok nie śpi wciąż. Zżera księgi niczym wąż. Nasycony w sen zapada. Co ćwierć wieku się najada. W proch, w perzynę się obróci. Dla swawolnych swoich chuci w naszą stronę zwraca kły, pożre Akademię Psi.* Ten ośmiowersz lotem pioruna, jak wszelkie hiobowe wieści, obiegł wydziały Akademii w jedno popołudnie i wzbudził liczne komentarze. Jedni sądzili, że Chypotess jest nie bardzo przy zdrowych zmysłach, a voodoo nie jest najlepszą techniką jasnowidczą, ponieważ nie odwołuje się do wrodzonej nadwrażliwości, a kładzie nacisk na elementy spirytystyczne. Powiadali więc, że w związku z tym nie ma się czym przejmować. Drudzy popadali w przygnębienie, zwłaszcza okultyści, i przywoływali liczne precedensy trafnego użycia techniki voodoo z historii, szczególnie zaś bezbłędne wskazania ofiary przeznaczonej przez siły pozazmysłowe na śmierć, których tysiące udokumentowano, poczynając od starożytności. W każdym razie wierszyk Chypotessa zapisano w annałach i przez następne lata obrósł w liczne interpretacje, nie przejmowano się nim jednak specjalnie. Tyle że w miarę zbliżania się do wyznaczonej przez Chypotessa chwili pojawiało się coraz więcej meldunków, które potwierdzały bądź uzupełniały jego wieszczcze przypuszczenia. W zeszłym roku w Senacie Akademii nie mówiono już o niczym innym, jak o nadciągającym kryzysie. Moment został wyraźnie określony przez jasnowidzów z katedry Mroka: rok następny. Nie potrafili powiedzieć nic bliższego, chociaż wielokrotnie udawało im się

w mniej ważnych sprawach ustalić czas wystąpienia jakiegoś zjawiska co do dnia, godziny i minuty. Nie dziwiło to nikogo, bowiem Fairsighter już w roku 1398 określił owo zjawisko jako regułę związaną z Pierwszym Prawem Komplikacji: „Zjawisko szczegółowe o zawężonej lokalizacji przestrzennej i skutkowo-przyczynowej jest interpolowalne czasowo z większą trafnością tak wstecz jak i w przód, niż zjawisko natury ogólnej lub o rozległych powiązaniach skutkowo-przyczynowych albo nieprecyzyjnej lokalizacji przestrzennej”. Fakt, iż jasnowidzom nie udało się precyzyjnie określić czasu katastrofy, rokował niepomyślnie, ponieważ zgodnie z powyższą regułą znaczył, że mamy do czynienia z lawiną rozległych powiązań s-p (skutkowo-przyczynowych) bądź z nieidentyfikowalnym źródłem zakłócenia w przestrzeni, czyli z wielością źródeł albo z dużą odległością źródła od celu (Akademii). Także zaświatowe sondowania okultystów i analizy intuicyjne wciąż były zbyt mętne, choć zgodne, jeśli chodzi o chwilę: następny rok. Zjawisko, które zagrażało PsiAkowi, musiało być szalenie specyficzne i nieuchwytnie, skoro czasowy interwał kilku miesięcy wystarczał, by pogmatwać linie prognoz i obrazy do tego stopnia, że nie udało się zdobyć żadnych konkretniejszych informacji o charakterze mającego nadejść przesilenia. Budziło to pośród kadry naukowej duży niepokój. Niepokój ten stał się w końcu tak wielki, że padł na sesji wiosennej Senatu projekt przeniesienia Akademii do jakiejś tajnej kryjówki, jako że Krakatos zdawał się miejscem zbyt eksponowanym i niebezpiecznym.

Na marginesie wyjaśnię tu, że Krakatos to nieco mniej poetyczna nazwa miasta, w którym zlokalizowano PsiAk, a które wcześniej w różnych epokach nosiło wiele różnych nazw.

W okresie greckim nazywano je Caroduna, w celtyckim Karodunon, w późnorzymskim na przykład nazywano je Cracovia, w Okresie Różnych Języków różnie, przykładowo: Cracow, Krakau, Kpakob, Kraków. W epoce Logos, która nadeszła potem, Kraków połączył się w jeden olbrzymi kompleks administracyjno-przemysłowy z Katowicami i nosił jedynie numer – 1247. Wielka Rewolucja Ekologiczno-Humanistyczna, odbierając władzę technokratom przywróciła szczyptę romantyzmu mocno nadszarpniętego przez dwa ponad wieki panowania absolutnego logos, zwracając miastu historycznie mu przynależny pierwszy człon nazwy i dodając drugi, w postaci pierwszego członu nazwy Katowic – Kat, a więc Krakat. Rychło się jednak okazało, że do granic hiperaglomeracji wypełnionej 40 milionami ludzi zapukała kolejna bliska metropolia zza górskiej miedzy – Ostrawa. Dodano więc jako końcówkę nazwy nowej gigameracji Euazu pierwszy człon nazwy trzeciego miasta które ją tworzyło – Os. I tak już zostało – Kra-Kat-Os, mimo kilku jeszcze przewrotów i zmiennych okresów, jak pięciowiekowy Okres Regresu, 500 lat Neośredniowiecza, sześć kolejnych wieków Ekspansji i Kolonizacji, pomijając Okres Chaosu po Wielkim Kontakcie oraz ostatni czterystuletni Nawrót Technologiczny. To samo stało się z wszystkimi innymi miastami, rzekami i kontynentami Metropolii. Pozmieniały nazwy na skutek połączeń, skróciły je, żeby się łatwiej pisały gallalingua lub bajlizlangu itp. Dla tych, którzy nigdy nie odwiedzili osobiście Metropolii, mówiąc prościej Starej Ziemi, znają zaś jej geografie z podręczników oraz ze zdezaktualizowanych atlasów, podają więc, że miasto Krakatos leży na kontynencie Euaz nad rzeką Wis, niemal u podnóża gór Kar, które nie tylko iż są z samego centrum doskonale widoczne, ale wręcz trzeba przez

nie przejechać w płaskim przesmyku, żeby dostać się do dzielnic południowych – Os. Miasto, jak wcześniej zaznaczyłem, przed nastaniem Najnowszej Ery nosiło numer 1247, kontynent I, rzeka A 25, góry zaś zwano masywem C-IV. W tej to gigameracji o ponad czterdziestowiekowej historii, jednym z 30 najpotężniejszych ośrodków cywilizacyjnych Metropolii, a jednym z 10 najpotężniejszych centrów Euazu, na samym końcu alei Pierwszych Astronautów, za grubym na trzy metry i wysokim na sto stóp murem mieści się PsiAk wraz z akademickim miasteczkiem, basenami, małym ixarportem, profesorską dzielnicą willową oraz własnym, podziemnym centrum rozrywkowo-handlowym, końcówką neumo – wieżą vindów i setką innych komunikacyjnych cudów. Tam właśnie rozgrywa się niniejsza opowieść.

Propozycja ucieczki po głębszym zastanowieniu upadła. Uznano, że tego typu rejterada hańbiąco zapisałyby się w kronikach. Co prawda PsiAk był już akademią samodzielną, ale na początku stanowił WS UJ (Wydział Specjalny Uniwersytetu Jagiellońskiego), więc zababrałyby kroniki instytucji działającej łądnych parę tysięcy. Na decyzję wpłynęła także prognoza astrologiczna postawiona we wrześniu ubiegłego roku. Teraz był koniec stycznia roku 1661 n.n.e. i od dwóch tygodni rozpoczął się pierwszy semestr, od dwóch tygodni trwało zagrożenie. Komputerowych analiz olbrzymiego horoskopu, który uwzględniał nie tylko podstawowe ascendenty, opozycje i aspekty, lecz także pomniejsze węzły, potencjały, tranzyty, progresje czy dyrekcje, nie można się było spodziewać wcześniej niż w październiku. Tryliony danych, jakie powinny być zostać uwzględnione w programie dla hiperszybkiego mózgu uniwersyteckiego UJ – procekronowej inteligencji V generacji,

przekreślały jednak sensowność takiej analizy. Mimo gigantycznej prędkości i wielkiej objętości nanopamięci, czas tego opracowania miał wynieść w przybliżeniu dwa lata. Oparto się więc na kategorycznym oświadczeniu mistrza dziekana Wydziału Astrologii, Tomasa Nicusa, że zagrożenie będzie olbrzymie, lecz ocalenie pewne. Jego zdaniem wskazywała na to koincydencja między Marsem, Merkurym a sześcioma wybranymi z pasa asteroidami, z Ceres na czele. Nikt z Wydziału Astrologii nie śmiał polemizować z tą opinią. Nikt spoza wydziału nie orientował się na tyle w zawiłych prawidłach koincydencji oraz trygonów, by się nie ośmieszyć. Pozostawało wierzyć i czekać. Wszyscy poczuli się jednak w sposób zgoła irracjonalny podniesieni na duchu. Nawet jeżeli Nicus w jakimś stopniu się mylił, to z horoskopu wynikało, że istnieje cień szansy, promyk nadziei w ciemnościach zagrożeń, a taki promyk to już coś namacalnego, co da się wykorzystać. Nikt tutaj nie zamierzał owej szansy zaprzepaścić. Stało się więc na tym, że rok rozpocznie się normalnie, przenosin nie będzie. Zastanawiano się także nad zmianą na stanowisku rektora, ale również tym razem wskazania były niejasne. Także tę decyzję postanowiono odwlec do czasu bardziej sprzyjającego zmianom.

R. Wszechstronnie uzdolniony

Ledwie profesor włączył termostat rozmrażarki, by wydobyć z anabiozy swego ulubieńca Einsteina, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Profesor nie był zadowolony, że już go odnaleziono, wypatrzono, niepokojono, kiedy od przylotu na Lunę nie minęło jeszcze półtorej godziny, a od lądowania na Ziemi i przekroczenia progu mieszkania w Krakatos piętnaście minut.

Mierziło go to tym bardziej, że zamierzał ze szczególną dbałością przeprowadzić budzenie, zwłaszcza chodziło mu o krytyczną fazę między -205°C a -188°C , w której to czasem w mózgu delikwenta zaczyna się dziać coś dziwnego, co prowadzi do uogólnionych zmian psychofizycznych znanych medycynie pod nazwą Zespołu Kameleona. W zeszłym roku przez zaniedbanie, zbyt gwałtowny wzrost temperatury albo diabli jeszcze wiedzą co – wciąż poruszamy się jak ślepcy po labiryncie natury – Einstein, który był uroczym psem rasy foksterier, w białobrazowo-czarne łaty, zamienił się w rozszczekane, nieznosne bydło o spłaszczonym pysku i zielonym futrze w białoczerwone szachownice. Profesor nie zamierzał tolerować więcej zmian w Einsteinie, mimo całego szacunku i tolerancji dla wszelkich przejawów względności oraz umowności. Nie życzył sobie również, by go napastowano w dwie godziny po pojawieniu się w obrębie Układu Słonecznego, włączył więc wifon i ryknął swym budzącym konsternację, tubalnym basem:

– Nie ma mnie! Idźcie wszyscy do czorta!!! – po czym wrócił natychmiast do termostatu, gdyż wskaźnik przekroczył właśnie graniczne minus 205 stopni. Po chwili dzwonek odezwał się jednak ponownie i dzwonił nieustannie mimo braku jakiegokolwiek reakcji. Hokus zaklął pod nosem. Oderwał się od termostatu, włączył wizję. Na ekranie ujrzał stojącego pod drzwiami młokosa z długimi, jasnymi włosami w rastamańskich lokach, w atłasowej, krótkiej tunice, przepasanego pięciobarwną szarfą, biegnącą z prawego ramienia do lewego biodra. – Student? – syknął do siebie zdziwiony profesor, nieświadom, że mikrofon jest włączony. – Cóż, u diabła, może robić tutaj student, skoro mój przylot jest wiadomy tylko kilku członkom Senatu? Czyżby Mrok się wygadał?!

Hokus wcisnął guzik, zamierzając zadać pytanie, i tym samym wyłączył mikrofon.

– O co chodzi, młody człowieku? – padło w próżnię. Młody człowiek nie czekał na ponowne przełączenie fonii, które pozbawi go głosu i pozwoli wysłuchiwać domysły profesora. Od razu zrozumiał, na czym polega jego szansa, bo był bardzo inteligentnym młodym człowiekiem. Zawsze dopinał swego, miał tylko niejakie kłopoty z ustaleniem, o co mu właściwie w życiu chodzi. Jak większość młodych ludzi, od jakiegoś czasu bez powodzenia szukał swego miejsca.

– Nazywam się Jan San – powiedział, patrząc prosto w oczy profesora, który nie bardzo mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że słyszy chłopaka, skoro go wyłączył. – Jak pan zauważył po szarfie, nie jestem studentem waszej uczelni. Myślał pan zapewne przed chwilą, cóż ja, u diabła, mogę tutaj robić? Skąd wiedziałem, że pan przyleciał i czy profesor Mrok przypadkiem się nie wygadał!

Profesor Hokus osłupiał. Przemknęło mu przez myśl potworne przypuszczenie, że oto ma do czynienia z uzdolnionym telepatą, telepatą zwrotnym, który czyta w jego umyśle i mówi do tego umysłu bez pośrednictwa fonii. Tego typu dar spotykano niezwykle rzadko. Szkołę opuściło dotychczas pięciu do tego stopnia uzdolnionych uczniów, a ten, który stał przed murem, nie był żadnym z nich. Czyżby w ten sposób miał rozpocząć się atak? Trzeba się mieć na baczności. A nuż to przebiegły zamachowiec przebrany w żakowskie szatki, co przyszedł go unieczystwić, a morderstwo to będzie znakiem do szturmu, tak samo jak zamach w Sarajewie, Noc Długich Noży, zamordowanie Technologa Vilardena i jego doradców przez członków Ordine Nuevo, co okazali się być członkami Nuevo Ecologico Ordine.

Przerażony trzepnął wyłącznik wizji i fonii, jakby zniknięcie ewentualnego zamachowca z ekranu miało go ochronić przed czymkolwiek. Pobiegł do anabiotycznej trumienki Einsteina, gdzie strzałka znalazła się już na cyfrze 199, i zdał sobie sprawę z absurdalności swego toku rozumowania. Należałoby się przynajmniej dowiedzieć, o co tamtemu chodzi. Może przysłali go członkowie Senatu z ważną wiadomością, może miał jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę osobistą? Profesor Hokus starał się być wyrozumiałym pedagogiem i roztaczał swe opiekuńcze skrzydła nad wszystkimi uczniami. Można by też wykorzystać młodzieńca przy rozmrażaniu foksteriera, który to proces wymagał natężonej uwagi i sprawności; obu tych rzeczy brakowało Hokusowi. Ponownie uruchomił połączenie, lecz przed drzwiami nikogo nie było. Chłopak zniknął. Poszedł sobie. Profesor zaczął żałować, że pochopnie go odepchnął. Nie wiedział, że Jan jest człowiekiem nie rezygnującym nigdy z zaplanowanych celów i że właśnie w tym momencie przekracza próg pokoju zamrażalni, do którego dostał się, korzystając z uchylonej furtki głównej i niedomkniętych drzwi wejściowych. Skleroza i zapominalstwo dały się już nieraz szacownemu rektorowi we znaki. Tym razem, w chwili gdy profesor, przeświadczony, że pochopnie pozbył się potencjalnego pomocnika, wyłączał na dobre system foniczny swojej willi, Jan San stał tuż za jego plecami.

– Panie profesorze! – powiedział z pewnością zbyt głośno, zbyt gwałtownie jak na tak delikatną sytuację. – Muszę z panem koniecznie rozmawiać. Lecę za panem od portu na Lunie, a właściwie od samego Jowisza. Chcę, muszę zostać członkiem, to znaczy uczniem waszej Akademii!

Staruszek chwycił się za serce, a oczy wylazły mu na wierzch.

Zdawało mu się bowiem, że jego poprzednie rozumowanie miało wiele wspólnego z trafnością, tymczasem zaś to myśl przedpoprzednia korespondowała z tym, co ujrzał. Strach wielką falą napłynął mu do żołądka i schwycił za serce. Czyżby miał jednak do czynienia z zamachowcem, który nie dość, iż jest zwrotnym telepatą, to jeszcze sprawnym teleportantem?

– Cze... czego pan chce? – wydusił z trudem. – Jeżeli mnie za...

– ...Nie! Nic podobnego! – przerażony reakcją starca Jan nie pozwolił mu nawet dokończyć tych strasznych słów. – Nie chciałem zrobić nic złego! Niech pan się uspokoi! – i począł energicznie wachlować Hokus, który osunął się na zydeł. Stanowczo powinien zacząć używać więcej elektronicznej służby, ale nie potrafił się do tego przyzwyczaić. Mógł jednak swe roztargnienie przypłacić tym razem życiem, zbyt był bowiem stary, by jego serce udało się reanimować po zawale.

– Czego zatem chcesz, młody człowieku? – wychrypiał, kiedy poczuł się nieco lepiej.

– Chciałem tylko zostać przyjęty do Akademii.

– Do... do Akademii? – Profesor powoli wracał do zmysłów.

Sens słów młodego człowieka z trudem torował sobie drogę do jego świadomości. Przyglądał się skórze chłopca. Świeża świeżością autentyczną. Nie ma więc do czynienia ze starcem sztucznie odmłodzonym. Nie ma do czynienia z zamachem? Hokus zniechęca złapał Jana za rękę, by się przekonać, czy skóra nie jest imitacją, a on cały fantomem. Jan cofnął się gwałtownie. Przestraszył się – pomyślał profesor i doznał uspokojenia. – Nie. To nie był zamachowiec. Zwyczajny student. Pięć szarf: błękitno-fioletowa – Cambridge, złoto-żółta – Pekin, żółto-niebieska – Jagielloński, czerwono-pomarańczowa – Sorbona, różowa – Harvard. Czarna gwiazdka – ogólna historia cywilizacji,

czerwony kwadrat – filologia i literatura Wczesnego Plastik, zielone kółko – psychologia, czerwona gwiazdka – ogólna biologia Człowiekowatych, żółta buława – języki obce, wschodnie regiony Galaktyki. Pięć fakultetów i całkiem miła twarz, nieźle. W sam raz nada mi się do rozmrożenia Einsteina.

– Niech pan pozwoli – pociągnął młodzieńca do pudła, w którym spoczywał jego kruchy jak porcelana przyjaciel.

– O co chodzi?

– Rzecz w tym, że mam kłopot z jego rozmrożeniem. To bardzo skomplikowane... – zawiesił głos wyczekująco.

– Rozumiem. – Jan pochylił się nad półtrupkiem w białoczerwoną szachownicę. – Co to ma być? – zapytał, bo nie potrafił sobie wyobrazić, jak też powinien wyglądać bryłowaty, lodowy kadłubek po wydobyciu go z warstw ochronnych i przejrzystych kokonów.

– Foks. To znaczy pies rasy foksterier.

– Nie znam się na tym – powiedział Jan, regulując jednym sprawnym ruchem termostat – ale zdaje mi się, że nie ma foksterierów w białoczerwone romby.

– Może i nie było. Do zeszłego roku – odpowiedział Hokus i precyzyjnie się bliżej przez zwoje poplątanych kabli, zwisające girlandami od sufitu. – Teraz już są. Jak widzisz, młody człowieku, mój Einstein tak właśnie wygląda. Miał Kompleks Kameleona.

Jan przybliżył wzrok do skóry zwierzęcia, gdyż temperatura skoczyła naraz o kilka stopni, do -175 , powinno być widać pierwsze objawy skórne. Hokus także nachylił się nad plastikową trumienką, usiłując się dopatrzeć tego samego, ale nie zobaczył nic, ponieważ w jednej sekundzie całe okulary pokryły się grubą warstwą szronu. Ledwie koniec własnego nosa mógł dostrzec

w tej mgle.

– Dobra. Zaczynamy – zakomenderował Jan. – Niech pan uruchomi dekompresor, niech pan wciśnie stabilizator jonów, niech pan...

– Już, już, już, już się robi – Hokus, przedzierając się przez płataninę kabli, pocwałował na czworakach do tablicy rozdzielczej.

– Zdaje mi się, że tym razem pański czworonóg będzie oliwkowozielony.

– Jaki? – zapytał profesor, myląc guziki.

– Oliwkowozielony, panie profesorze.

– Skąd pan to wie?

– Przeczuję. – Jan zdrapał warstewkę lodu z futra zwierzęcia. – Dekompresja na trzy. Zwiększam tempo rozmrażania. Dlaczego pan tego właściwie nie powierza automatom?!

– Automatom? Automat jest zepsuty od pięciu lat. Nie mam czasu wezwać naprawiacza.

Istotnie – pomyślał Jan – wezwanie naprawcy przekracza możliwości czasowe przeciętnego człowieka, bowiem wymaga przekazania domowemu inforowi prostej, krótkiej wiadomości. Nie komentował jednak swego spostrzeżenia, bo nie chciał się okazać nietaktowny. Profesor był w końcu człowiekiem starej daty i miał prawo do dziwactw, a tym bardziej uprzedzeń. Kto wie, czy nie pamiętał on nawet czasów, gdy niedobitki Unii Ekologicznej wysadzały gmachy publiczne w powietrze, usiłując terrorem odzyskać utracone pozycje. Profesor mógł w głębi duszy pozostać na przykład ekologistą, jak wielu ludzi starszego pokolenia.

– Teraz deceleracja na pięć przy postępowym współczynniku

ahibernizacji. Akceleracja dysharmonicznego czynnika antyhibernacyjnego – powiedział do profesora. – Po jednym stopniu na obu skalach Eisenberga, synchronicznie.

Profesor z pewnym wahaniem odszukał właściwe pokrętła i wykonał rozkaz. Z przyjemnością przyglądał się sprawnym ruchom chłopaka. Kiedyś był taki sam, a raczej podobny. Potrafił na przykład bezczelnie wdrzeć się do domu swej ukochanej Cristal w trakcie dyplomatycznego przyjęcia wydawanego przez jej papę, nadradcę w Ministerstwie Spraw Zapolanetarnych i Pozaukładowych, na cześć jednej z pierwszych delegacji pozaziemskich, która przybyła z Proximy. Wydarzyło się to prawie czterysta lat temu i kto wie, jak potoczyłyby się dalsze losy profesora, gdyby dziewczyna nie odrzuciła wtedy jego oświadczeń. Tak, Cristal odepchnęła go, bo łaknęła dostatniego bytu i luksusów, i od tamtego czasu Hokus na wieki pozostał samotny.

– Jak to przeczułeś? – zapytał profesor, wracając z odległej przeszłości w swe teraźniejsze obawy.

– Takiego go miałem przed oczami – odpowiedział Jan zgodnie z prawdą i jeszcze raz z bardzo bliska przyglądał się skórze psa, pokrywającej się teraz już całkiem wyraźnie zielonymi cętkami wyłazającymi spod lodowej pokrywy. Jak trawnik na wiosnę.

– Miałeś go przed oczami? To znaczy, że była to aż tak wyrazista wizja? – zapytał profesor.

Jan w pierwszej chwili nie zrozumiał. Nawet chciał sprostować, ale ugryzł się w język. Jeżeli chce dopiąć celu, powinien wypaść jak najokazalej.

– Tak. Zobaczyłem – powiedział krótko. – Minus 125 stopni. Pokrętko cieczy w pozycję nadirową – zakomenderował, by nie dopuścić do dodatkowych pytań. Rozpoczął przygotowania

do kolejnej fazy budzenia.

Hokus analizował tymczasem odpowiedź chłopaka. Czy to możliwe, że do tego wszystkiego on jest jeszcze jasnowidzem? To już zbyt wiele. Takiego jeszcze nie było w historii PsiAka, ale przecież nic nie stało na przeszkodzie. Wręcz odwrotnie – kiedyś musiało się coś takiego wydarzyć. Oczekiwano odkrycia wielkiego psitalentu, który zgodnie z zapowiedziami powinien się być w tych latach pojawić. Czy ten chłopak jest może właśnie nim? Czy też inaczej, jego przybycie stanowi punkt początkowy wydarzeń, których tak się tu obawiano?

– Elektrody w system nerwowy! – powiedział Jan i Hokus wcisnął czarny guziczek z napisem „n-system”.

– Nieźle ci to idzie, chłopcze – powiedział profesor rzuciwszy okiem na wskaźnik temperatury. – Minus 111. Za jakieś pół godzinki będzie po wszystkim.

– Sądzę, że za piętnaście minut. Przyspieszacz do oporu. Jak pan się zapatruje, profesorze, na mój pomysł?

– Prawda. Coś tam mówiłeś. Zdaje się, że chodziło ci o Akademię? – Hokus z trudem przypominał sobie początek ich rozmowy, który z powodu towarzyszących mu silnych emocji umknął jego uwadze. – Czy coś się tam stało?!

– Nie, profesorze. Mówiłem tylko, że chcę zostać przyjęty na pierwszy rok, a pan się tak bardzo przestraszył, że sam nie wiem, co mam sądzić? Myśli pan, że się nie nadaję? Wstępna weryfikacja molekuł!

Hokus nacisnął zielone guziki: „w-w-m”.

– Nie, skądże. Wziąłem cię po prostu za kogoś innego. Bardzo chętnie będziemy cię widzieć na uczelni. Dobrze zrobiłeś, że przyszedłeś do mnie. Jest tylko jedno „ale”.

– Ale?

– Nabór odbywa się co pięć lat i miał miejsce w zeszłym roku, a liczba studentów jest ściśle ograniczona. Musisz więc nieco się wstrzymać. Poczekać.

– Czekać? Ani mi się śni. Niech mnie pan skieruje na testy, a zobaczy pan, że będziecie mieć ze mnie pożytek. Musicie mnie przyjąć zaraz albo nigdy. Skąd ja mogę wiedzieć, co będzie za cztery lata?

– Twój ton, chłopcze, nie jest właściwy – powiedział profesor z lekkim niesmakiem.

– Nie zastanawiam się nad tonem, kiedy mi na czymś zależy, albo kiedy tonę!

Ta odpowiedź spodobała się rektorowi Akademii. Chłopak reprezentował typ zapaleńca, a jest to nieodłączna cecha prawdziwego talentu obojętne w jakiej dziedzinie.

– Niech pan uważa – odezwał się Jan. – Jeżeli pan chce mieć swojego przyjaciela w całości, powinniśmy się teraz skupić. Kwantyfikator szczegółowy w pozycji 1 80–1 95, kwantyfikator ogólny na 18–36 stopni, moc promienia 120 A. Rozpoczynamy anihilację zwyrodniałych komórek.

Hokus nacisnął guziki „KS”, „KO” oraz „L” i wystukał sznureczek cyfr: „1,8,0,1,9,5,1,8,3,6,1,2,0”, co go tak zmęczyło, że musiał powachlować się chusteczką i usiąść na krześle.

– Mam nadzieję, młodzieńcze, że to nie była groźba czy próba szantażu?

– Jak bym śmiał, profesorze. Może pan być pewien, że szczerze pana podziwiam i właśnie artykuł w roczniku „Transy & Mancje” na pański temat oraz o Akademii Psi w Krakatos spowodował, że tutaj jestem. Transfokator na sześć cali, jeżeli byłby pan tak uprzejmy. – Słowa Jana były prawdą, tylko prawdą i wyłącznie prawdą. Rzeczywiście, w drodze z Jowisza na Lunę

wpadło mu w ręce owo pismo i rzeczywiście oprócz ponadstronicowego artykułu z wykładem podstawowych prawideł astrologii, znajdowało się tam parę linijek na temat PsiAka. Gdy tylko Jan je przeczytał, wiedział, dokąd powinien się udać, a kiedy dodatkowo rozpoznał w tłumie przesiadających się na transplanetyk w kosmoporcie lunańskim samego rektora PsiAka, postanowił nie wypuścić z rąk tego tropu.

– Jest, gotowe – powiedział profesor, wciskając z niejakim opóźnieniem, wynikłym z głębokiego zamyślenia, guziki „t” oraz „6”. Profesor rozważał pewne wyjątkowej wagi okoliczności.

– Gwiazdy powiedziały mi, że pan podejmie właściwą decyzję – odezwał się Jan od swojego pulpitu.

– Właściwą, to znaczy jaką? – Hokus podjął już decyzję, był tylko ciekaw, do czego chłopak jest jeszcze zdolny.

– Korzystną dla mnie. Zgodną z moimi oczekiwaniami... Niech pan spojrzy. Minus 56 stopni, a pański przyjaciel jest oliwkowozielony.

Hokus zerwał się ze swego miejsca i podbiegł do trumienki. Istotnie jego foks uległ zmianie barwy. Kolejny Kompleks Kameleona zmanifestował się w pigmentacji kolorem oliwkowozielonym.

– Och! – westchnął profesor. – Byleby mu się choć trochę poprawił charakter.

– Może pan mieć pewność, że będzie słodki jak cukierek.

– Dlaczegoż to miałbym być taki pewien? Tylko dlatego, że ty tak powiedziałeś?

– Tak.

– Podziwiam twoją pewność, choć nie mam pojęcia, skąd ona płynie.

– Mógłbym panu wytłumaczyć, że na przykład widziałem

wiele takich oliwkowozielonych piesków rasy foks i wszystkie odznaczały się słodyczą. Nie byłoby to jednak prawdą. Nie widziałem ani takich foksterierów, ani tym bardziej w białoczerwone szachownice. Po prostu tak czuję. Czy to panu wystarczy?... Wektory zbieżności i rozbieżności na wzajemne przecięcie pod kątem 50 gradów. Rozpoczynamy pobudzanie serca. Niech pan wciśnie VHM, EEG, EKG, TZD, PRL.

– Czuje? Czucie to za mało – powiedział profesor. Wcisnął posłusznie TZD, PRL, VHM, EEG i EKG. – Potrzebne są dowody. Trzeba by sprawdzić...

– Niech pan posłucha. Dawno wiedziałem, że mam wszechstronne uzdolnienia – kłamał jak z nut Jan San. – Konsonans Z, Bestioryzacja SS, Mortendegradacja R. Nie wykorzystywałem ich, bo nie było ku temu wystarczających powodów. Prawdę mówiąc, dopóki żył mój ojciec, nie było mowy o żadnych studiach psionicznych. – Ojcze, odpuść mi to paskudne kłamstwo, pomyślał w duchu.

– Rozumiem. Był zdecydowanym przeciwnikiem szarlatanerii. – Profesor uruchomił program czarne „z”, czerwone „s”, czarne „r” i czerwone „r”.

– Właśnie. Uwaga: pierwszy skok, minus 26 stopni, drugi skok, minus 13 stopni. Kontruderzenie akceleratorem modernposthibernacyjnym od a do zet.

Hokus zabrał się za rząd czarnych pokręteł od a do zet i przekręcił wszystkie w pozycję zachodnią, do końca skali.

– Nie tak mocno! – krzyknął Jan. – Trzeba wypośredkować. – Przyskoczył do pulpitu, bo Hokus najwyraźniej stracił głowę. Przetawiał wskaźniki na właściwe położenie. – Bylibyśmy go wyprawili na tamten świat – powiedział Jan – zbyt gwałtowna przemiana może oznaczać koniec.

– Masz rację, chłopcze. Budzenie się świadomości łatwo może się przerodzić w niekontrolowany proces.

– Niech pan to zostawi – powiedział Jan. – Dam sobie już sam radę. – Zabrał się teraz energicznie do roboty. Był to już ostatni etap, w którym pies powinien był odzyskać właściwe wskaźniki i powrócić do życia po długim okresie utajonego trwania w lodowatych okowach więziennego wnętrza niby-trumienki. Jan wykonywał pracę z pasją i w milczeniu. Hokus zaś miał wreszcie trochę czasu, by w skupieniu przemyśleć wszystko, co do tej pory usłyszał. Bardzo dziwna była ta wizyta. Choć chłopak sprawiał korzystne wrażenie, to jednak przez sam fakt nagłego pojawienia się w tak ważnym, napiętym momencie należało traktować go z daleko idącą ostrożnością. Nie okazał się agentem mordercą, jeszcze nie, ale też nie należało wykluczać jakiegoś znaczącego w tym względzie opóźnienia. Zagrożenie może się objawić różnie. Jeśli go przyjmą w awaryjnym, nadzwyczajnym trybie, może się okazać, że wpuszczą do swego gniazda trojańskiego konia z całą pulą nieobliczalnych talentów. Niewątpliwie charakter jego pola powinni zbadać specjaliści od pomiarów. Nawet jeżeli miałby 69 blr jak legendarny S. Dole Melipone, to nie jest powiedziane, w jakim kierunku te swoje blery obróci. Lepiej chyba mieć podejrzany obiekt we własnym domu, ale na oku, niż poza domem, lecz nie mieć pojęcia, gdzie się dokładnie znajduje i co aktualnie knuje. Trzeba poradzić się Senatu. Zwłaszcza profesora Mroka.

– Powiedz mi, chłopcze, umiesz stawiać horoskopy?

– Horoskopy to betka, drobiazg, jak to mówią: mała dwunastka z pianą! – powiedział Jan chełpliwie i poczuł, że zaraz zostanie przyparty do muru, a pracowicie stawiany gmach mistyfikacji runie w gruzy. W końcu Hokus nie jest byle kim

i chociaż jego główna specjalność to iluzja, jednak po tylu latach doświadczeń psionicznych z łatwością może przeegzaminować z dowolnej dziedziny psioniki i wykryć łgarstwo każdego pyszałka, który jak Jan będzie wyłącznie blefował i kłamał, aż się kurzy. – Urodziłem się 28 stycznia 1245 roku... – zaczął Hokus.

– Niech pan poczeka – przerwał mu gwałtownie Jan. – Jest zero stopni. Zero i jak na razie wszystko w porządku. Może wstrzymamy się z tym egzaminem, aż pies się do końca obudzi?

Hokus podbiegł ponownie do pudła i śledził z zapartym tchem postępujący już teraz błyskawicznie proces ożywiania Einsteina. Po chwili temperatura wynosiła plus 36 i pies był na tyle przytomny, by wydać pierwsze szczeknięcie oraz przymilnie machnąć ogonem na widok swego pana. Po dalszych pięciu minutach stał na własnych oliwkowych nogach i wietrzył intruza końcem zielonego jak niedojrzała śliwka nosa. Ku uciesze Jana pies przyjął go dosyć pozytywnie, to znaczy powarkiwał, lecz nie rzucił się na niego ze wściekłym ujadaniem. Jakby czuł, że to ta właśnie ręka wydobyła go z otchłani niebytu, by ponownie powołać do życia. Pozwolił się nawet pogłaskać, co zdziwiło profesora, bo od poprzedniego zamrożenia i niefortunnej dehibernacji nawet sam Hokus omijał czworonoga z daleka. Profesor postawił przed Einsteinem miskę mleka (33 29 1 3 – specjalna mieszanka dla dehibernowanych) i poprosił Jana do sąsiedniego pokoju.

– Zatem – powiedział, gdy Jan usiadł w fotelu – mogę ci dać, chłopcze, pół transsolara za pomoc, jakiej mi udzieliłeś.

– To bardzo hojnie z pana strony, ale muszę powiedzieć, że czuję się obrażony – powiedział Jan. – Niech mi pan nie proponuje pieniędzy, a wywdzięczy się lepiej kartką dla Senatu uczelni, w której stwierdzi pan, iż zostaję przyjęty poza

terminem.

– A egzaminy? Myślisz, że można się dostać na Akademię bez egzaminów, że wystarczy staremu profesorowi pomóc rozmrozić jego psa i już?!

– Tego nie powiedziałem, ale czyż mnie pan nie przeegzaminował?

– Tak... tak... w zasadzie, tylko że inni...

– Wiem dobrze, że inni liczą się bardziej z pańskim zdaniem niż ze swoim własnym.

– Dużo wiesz, jak na swoje dwadzieścia parę lat. Napijesz się?

– Dziękuję. Wolałbym wziąć tę kartkę i zameldować się w którymś z akademików.

– Powiedzmy. Powiedzmy, że bym to zrobił. Powiedzmy, że wypiszę... Tylko że nic się nie dzieje tak sobie. Musiałoby zaistnieć coś więcej, by skłonić mnie do działania bez sensu, bez uzasadnienia, bez celu, bez uwzględnienia społecznego kontekstu, bez szans na przeprowadzenie do końca i przede wszystkim bez wiary z mej strony w słuszność takiego postępowania. To musiałoby być znacznie więcej niż twoja bezczelność.

– To jest więcej, profesorze – wypalił Jan w nagłym strachu, że oto jego kandydatura na samym wstępie zostaje odrzucona. – To jest coś, czemu pan nie może się przeciwstawić: bardzo silny Mars i bardzo słabe Słońce, słaby Merkury, słaba Wenus, słaby Jowisz i Saturn w pańskim znaku! Czy trzeba lepszego uzasadnienia?

Hokus roześmiał się i bez słowa wyciągnął kartkę papieru z firmowym nadrukiem. Wypisał do Senatu prośbę o przyjęcie wielce obiecującego, błyskotliwego psitalentu, Jana San, który popisał się przed nim osobiście telepatią zwrotną, teleportacją,

jasnowidzeniem i wiedzą astrologiczną, Jana San urodzonego w War, poczętego w Tok na wyspach Jap, wychowanego w widłach rzeki Wi i rzeki San, który szkołę elementarną ukończył w Kairze, a potem kształcony był w Amer, Az i Eur. U dołu kartki z prośbą o zapoznanie kandydata ze wszystkimi wydziałami, przydzielenie akademika i przeprowadzenie wstępnego egzaminu w trybie natychmiastowym, rektor Hokus postawił dwa wielkie krzyżyki. Podał Janowi kartkę.

– Zgłosisz się z nią jutro do profesora Mroka – powiedział.

– Co znaczą te krzyżyki? – zapytał Jan.

– Gdybyś ukończył naszą uczelnię, już byś wiedział. Nie wiesz?![\[1\]](#)

– Nie.

– Znaczą: przyjąć bez względu na koszty.

– Dziękuję.

– Jeszcze nie wiesz, czy masz za co.

Uszczęśliwiony Jan wybiegł z mieszkania rektora lekki jak motylek. Lepiąca się do grzbietu, mokra od potu koszula uświadomiła mu, że przebrnął przez coś, co bez trudu dałoby się porównać do wyprawy w pław przez Atlantyck.

Y. Jak meteor

Ostre piki domów studenckich wbijały się w ołowiane niebo, z którego lada chwila mógł lunąć wał wody. Jan zakończył śniadanie w swoim pokoju. Miasteczko akademickie i większość budowli na terenie Akademii została zaprojektowana przez Drei Corbusa Sierę zafascynowanego wschodnimi regionami Galaktyki, konkretnie Bliskim Wschodem, którego architektura charakteryzowała się strzelistą oszczędnością, prostotą

i nienaganną bielą bez żadnych kakofonii kolorystycznych. Architektura ta korespondowała blisko ze stylami półwyspu Saud i Mniejszego Azu, lecz była od tej ostatniej nieporównanie bardziej lekka i zwiewna, wręcz ażurowa. Każdy akademik pikowiec o podstawie trzydziestu metrów kwadratowych zaledwie, a więc odpowiadającej powierzchni jednego studenckiego pokoju, strzelał w niebo dziesięciopiętrowym owalem, w którym kondygnacje połączono zatopioną w pleksitonie windą, a całość została zwieńczona spiczastą kopułą rozsuwaną dla indywidualnego mikroteleskopu mnożnikowego. Piętro dziewiąte zajmowało obserwatorium, ósme laboratorium, siódme sypialnia, szóste czytelnia, piąte pokój gościnny, czwarte sala HV, symulatorów, stereonu, na trzecim był pokój do nauki z systemem wewnętrznej łączności, na drugim living room, który najczęściej przez studentów używany bywał jako sala na prywatki, na pierwszym – jadalnia z małą kuchnią dla ekscentryków, a na parterze przestronny hol z łaźnią i wychodzącymi pod górę spiralnymi schodami. PsiAk charakteryzował się dużym komfortem i luksusem, wychodzono tu bowiem z założenia, że wszelkie zakłócenia zewnętrzne psują efekty dydaktyczne. Każdy z domów studenckich zajmował więc tylko jeden uczeń, nie wolno było mieszkać parami czy trójkami. Program Naukowy ściśle obliczył zmniejszający się stopień opanowania materiału w zależności od liczby wspólnie zamieszkujących osób i zajmowanych przez nie powierzchni. Pośrodku gwiazdzistej zabudowy miasteczka znajdował się najokazalszy minaret, ponad trzydziestopiętrowy budynek Teorii Ogólnych i Filozofii Multystycznej. Znajdowała się w nim główna aula i hotel kongresowy, otaczało go zaś dwanaście mniejszych budynków

zajmowanych przez poszczególne wydziały Akademii. Na lewym skrzydle, za igłowcami wydziałów, skupiało się 65 akademików, a na prawym 60 willi profesorskich z wyróżnioną wiśniową barwą willą rektora Hokusa. Oprócz tego na powierzchni znajdowało się jeszcze tylko kilka pomniejszych budowli, zaś cała reszta schowana została pod ziemią. Z perspektywy siódmego piętra sypialni, gdzie Jan właśnie przebywał, wyglądało to wszystko razem jak średnich rozmiarów kosmodrom, przygotowany na wypadek jakiejś inwazji, jakby zaraz miał ulecieć do nieba. Był jak las muchomorów sromotnikowych, które dopiero co wzeszły pod opiekuńczym parasolem ciemnych chmur, był jak odrywające się z zielonej głębiny bąble pantyjskiego lakerytu, był po prostu urzekająco misterny i piękny.

Jan szybko pochłoniął śniadanie i co chwilę patrzył na zegarek. Infor powiedział mu, że profesor Mrok będzie w budynku G-8, gdzie przyjmuje delegata Vegańskiego Instytutu Psioniki, jeszcze najwyżej dwadzieścia minut, a potem odleci do Melb na spotkanie z przedstawicielami Towarzystwa Indalla.

Profesor Mrok miał pełne ręce roboty. Osobiście odpowiadał za program komputera, który biedził się nad skomplikowanym Wielkim Horoskopem. Niestety, od dwóch miesięcy nie notowano specjalnych postępów, bowiem programista elektroniczny wysiadł, obciążony nad miarę danymi, i popełnił kilka zasadniczych błędów w zapisach. Jeśli dalej tak pójdzie – myślał wściekły Mrok, bębniąc palcami o gładki blat, podczas gdy mały sztuczny człowieczek siedzący przed nim usiłował mu za wszelką cenę przedłożyć swe argumenty i wyłożyć racje, które nie były racjami i nie zasługiwały na zaufanie z powodu nierzetelności – jeśli dalej tak pójdzie – myślał – to nawet

w przyszłym roku nie będziemy się mogli pochwalić wstępnymi wynikami. Tymczasem groźna sytuacja ma miejsce teraz, dzisiaj, nie jutro, a tym bardziej pojutrze! Mały człowieczek nie zdawał sobie w ogóle sprawy ze stanu ducha profesora Mroka i sądził, że jego argumentacja lada chwila odniesie pozytywny skutek.

Tymczasem Jan San wjechał ruchomym chodnikiem wprost do holu G-8. Przestronne wnętrze wydawało się być puste. Kryształowe kolumny, podtrzymujące strop, stwarzały dodatkowe wrażenie przestrzeni i przejrzystości. Mimo pozornego ogromu tej nawy biegnącej od podstawy aż po sam wierzchołek, pozornego, bo z zewnątrz łatwo można było ocenić, że budynek nie jest tak wielki (piętnaście pięter), mimo tego ogromu dźwięki rozchodziły się we wnętrzu bez typowego dla takich przestrzeni architektonicznych echa. Jan w spoczonej z nerwów dłoni ścisnął świstek od Hokusa i gratulował sobie w myślach podstęp. Nigdy i na niczym nie zależało mu tak bardzo jak na studiowaniu właśnie tutaj. Trudno by mu było wytłumaczyć, gdyby ktoś się pytał, tę postawę do samego końca i uzasadnić owo ślepe parcie w każdym szczególe. Zapewne rychło by się poplątał w tłumaczeniach, bowiem w jego postępowaniu zawsze więcej było z instynktu i intuicji niż z logiki i dedukcji. Jedno można by uznać za pewnik: wszystkie kierunki, jakie zdążył w swym krótkim, dotychczasowym życiu poznać, zawiodły jego oczekiwania, nie spełniły nadziei, nie przyniosły satysfakcji, jakiej się być może ze zbytniego idealizmu po nich spodziewał. Wszedł na kryształowe schody, w których lustrzanych powierzchni odbijały się zwisające z biegnącej na wysokości drugiego piętra amfilady purpurowe draperie oraz błyski słane przez kryształki sutych kandelabrow. Kunsztowne kandelabry wzorowano najwyraźniej na gronach lasuris – jeden

gruby sznur od samego sufitu i na nim co piętro rozpięty świecący pajak. Teraz były wyłączone, gdyż wystarczało rozpraszane przez ściany światło z zewnątrz.

Na półpiętrze zaczepił Jana kielich inforu, który okazał się być portierem. Od niego dowiedział się, że profesor Mrok urzęduje w pokoju 525 na piątym piętrze. Przeźroczyta winda z doskonale widocznym przez ściany mechanizmem pseudozębatek i światłoolin wyniosła go na żądany poziom. Znalazł się wprost pod drzwiami z numerem 525, ale zabrakło mu odwagi. Co prawda przeszedł chrzest bojowy przed Hokusem, ale tamto zrobił niejako z rozpędu, pod przymusem chwili i bez premedytacji. Tym razem jest inaczej. Nikt nie może zagwarantować reakcji Mroka i werdyktu Senatu. Nikt nie potrafi określić, czy wywrze na nich dobre czy też złe wrażenie, a przecież od ich werdyktu zależało tak wiele.

Strawił już rok na bezpłodnym włączaniu się po najbliższych okolicach Ziemi, na bezowocnych próbach poszukiwania zajęcia, które by go zadowoliło, na próbach z góry skazanych na przegraną. Cóż właściwie miał za sobą? Biologię Człowiekowatych, do tego ogólną? Nie interesowała go na tyle, by wgryzać się w jej problemy, nie zajmowała na tyle, by studiować dokładnie różnice między budową kości ogonowej Telmity, Vaggańczyka czy Strogłończyka. Nie interesowała go zawartość procentowa hemoglobiny we krwi żyjących w rozrzedzonej atmosferze Lungenów, porowata struktura kości strzałkowej latających Ikarelitów ani inne szczegóły anatomii porównawczej, która w osiemdziesięciu procentach wypełniała biologię Człowiekowatych. Tak szczegółowe kwestie, jego zdaniem, nie dawały pola ludziom naprawdę wysokich lotów, z wielką wyobraźnią, widzących świat jako ogólnosystemową,

holistyczną budowlę zagadkę, którą trzeba zdobywać szturmem.

Weźmy języki wschodnich regionów Naszej Galaktyki – owszem, mógł zostać programistą urządzeń translatorskich, tłumaczem przy placówce dyplomatycznej albo tłumaczem dzieł sztuki literackiej, jeśli taka na danej planecie istniała. Praca tego typu musiała się wiązać z przebywaniem w izolacji własnego gabinetu lub mieszkania, a cały kontakt ze światem zewnętrznym ograniczałaby się do zamawiania coraz to nowszych tomów z biblioteki. Drugim jej biegunem zaś było grzęzawisko przyjęć dyplomatycznych z ich odwieczną paplaniną o niczym. Bo o czym można mówić, skoro nie wiadomo, co kogo dotknie, co urazi, a za nic w świecie urażać się wzajemnie nie powinno. Nie, to nie było życie dla niego! Weźmy zatem historię ziemskiej cywilizacji, także ogólną, jego trzeci fakultet – komu potrzebna jest wiedza historyczna?! Czy ktokolwiek nią się kieruje, wyciąga z niej wnioski?! Być może gdzieś daleko, w zakamarkach niezbadanych Wszechświata, w nieodkrytych jeszcze czarnych plamach przestrzeni kryje się cywilizacja dziwadło, która w ten sposób postępuje. W każdym razie nic bliższego o istnieniu owego dziwotworu nie wiemy. Tymczasem cała tak zwana cywilizowana Galaktyka, jak długa i szeroka, takich bzdurnych praktyk nie uprawia. Wiedza historyczna to hobby, to rozwijające intelekt dopełnienie, niezbędny u wykształconego młodego człowieka punkt, który musi być zaliczony, tak samo jak kiedyś niezbędna była nauka śpiewu i gry dla pańienek, które dobrze chciały wyjść za mąż. Naprawdę nie mógł wybrać dla swego wykształcenia bardziej bezsensownego zestawienia działów, niż to uczynił. Pomyśleć, że namówił go do tego komputer sondujący indywidualne predyspozycje! Te pięć fakultetów znalazło się bezapelacyjnie na pierwszych miejscach

w tabeli preferencji z tak kolosalną przewagą punktową nad pozostałymi, że nie pozostawały żadne wątpliwości. Żadne wątpliwości? A fakultet numer cztery: filologia i literatura Wczesnego Plastikumu – śmieszne, nawet nie wymaga komentarza. Jeszcze bardziej bzdurna dyscyplina niż historia czy biologia.

Kilkakrotnie zastanawiał się nad doбором tych dziedzin długimi wieczorami, na pokładach transplanetyków w podróży donikąd usiłował przeniknąć sens owego doboru, zgłębić kryteria maszyny, której uwierzył swego czasu. Ostatnią z nich była psychologia – dwa lata porannych seansów sugestologicznych, popołudniowych treningów uwrażliwiających, wieczornych wykładów technik psychoterapeutycznych, nocnych seansów hipnopedii, w czasie których przełknął wszystkie podręczniki. Być może ona miała jeszcze sens największy, bo chociaż nie zamierzał za pomocą tej wiedzy uszczęśliwić tych tysięcy dewiantów, którzy woleli łyknąć po prostu pastylkę zaproponowaną przez automed, jeśli zajdzie potrzeba, albo oddać się złudom symulatorów bądź inneronu, kiedy czuli się sfrustrowani i popadali w melancholię, woleli to niż pracować nad sobą, zgłębiać swą osobowość, dowiadywać się, jacy są naprawdę – choć nie zamierzał się nimi zajmować, to przynajmniej dowiedział się czegoś o sobie.

Psychologia dała mu wgląd w siebie, pozwoliła zauważyć własne predyspozycje i ukryte zdolności, także te, których nie zauważył wtedy komputer. Pozwoliła mu zgłębić mechanizmy, których w potokach wydarzeń, w tak zwanym szybkim nurcie życia, jakie nas otacza, nikt prawie nie dostrzega. Żadna z tych dziedzin z osobna nie dawała mu fachu do ręki. Nie pozwalała wyżyć się, nie zaspokajała nic z tego, co w nim tkwiło, co czuł podskórnie, co nie pozwalało mu się izolować, pchało do ludzi,

pchało ku przygodom. Próbował przygód – bo może jeśli nie każda z osobna, to wszystkie naraz gałęzie poznanej przezeń wiedzy miały stanowić klucz do jego dalszego życia i dać mu miejsce. Nie odkrył w sobie pasji podróżnika czy geografa, zdobywcy przestrzeni czy odkrywcy nowych światów, eksploratora astronauty. Zresztą na astronautykę było już za późno. Podróżował dużo, to prawda, ale tylko po to, by nie tkwić w swoim wyizolowanym mieszkaniu. Nienawidził tych milionów ludzi zamkniętych w swoich twierdzach z pleksitonu, betonu, pianxidu, pianxingu, kontaktujących się ze sobą i światem wyłącznie sieciami, co najwyżej fonami, biernych, bez ambicji bycia kimś więcej. Byli też inni, zamknięci za murami, murami szczegółowych dyscyplin, indywidualnych badań tak hermetycznych, że nawet ich język był dla drugiego człowieka niezrozumiały. To absolutna prawda, Jan znajdował się na niebezpiecznym rozdrożu. Kiedy wpadł mu w rękę artykuł o astrologii, o PsiAku, o profesorze supermistrzu P. Hokusie, o tym, co tutaj się robi, że ciągle poszukuje się nowych talentów, wiedział, że musi natychmiast spróbować. Zawrócił z drogi do Saturna, dokąd zmierzał, zwiedziwszy jowiszowe Zeusville, i w pobliżu Marsa przesiadł się na ten sam transplanetyk, który wiozł profesora Hokusa. Nie poznał go od razu. Rzeczywistość różniła się od hologramu. Dopiero na Lunie go zidentyfikował. Dalej wszystko było już jasne i proste. Postanowił, że pójdzie wprost do tego starego człowieka, że przekona go... Tak, i przekonał. Nie przypuszczał tylko, że profesor jest aż tak stary. Artykuły nigdy nie mówią całej prawdy. Osoba mniej realistycznie patrząca na życie łatwo może je posądzić po prostu o kłamstwo. Było mu trochę głupio, że tak oszukał staruszka. Dziw, że ten zasuszony człowieczek nie rozsypał się jeszcze

w proch. 420 lat to rekord nawet jak na nowe możliwości.

Teraz zaś Jan stał przed drzwiami sekretariatu Mroka, o którym krążyły legendy. Mrok – jasnowidz, Mrok – prekognita, Mrok – ekscentryk, Mrok – przyszłość Akademii, Mrok – choleryczny szaleniec! Zdobył się na odwagę i zapukał. Stuk – stuk – stuk – puk. Dosyć nieśmiało. Zbyt nieśmiało. Przyłożył ucho i z wnętrza doleciały podniesione ostre głosy. Odsunął się. Lepiej poczekać jeszcze chwilę. Czas. Jeszcze pięć minut.

Na jakim poziomie komputer połączył te wszystkie dziedziny do kupy, że uznał za sensowne kształcenie się w podobnie bezsensownych kierunkach? To była myśl, która mu nie dawała spać po nocach. Czuł, czuł, właśnie czuł!, że klucz istnieje, że dyscypliny nie są dobrane przypadkowo. Każda z osobna potrzącała wyraźnie dźwięcząca w nim strunę, tylko że każda z tych strun była jak gdyby z innego instrumentu, każda z osobna drgała zbyt słabo, by wzbudzić rezonans, a wszystkie razem trzymały fałszywy ton. Nie potrafił ich połączyć. W jaki sposób działa taki komputer? – pytał siebie. Otóż to. Ocenia wyniki ogólnego testu obejmującego wrywkowo na poziomie szkoły elementarnej wiedzę delikwenta we wszystkich dziedzinach życia, obszarach egzystencji jednostki ludzkiej. Wiadomości w pewnych punktach przekraczają poziom średni wyznaczony przez iloraz sumy punktów do liczby objętych badaniem dyscyplin – te wybrane punkty to właśnie proponowane później kierunki dalszego kształcenia. Komputer nie analizuje uzdolnień ani nie generalizuje rozproszonych zainteresowań w jedną propozycję. Jan rozumiał, że gdyby na przykład miał zostać artystą, powiedzmy realizatorem realonowych widowisk według własnych konceptów, to komputer również posłałby go na wiele rozproszonych kierunków, które wiązałyby się z potrzebą gry,

zamiłowaniami estetycznymi, potrzebą przeniknięcia drugiej psychiki, historią kultury i sztuki – być może właśnie byłaby to ogólna historia cywilizacji, psychologia, literatura Wczesnego Plastikumu czy języki obcych cywilizacji! Tylko że takie stwierdzenie niczego nie rozwiązywało. Nie chciał być realizatorem realonu, stereonu, holovanu ani inneronu. Zresztą chcieć, a dokonać to dwie różne sprawy. Więc na wszelki wypadek, mimo że trochę wbrew sobie, w czasie nudnej wyprawy do Syriusza powolnym, zdezelowanym tunelowcem, spróbował po amatorsku nakręcić kilka programów. Zaraz po powrocie wysłał je do słynnego gwiazdora stereonu, najpopularniejszego dziś chyba twórcy w dziedzinie fabuły, Ora Andro. Odpowiedź przyszła taka, jakiej się spodziewał: LEPSZE PROGRAMY – STOP – KONSTRUUJĄ – STOP – ZWYKŁE POCHŁANIACZE ŚMIECI! – STOP – OR ANDRO. Przewidział taką odpowiedź. Nie słowo w słowo, ale przewidział. A potem ta drobna wzmianka o wydziale Intuicji na PsiAku. Tylko jak kogoś przekonać, że się ma intuicję? Jan poczuł, że to jest to. Najzwyczajniej w świecie poczuł, ale wciąż nawet samo odczucie nie stanowiło argumentu. Okres przedrewolucyjnego królowania Logos odcisnął niewymazywalne piętno na ludziach, na sposobie rozumowania. Jak, dysponując mglistym przeczuciem, przekonać kogoś, by go przyjął, i to teraz, natychmiast, nie za pięć lat przy następnym naborze, bo teraz jest decydujący moment! Za pięć lat Jan będzie już w szponach Degeneratów, Utracjuszy albo pozwoli się ponieść hasłom Neodiggersów, albo zostanie członkiem którejś z tysięcy sekt w rodzaju skheeńskiego Kultu Jedności, albo jeszcze gorzej, sfrustrowany przerodzi się w symulacyjnego narkomana. Nie mógł czekać tak długo! Nie zamierzał tyle czekać! Był przyzwyczajony brać inicjatywę w swoje ręce i gotów

był nie przebierać w środkach. Więc zebrał się jeszcze raz w sobie i zastukał mocniej w drzwi sekretariatu Mroka. Nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

Za biurkiem, tak samo przezroczystym jak wszystko tutaj, siedziała skonsternowana sekretarka, która zdawała się przezroczyć i zanikać zgodnie z ogólną architektoniczną tendencją. Na środku stał profesor Mrok, stał, a właściwie unosił się nad małym człowieczkiem w granatowym (a więc nie zharmonizowanym z wnętrzem) odcieniu togi i z rozlaną po twarzy czerwienią złości. Mrok za to nie był czerwony, lecz blady, a jego oczy ciskały w rozmówcę gromy i tylko przelotnie zatrzymały się na intruzie, który wszedł nie czekając zaproszenia i znieruchomiał w progu.

– Niech wam się nie zdaje, że zjedliście wszystkie rozumy i że wolno wam projektować eksperymenty, jakie wam się tylko żywnie spodoba! – grzmiał Mrok na małego purpurowego oponenta. – Jeszcze długo nie dorośniecie nam nawet do pięt, a my przecież nie odważylibyśmy się na takie szaleństwo! Dlatego nigdy nie wyrażę zgody na współpracę nad czymś tak absurdalnym!!!

– Jak pan śmie! – próbował mu przerwać człowieczek. – Pan obraził nas wszystkich w mojej osobie! Ja na to nie pozwolę! Ja protestuję!!!

– A protestuj sobie do woli! O większy imbecylizm trudno chyba gdziekolwiek we wszechświecie! Taki pomysł jak wasz to hańba dla rozumu! Rozumiesz, ty pseudotelepaty?!

– Więc nie?! Po raz ostatni panu proponuję. Po raz ostatni mimo tych obelg pytam?!

– Nigdy! Nie i nie!... I jeszcze raz nie!!!

– Dobrze! – Człowieczek schował plik trzymany w ręku folii

do teczki i skierował się z furią do wyjścia. – Ale jeszcze zobaczycie, kto jest lepszy! Będziecie żałować, żeście nie przyłożyli ręki do czegoś, co jest przełomem w tej dziedzinie!!! Będziecie sobie pluli w brodę!

– Wątpię! Brody nie są w modzie! Won!! – ryknął znany z nieopanowania Mrok.

Jan w najwyższym pośpiechu umknął z linii rozsierzonego, purpurowego gościa, bo zapewne zostałby rozgnieciony przez ten mały taran na plaster. Trzasnęły drzwi i zapadło milczenie. Mrok stał nadal na środku i poprawiał kołnierz szerokiej togi i mankiety wystające spod szerokich rękawów, również szerokie, zamaszystym szerokim ruchem otrzepywał nieistniejący kurz z piersi.

– Czego pan szuka?! Słucham!! – zapytał profesor tym samym tonem, którym przed chwilą wyrzucił za drzwi tamtego człowieka. Jan skurczył się wewnątrz, pełen najgorszych przeczuć. Sekretarka ciągle jeszcze nie śmiała głębiej odetchnąć. Nie było rady, musiał się odezwać.

– Przysyła mnie profesor Hokus – powiedział, wyciągając przed siebie karteluszek niczym tarczę ochronną.

– Hokus?! Dobrze! – Mrok wyszarpnął papier z ręki chłopaka tak, że go nieomal przedarł na pół.

Profesor przejrzał pobieżnie tekst i zatrzymał się na dwóch krzyżykach. Znaczyły one ni mniej, ni więcej tylko: „przyjąć i mieć się szczególnie na baczności”. Mrok spojrział teraz z większym zainteresowaniem na młodzieńca. Co też w nim było takiego niebezpiecznego? Swoją drogą Hokus powinien go być uprzedzić mnemolinią, siecią albo fonem. Ten biedak na starość zupełnie zdziczał. Chłopak z pozoru wyglądał normalnie. Może tylko ten ekstrawagancki strój...

– W porządku – powiedział przez zaciśnięte zęby Mrok, co zabrzmiało tak, jakby w ogóle nic nie było w porządku. – Pani Zsa, nasza sekretarka – wskazał palcem na bladą figurkę za biurkiem – zajmie się panem. Będzie pan musiał przejść przez wszystkie egzaminy. I musi pan zmienić ten ubiór. Nie licuje z godnością akademika!

Profesor nie czekał na protesty czy jakiegokolwiek pytania i zniknął natychmiast w swoim gabinecie.

– Wciągnę pana na listę – powiedziała drżącym głosem pani Zsa. – Czy ma pan akademik?

– Tak.

– Świetnie. Na razie proszę się zapoznać z kolegami. Znajdują się zapewne w Sali Gier albo w Kryształowej Grocie. Infor wskaże panu drogę. Program egzaminów będzie gotów za kilkanaście minut, ale nie musi pan czekać. Przyślemy go panu do domu.

W tym momencie przez interkom odezwał się napastliwym tonem profesor Mrok:

– Pani Zso, ile czasu będę czekał na ten ixar?! Za pół godziny powinienem być w Melb!

– Już wzywam – powiedziała, drżąc jak liść, pani Zsa i zapomniała o całym bożym świecie poza ixarem, teczkami, dokumentami i kanapkami swojego profesora.

Jan wymknął się cicho z sekretariatu. Był zadowolony. Nie spodziewał się, że pójdzie tak łatwo. Swoją drogą ten Mrok to rzeczywiście kawał choleryka. Przez moment Jan miał obawy, czy nie wyleci ze szczękiem za drzwi jak jego poprzednik. Winda zwiozła go bezszelestnie na dół i czym prędzej opuścił kryształowy przybytek jasnowidzów noszący kryptonim G-8.

– To ty jesteś ten nowy? – zapytał wysoki chłopak o prostych włosach, lśniących błękitem. Jan zatrzymał się w progu pomieszczenia zwanego Salą Gier. Dzięki Bogu ta przynajmniej wyglądała solidnie, chociaż i ona nie pozbawiona była elementów z drogich kamieni. Całą uczelnię ozdobiono na zlecenie Fairsightera drobiazgami ze szlachetnych skał, a więc kryształowymi kandelabrami, popielniczkami z rubinów, szmaragdowymi wazonami, diamentowymi spodkami, ametystowymi klamkami u okien, topazowymi zaś u drzwi i tak dalej. Każdy ruch w pomieszczeniach Akademii powodował lśnienia i opalizacje, rozszczepienia, błyski oraz iskrzenia. Każdemu krokowi towarzyszyły mrugnięcia i świecenia, przebłyski oraz odbłaski. Jasnowidze byli zadowoleni z tej przejrzystej atmosfery. Astrologowie uważali, że duża ilość kamieni szlachetnych i szlachetnych gazów zamkniętych w cienkim szkłe (których tu także nie brakowało) jest bardzo korzystna dla ludzi. Zalecali tylko jak najdalej posuniętą różnorodność, by kamienie objęły swym działaniem możliwie szerokie pasmo fluidów. Bioenergetycy uważali pomysł za wyborny, ponieważ lekko naelektryzowane powietrze sprzyja umysłowej aktywności i wyjaławia ze szkodliwych energii, a nawet przepędza różne gatunki wrogich człowiekowi drobnoustrojów. Słowem, prawie każdy z wydziałów maczał palce w tym drogocennym eksperymencie i wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych. Wyjątek stanowili spirytyści i okultyści, którzy jako spadkobiercy różnych magicznych tendencji, w tym także tych poczynających swój bieg od doktora Faustusa, Torralby, Gauricusa czy Dee, woleli monochromatyczną czerń, zostali jednak przegłosowani. Najmniej protestowali iluzjoniści, którym niespodziewany błysk czy odbłask od klamki poruszonego wiatrem okna nieraz pomagał ukryć dyskretne machinacje, minimalny ruch palców czy błyskawiczne uderzenie końcem umkerbardera, które bez trudu zamieniało żabę w koguta albo nakręcany na kluczyk strad czy pęk piór papuzich. W błyszczącym pomieszczeniu Sali Gier pod ścianami rozsiadło się przezacne grono żaków, prawie wszystkie stoliki zostały

zajęte i toczyła się zażarta gra w madżonga, Krong, szachy, Ultimę, Tagon oraz Timing. Zwłaszcza Timing cieszył się tu dużą popularnością, co musiało dziwić, zważywszy agresywny charakter tej gry i jej wielowymiarowość. Na widok Jana przy wielu stolikach gra ustała. Wzbudził swoim wejściem nadspodziewane zainteresowanie.

– Tak – powiedział. – Jestem nowy.

Oczy malowniczej grupki spoczęły na jego ciele, na twarzy, na szczegółach ubioru, na pięciu kolorowych szarfach, badając go skrupulatniej niż aparat rentgenowski.

– Ja jestem Step Cshorty[2] – powiedział chłopak, podchodząc bliżej. – Ograniczona iluzja i jednokierunkowa telepatia.

– Uważaj, bo zamieni cię w królika! – zaśmiała się grubym głosem dziewczyna o półmęskiej twarzy z pawim piórem zatkniętym za wzorzystą przepaskę. – Catzy Herma – przedstawiła się, unosząc do góry rękę. – Wydział Poszukiwań w Rzeczywistości, czyli popularnie Radiestezja.

– Hej! – Mały wąsaty chłopaczek w lunetowych okularach oderwał się od stołu i przyskoczył do Jana. – Mówią, żeś wszechstronny, czy to aby prawda?

– Tak mówią? – wzruszył ramionami. – Pewnie coś w tym jest.

– Znamy takich wszechnauk blacharzy. Kończą na filozofii multystycznej, a potem lądują za regałami w bibliotece. Tam ich miejsce! – krzyknął czarnowłose chudzielec, zarośnięty aż po pałające ogniem oczy.

– Może powinien się popisać przed nami? – zaśmiała się Cshorty. – Dajcie no mu pałeczkę!

– Przestańcie mu dokuczać! – odezwała się z kąta dziewczyna o przemiłym, aksamitnym głosie. Jak to się stało, że jej dotychczas nie zauważył? Ubrana w strój bajadery, twarz miała zakrytą połyskliwym kwefem, rodzajem woalu, jaki jeszcze dwa

tysiące lat temu nosiły kobiety z Arabii. Muślin tajemniczo osłaniał jej kształty. Głos zza tej zasłony brzmiał wyjątkowo ciepło i melodyjnie. Jan wgapił się w nią oniemiały. – Poza tym ani złego słowa więcej o filozofii multystycznej – powiedziała dziewczyna. – Lepiej byś się nim, Apollo, zaopiekował, zamiast brać udział w tej sadystycznej orgii.

– Oho?! Następna ofiara Hanah Lamur! Miej się na baczności, kandydacie, to postrach wszystkich facetów w promieniu pięciuset mil od Krakatosu! – żartował brodaty Ulg Apollo. – Wchodź. Skoro piękna Hanah nam każe, musimy się tobą zaopiekować, zanim nas potnie ostrzejszym niż żmija językiem.

– Co się tak na nią gapisz?! – Fok Full skierował prosto w Jana cztery ufryzowane diable rogi w kolorze krwistej czerwieni. Wyglądały, jakby je dopiero co wyciągnął z ciała poprzedniej ofiary. – Nie próbuj się do niej dostawiać. Jest moja!

– Twoja – Six Dan w lunetorach zaperzył się i gotów był skoczyć na wielkiego jak góra Fulla – sądziłem, że moja!

– Twoja może i była, ale mnie wczoraj przyrzekła... – zaczął Full.

– Ale z was głupcy – przerwała Hanah zza zasłony. Wstała i wyszła z sali.

– Może to i lepiej, że sobie poszła. Jestem Molloy Sathanna. Teleportacja. Zademonstrować ci, jak to się robi? – ruda dziewczyna potknęła się trzy razy i zawadziła torebką o flakon, który spadł na podłogę z hukiem, zanim do niego doszła.

– Daj spokój, Molloy, jeszcze przez roztargnienie zostawisz głowę w międzyprzestrzeni. Z tym nie ma żartów – powiedział Ulg.

– Nie martw się, wtedy pożyczę od ciebie i wszystko będzie grało – odgryzła się Molloy, ale usiadła z powrotem na miejscu,

przy czym udało jej się strącić tylko rubinową popielniczkę.

– Zdaje się, że będziemy mieli wtedy drugą Catzy – wyzłośliwił się Dan, nigdy nie przepuszczał takich okazji.

– Lepiej mu się wreszcie przedstawcie, skoro trzeba z nim będzie egzystować w tych ponurych murach. Jestem Don Derdan. Nadwzrokowiec – powiedział spokojnym basem błady młodzieniec w ciemnych okularach.

– Nie wiadomo, czy trzeba będzie, założę się, że Mrok go wywali w tydzień, bo on mi nie wygląda na żaden talent – włączył się niechętny od pierwszej chwili Full.

– Uważaj, żebyś nie wyszedł na osła, domorosły jasnowidzu – odezwał się damsko-męski osobnik Catzy. – Już raz prorokował Sixowi złamanie nogi. Lepiej trzymaj język za zębami!

– A ja wam mówię, że to półgłówek! – Full usiłował za wszelką cenę sprowokować Jana, ale ten nie potrafił odwzajemnić uszczypliwości. Przeważnie w podobnych sytuacjach nie miewał problemów. Tym razem był zbyt szczęśliwy, żeby się przejmować, i trochę oszołomiony mnogością barwnych postaci, które go nagle otoczyły. Nie byli nawet specjalnie ekstrawaganccy, ich dziwność tkwiła w sposobie zachowania. Sprawiali wrażenie młodych, wręcz dziecinnie zadowolonych z życia i skorych do żartów, podczas gdy z łatwością można było zauważyć, że wielu ma już ponad trzydziestkę.

Z kłopotu wybawiła go jasnowłosa zwiewna panienska o słabym wysokim głosie, różowych policzkach i pełnych piersiach pod półprzejrystą bluzką w czarne kwiaty kolczaste.

– Nie zwracaj uwagi na tego wariata – powiedziała. – Chodź. Siadaj. Zagrasz ze mną w Timing? – wyciągnęła do niego bielszą niż najwyższej klasy papier smukłą dłoń. – Kink Vikink. Mów mi Kinky. Jestem na pierwszym roku jasnowidzenia

z prekognicją.

– Jan San – powiedział, siadając przy jej stoliku. – Możesz mi wyjaśnić, na czym polega różnica?

– Ale mu się spieszy? – skomentował od razu Six Dan.

– Oni z każdego nowego stroją sobie żarty – szepnęła mu na ucho Kinky. – Nie daj się złapać, jeżeli ci każą trzymać oś celową albo wytworzyć falender.

– Co mu tam szepczesz, „aniele wstecz i naprzód”? – zapytała Molloy. – Zastawiasz na niego sidła?

– Stepie Cshorty?! – wrzasnęła przez całą salę jeszcze jedna z dziewczyn, której Jan do tej pory nie poznał. – Czekam już piętnaście minut, aż się zdecydujesz wrócić do stolika?! Grasz czy nie?! – była to Aria Cesnatti. Step usiadł przed nią z nietęgą miną i przesunął figurę po wielobarwnej planszy „Kolorowców”.

– Założę się, że ta Kinky bezczelnie nas teraz sypie – Six Dan wbił palec w eteryczną blondynkę.

– Odejź! – obruszyła się. – Z wami w ogóle nie można dojść do ładu. Hanah miała rację, że wyszła. – Zacięła gniewnie usta, gotowa się już do nikogo dzisiaj nie odezwać.

– Mooooże mniiii ktoś wreeeszcie przeeedstaawi – włączył się nalany czarnoskóry obiekt, który świdrował czarnymi jak węgielki oczami zatopionymi w zwałach tłuszczu całą salę. – Tooo nieeeprzyzwoiiiite. Wbreeew doobrym manieeerom – ciągnął, rozwlekając niemiłosiernie sylaby. Podniósł rękę do czoła, by je przetrzeć, i zdawało się, że ten ruch nigdy się nie skończy, że będzie trwał wiecznie, takie miał tempo.

– W porządku – rzekł Ulg Apollo. – To jest Oro Tantral. Chyba już ostatni ze śmietanki towarzyskiej, którą koniecznie trzeba poznać, przekraczając progi naszej szacownej alma mater. Tylko z daleka od niego. Jeżeli oczywiście masz jakiś talent. On cię

od razu zneutralizuje. To inercja, a jak być może wiesz, oni uwielbiają się powoływać na tradycję sprzed tysiąca lat co najmniej, zwłaszcza na Sprengera i Institorisa, autorów „Hexenhammer”, Martinusa Delrio, Lactance’a, Tranquille’a, nawet autora „Flagellum...” Nicolasa Jaquiera! Popatrz na ten tetragram wyszyty na jego kołnierzu, na tę czarną książeczkę, co leży przed nim, toż to „Księga duchów”. Gotów nam tu zaraz stos rozpalić i wszystkich nas usmażyć na wolnym ogniu.

– Tyyyylko beeez taaakich głuuupich żaaaartów – Oro Tantral spłonął rumieńcem, który się przebił nawet przez hebanowy kolor jego skóry.

– Mówię wam, że on się nie nadaje – powtórzył z uporem maniaka Full.

– Skończ lepiej, Fok – odezwał się z ciemności narożnika jeszcze jeden głos. Siedział tam kamienny mężczyzna, około czterdziestki, ostrzyżony na jeża. Tchnął niesamowitym opanowaniem i spokojem.

– Atemok ma rację – powiedział Cshorty znad planszy. – Trzeba by ustawić tego, pożał się Boże, jasnowidza, bo się bez przerwy wymądrza!

– Czego się go uczepiliście? – to znów Six Dan. – Niech sobie gada, co mu ślina na język przyniesie. Tamten przecież też ma gębę i mógłby się sam odezwać. Zdaje się, że jest deczko nieśmiały? – Catzy Herma zaśmiała się ochryple, a pióro wypadło jej zza ucha na blat stołu.

– Ty, Six, uwielbiasz się kłócić. Jesteś jak bojowy kogut, tylko brak ci ostrogi – powiedziała Molloy.

– Uspokójcie się, bo pomyśli o nas, że jesteśmy bandą kłótliwych i niewychowanych półgłówków! – wtrąciła wyprowadzona z równowagi Kinky.

– Kinky, Kinky – Aria Cesnatti wychyliła łyk z kieliszka i spojrzała z politowaniem na blondyneczkę. – Koncept twój do piękności twojej ma się jak zero do nieskończoności! – poprawiła koszulkę z napisem „spit-spat” na wystającym prowokacyjnie biuście.

– Za to względna wysokość twojego biustu dorównuje Himalajom, a bezwzględna wysokość ilorazu inteligencji depresji w Niderlandach!

Rozległo się kilka pojedynczych śmiechów. Ulg zbliżył się do stolika i pociągnął Jana na bok. Od swej gry wstawała już z bojowym okrzykiem Aria, a Kinky wcale nie zamierzała rejterować.

– Uciekajmy stąd lepiej, bo zaraz tylko pierze poleci – Ulg błysnął w przyjaznym uśmiechu białymi zębami. – Pokażę ci co ciekawsze miejsca naszego małego Królestwa Psi.

Jan ruszył za nim, z obawą przyglądając się rozwojowi sytuacji.

– Nie przejmuj się nimi. Najwyżej wyzwą się na pojedynek i Aria jak zwykle przegra. Co jakiś czas powtarza się ta sama historia.

– Akademia zajmuje zdaje się 62 hektary? – zapytał Jan, zamykając za sobą drzwi.

– Widzę, że zdążyłeś już porozmawiać z tutejszym inforem. Wyszli na zewnątrz.

– Z tego wzgórza doskonale widać cały teren i przede wszystkim miasto – mówił Ulg Apollo, wspinając się po stromych schodach w kolorze tęczy.

– Co robiłeś przedtem? – zapytał Jan.

– Przedtem? – Ulg zamyślił się. – Czy to ważne? Jestem starszy niż ty. Mam trzydzieści lat i robiłem wiele rzeczy. Prawie każdy

ma tutaj skomplikowaną przeszłość. Trudno powiedzieć, na czym to polega. Zupełnie jakby zdolności psi szły w parze z ułomnościami innego rodzaju. Nadwrażliwość też robi swoje. Taka Kinky, na przykład, trzy razy w roku regularnie ląduje w klinice psychiatrycznej. Cierpi na rozdzielenie osobowości czy coś w tym rodzaju. Nie będę ci zresztą opowiadał szczegółów, bo nie o to chodzi. Inni też mają problemy, niekoniecznie tego samego rodzaju co Kinky. Może kiedyś ci opowiem o sobie – uśmiechnął się szeroko i poskubał po brodzie – ale do tego musielibyśmy się lepiej poznać... Pewnie już wiesz, że wydziałów jest dwanaście, to te średnie budynki.

– Zdawało mi się, że trzynaście.

– Trzynasty zajmuje się teorią ogólną i filozofią. Nie jest uznawany za wydział. Niby znajduje się ponad wszystkimi, bo obejmuje całość, ale żeby tam studiować, nie trzeba być psitalentem. Hanah Lamur nie ma żadnego psitalentu, jest tylko diabelnie mądra. Poza tym każdy wydział ma swój numer odpowiadający dwóm godzinom doby, każdy ma symbol odpowiedniego miesiąca i w danym miesiącu przewodzi pracom całej Akademii, posiada też odpowiednik w zodiaku zachodnim, zodiaku wschodnim, symbolice kabały, żywiole, planecie, kamieniu szlachetnym, wróżbie tybetańskiej, mult-domu i diabli wiedzą w czym jeszcze. Tego do końca się nawet nie ujawnia. Gdybyś został przyjęty na astrologię, pewnie by ci to pod koniec kursu wyjaśnili. Nie dziwisz się, że cię przyjęli?

– Dziwię. Ale bardziej cieszę.

Byli na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na obie strony. Wiatr targał włosami i miło chłodził po wspinaczce. Ołowiane chmury rozpierzchnęły się na boki i w fantastycznych kształtach gnały na zachód. Całe miasto oraz

teren Akademii widać było jak na dłoni. Biegło w dół niecki, a potem wspinało się na pasmo bliskich wzgórz otaczających pierścieniem kotlinę, dalej niknęło w kolejnym zagłębieniu między garbami i wspinało się na dalsze wzgórza odległe i zamglone. Jan odwrócił się ku południowi. Na widnokregu bardzo, bardzo daleko widniały skontrastowane z granatem nieba ostre, białoniebieskie góry.

– To Tat, najwyższe pasmo w Kar. Przed nimi góry Besk – powiedział Ulg. Wyciągnął rękę w drugą stronę ku miastu i objaśniał dalej. – Ta wysoka wieża to kościół św. Marii, najeżona wieżyczkami ciemna bryła na wzgórzu to zamek królewski pamiętający czasy wczesnohistoryczne. Dwanaście stożków porośniętych trawą to usypane przez ludność wokół miasta tak zwane Kopce, pomniki wielkich osobistości z historii miasta, kraju, potem kontynentu i całej Ziemi, ale tak naprawdę to ołtarze naturalnych bogów tej ziemi. Pogaństwo wcielone w życie przez tajemną gromadę Kudałów i Strażników Wiary Przyrodzonej Słowian. Jest ich 20, a do tego 68 wzgórz świętych. Najstarszy ma pochodzenie mitologiczne...

– Kopiec Kraka – przerwał mu Jan. – Poza tym tych miejsc jest 89 w Systemie Kopców i Świętych Wzgórz.

– Skąd wiesz?

– Już tu studiowałem. Psychologię na uniwersytecie. – Jan stuknął palcem w żółtoniebieską szarfę.

– Rzeczywiście. Mało jestem spostrzegawczy, a ty pozwalasz mi się wygłupiać.

– Czasem fajnie posłuchać.

– Widzisz tę alabastrową altankę zaraz obok G-5? To Sanktuarium L'Audala. W 1223 kazał się tam zakopać na sto dni w betonowym grobowcu.

– Jak Zalmoksis, albo Dionizos. I co?

– Po stu dniach go wyjęli i żył jakby nigdy nic. Miał to być eksperyment, który przekona niedowiarków. L'Audal jako jeden z pierwszych popierał tezy filozofów z Topiku. Ale może o tym też słyszałeś i niepotrzebnie strzępię język?

– Nie. Nie słyszałem. Nie interesowałem się nigdy filozofią.

– Topik to jedna z wojennych baz podmorskich założona jeszcze przed Kryzysem Ekologicznym w Rowie Mariańskim. Potem przestano jej używać, broń zatopiono i na wiele lat została zamknięta. Przez parę wieków należała do spółek geologicznych działających na zlecenie Unii. W okresie Chaosu po Wielkim Kontakcie wystawiono ją na licytację. Zakupiła ją międzynarodowa grupa złożona z filozofów i psychologów, specjalizujących się w badaniach nad świadomością i powiązaniem świadomości z fizjologią, a także sprzężeniem z Zaświatami. Znaleźli się wśród nich hipnotycy, sugestolodzy, psychologowie głębi, specjaliści od biofeedbacku, fizycy holistyczni i tak dalej.

– Coś sobie przypominam z kursu psychologii. To oni założyli potem szkoły Uczniów Ciała. W jednej z tych szkół wyrósł sam Erfrischer.

– Właśnie. Bez nich marlibyśmy jak muchy zaraz po siedemdziesiątce. L'Audal popierał w ogóle wszystkich, którzy wracali do zapomnianych w latach Unii idei. Erfrischer wykorzystał tylko jeden kanał, jedną z możliwości, jakie mogła dać kontrola świadomości nad organami ciała. Resztę, a zwłaszcza prepsioniczne eksperymenty Budnickiego, zarzucono, zginęły starte w pył zakazami cenzury unijnej, potępieniami oraz ekskomunikami Nowego Średniowiecza.

– Z tego, co wiem, jeszcze przed rewolucją przeprowadzano

podobne eksperymenty w Indiach i na całym świecie.

– To prawda, ale nie całym. Mógłbym ci o tym opowiadać godzinami. To jeden z moich koników. W każdym razie tam teraz leży, pochowano go z wielką pompą w 1265. Zejdźmy w dół. Stąd nie widać tego miejsca, bo je zasłania teraz G-0, to jest pod samym zachodnim murem. Zaraz zobaczysz. O! Fontanna Ifrytów. Akus III spędził tam na stojąco całą zimę 1389 roku po pas w wodzie, a potem ogłosił swoją „Ścieżkę chłodnego strumienia”. Ledwie skończył pisać latem 1390, zaraz dostał zapalenia płuc i umarł.

– Dużo tu jeszcze takich atrakcji?

– Akademia ma dopiero 450 lat, ale gdybym chciał ci pokazać wszystkie, to połazilibyśmy do wieczora. Zaraz będziemy przechodzić obok Płyty Harpida Skoczka z wyskakanyimi przez niego wgłębieniami w kształcie stóp. A dalej jest choćby muzeum zamrożonych wytworów iluzji, Kopalnia Alchemików – to ten hangar w dole na lewo, Studnia Owo Santany w podziemiach, mówią, że biegnie do środka Ziemi, Labirynt Summa Dżamatry – moim zdaniem wcale udane wcielenie idei Ogrodu o Rozwidlających się Ścieżkach Ts’ui Pena. A w użytkowanych aktualnie obiektach też by się znalazło sporo niesamowitości. Dam ci przykład, chcesz?

Jan kiwnął głową.

– Więc chodź!

Zbiegli lekko po schodach i skierowali się w sektor średnich pikowców wydziałowych. Po chwili marszu byli już przed frontonem granatowego G-7 Katedry Spirytizmu i Okultyzmu. Okrążyli gmach, omijając główne wejście. Ulg otwarł niewielkie drzwi od tyłu i weszli do środka. Od razu trafili do windy, którą Ulg Apollo skierował na trzeci poziom podziemi. Wysiedli. Teraz

przyszło im jeszcze przejść ciąg korytarzy. Długo krążyli rozwidlającymi się i pętłącymi korytarzami, nim stanęli przed drzwiami zamkniętymi starannie żelazną sztabą. Same drzwi także były zrobione z żelaza, masywne, jak w kasie pancерnej. Na sztabie zawieszono potężnych rozmiarów kłódkę.

– Zaraz zobaczysz. To, co jest w środku, może być trochę szokujące, więc się przygotuj.

– Jak tam wejdziemy? – zapytał Jan, przyglądając się kłódkce.

– Nie musimy. Widzisz? – wyciągnął zza pazuchy czarną laskę długości najwyżej trzydziestu centymetrów, zakończoną tak samo czarną, lśniąca kulka o średnicy najwyżej pięciu centymetrów. – To mój umklajder – powiedział Ulg. – Zaraz zrobimy z niego użytek.

– Umklajder?

– Tak. Przemieniacz.

Czarnobrody Ulg Apollo uchwycił oburącz jeden koniec laski, rozstawił szeroko nogi, a kulę skierował na drzwi.

– To dosyć trudne – wysapał skupiony na oburęcznym uścisku. – Drzwi mają dużą powierzchnię. Z całym bym sobie nie poradził, więc zrobimy wizjer.

– Czy to jest dozwolone? – zapytał Jan, który wolałby nie zamieszać się w coś sprzecznego z uczelnianym kodeksem, nim złoży pierwszy egzamin.

– Kto by się tam pytał! Każdy nowy powinien to zobaczyć. Taka tradycja.

Kulka na końcu laski zajaśniała nagle białłososiovym światłem, po czym rozjarzyła się jak spawalnicza elektroda. Ulg przytknął kulkę do stali. Rozległ się suchy trzask i pałeczka zgasła. Za to w miejscu, gdzie dotykała drzwi, metal zniknął. A raczej nie zniknął, tylko przemienił się w coś przezroczystego,

jak szklana szyba. W promieniu jakichś dwudziestu centymetrów od miejsca zetknięcia pałeczki z metalem szyba była zupełnie przejrzysta, dalej stawała się zamglona, wreszcie mleczna i na granicy trzydziestu pięciu centymetrów przechodziła w najzwyklejszy metal. Jana zamurowało.

Wpierw zamurował go sposób, jakim wejrzał do wnętrza, po wtóre zaszokował go widok, jaki się tym sposobem otworzył. Cztery osoby w czarnych bufiastych szatach unosiły się w powietrzu w pozycji leżącej. Na pierwszym planie pomarszczony siwowłosy mężczyzna, którego długa, biała broda miał zwisać ku ziemi wznosiła się na sztorc, w kierunku sufitu, dryfował w stronę kąta pomieszczenia na wysokości około pół metra nad posadzką. Tuż nad nim kołysała się majestatycznie, jak łódź na bocznej fali, wielka czarnowłosa matrona z diademem na głowie, przyozdobiona dodatkowo barwnym rajerem, z rękami złożonymi na piersiach i tuniką pokrytą pismem hieratycznym oraz podobiznami starosłowiańskich bóstw. Nadlatywała właśnie wprost na drzwi i Jan dokładnie widział rysunek zawikłanych linii na jej boskiej stopie oraz zawijający się spiralami pod podeszwę żółtawy paznokieć małego palca. Zdawało się, że zaraz zderzy się z drzwiami, ale gdy już-już miało to nastąpić, niewidzialna siła odepchnęła ją od stalowej powierzchni tak gwałtownie, że skrzyła prawie o dziewięćdziesiąt stopni i z rozpędu kopnęła w policzek staruszka. Nieszczęśliwy ten zbieg okoliczności spowodował, że kręty ostry paznokieć jak lancet przeciął skórę na woskowym policzku mężczyzny.

– O kurczę! – wysapał napięty do ostateczności Apollo, którym umklajder miotał po korytarzu. – Trzeba to chyba kończyć. Zdaje się, że mała kolizja. Lepiej zwijajmy się stąd.

Tymczasem w kierunku drzwi nadlatywała kolejna para. Ci byli szczepieni za ręce, chłopak i dziewczyna z naszytymi na piersiach literami G-7 i symbolami znaku Lwa.

– Jeszcze chwila i wpadną na drzwi! – krzyknął Jan przerażony ich pędem.

– Wiem, cholera! – Apollo szarpał się z umklajderem, niezamierzającym się wcale poddać jego woli i wciąż twardo przyssanym do powierzchni metalu. – To efekt różnicy temperatur. Pomóż mi. Ciągnij!

Jan uchwycił Ulga w pasie i szarpnęli razem. Laska odkleiła się na milimetr, potem na dwa, po czym wróciła do poprzedniej pozycji, jakby była przyciągana magnesem lub przytrzymywana silną sprężyną.

– Guma do zucia dla słonia – skomentował Ulg. Nadlatująca para w tym samym momencie odskoczyła od drzwi z rzadką gwałtownością. Wprawilo ją to w ruch obrotowy, kręcili się jak na karuzeli, jakby sami stali się sztywną osią, która raz po raz uderzała to w staruszkę, to w matronę i rozstawiała ich po kątach. – Diabli nadali. Ładnie się posiniaczą. Musimy jeszcze raz!

– Co tu się dzieje?! – rozległo się naraz za ich plecami.

Ulg z przerażenia wypuścił pałeczkę i razem runęli na posadzkę z głupimi minami.

Za ich plecami stał niski Japończyk. Pozbierali się jak mogli najszybciej i Apollo natychmiast przybrał postawę zasadniczą. Jan poszedł w jego ślady. Złożyli głęboki ukłon. Japończyk go odwzajemnił.

– Wiecie, że tego nie wolno robić?!

– Tak jest, mistrzu Kayano – powiedział Ulg.

– Wiecie, co grozi za tego rodzaju wybryk?

– Tak jest.

Kayano zbliżył się do drzwi. Właśnie się zanosilo na to, że matrona i staruszek z całej siły wyrzną się głowami w zderzeniu czołowym.

– Profesor Rybin ma przecięty policzek, a pani Hiu Ping pełno sińców na rękach i nogach. Czy to wasza sprawka?

– Tak jest – powiedział Ulg, patrząc wprost przed siebie. Kayano wyjął z kieszeni krótką, białą pałeczkę i uderzył nią przyssany do drzwi umklajder Apolla. Umklajder natychmiast upadł na podłogę, a szklana powierzchnia utraciła przejrzystość, zmatowiała i zbielała, by po sekundzie wrócić do najnormalniejszego w świecie stanu, to znaczy stanu nieprzejrzystego metalu.

– Zakłóciliście spokój Wiecznie Lewitujących. Możesz się spodziewać najgorszego, Ulgu Apollo.

– Tak jest, mistrzu.

– A ty jak się nazywasz?

– Jan San.

– Więc jesteś tym nowym uczniem?

– Tak. – Jan spuścił głowę, było mu wstyd.

– Ładny początek. Nagana z zawieszeniem stypendium na miesiąc. Zostaniecie ukarani podczas wieczornego apelu. A teraz proszę odmaszerować. Twój umklajder zostanie zatrzymany. Profesor Daul zadecyduje, co z tobą począć. Może nawet na kwartał wykluczyć cię z iluzyjnych ćwiczeń.

– Tak jest – powiedział Ulg i uklonił się nisko. Jan także złożył pokłon i odeszli w ponurym milczeniu. Dopiero na powierzchni wróciło im nieco mowę. Apollo robił wrażenie poważnie zmartwionego.

– Myślisz, że cię wykluczą? – zapytał Jan.

– Bez sądu koleżeńskiego na pewno nie. Kayano lubi trochę postraszyć, ale to równy facet. Zobaczymy, co wieczór przyniesie.

– Co to było właściwie tam, w tej sali?

– Umklajder był źle wysterowany. Wydawało mi się, że te drzwi są z czystej stali, a musi w nich być jakaś domieszka. To za trudne do wytłumaczenia komuś, kto nie ma zielonego pojęcia o Iluzji.

– Nie o to pytałem, chodzi mi o tamtych ludzi?!

– Ach! To są Wiecznie Lewitujący. Nie wiadomo, co się dokładnie stało. Lewitują tak już przeszło sto lat. Najprawdopodobniej to był błąd Rybina albo tej Hiu Ping. Tamtych dwoje to tylko uczniowie. Robili eksperyment w zbiorowej lewitacji pod kontrolą jednego medium w 1568 roku.

– Więc oni żyją?!

– Starzeją się bardzo powoli. Co pięć lat wchodzą tam roboty, strzygą ich, golą, obcinają paznokcie. I to jest wszystko, co można dla nich zrobić. Ich przemiana materii prawie nie istnieje. Gdyby było wiadomo, w jaki sposób ich obudzić, to kto wie, czy nie mielibyśmy do czynienia z kolejnym przełomem. W końcu to zupełnie co innego niż hibernacja.

– Stan prawie naturalny – powiedział w zamyśleniu Jan. – I nie trzeba ich karmić?

– Wystarczy nawilżanie o odpowiednim składzie chemicznym. Od stu lat wyglądają jak nietknięci.

Znajdowali się właśnie w pobliżu przewróconego na bok jaja biblioteki. Po stopniach jak zjawa, niemal tanecznym krokiem, schodziła Hanah Lamur. Twarz miała teraz odsłoniętą i Jan wydał na jej widok nieartykułowany okrzyk zachwyty. Ulg przypatrzył mu się niechętnie z boku. Hanah była naprawdę

piękna i nic dziwnego, że posiadała tylu adoratorów. Jej delikatna, o regularnych rysach twarz promieniowała kobiecością. Nie było to jakieś nieuchwytnie wrażenie, lecz wręcz namacalny fakt. Niemalże można było zauważyć ten czarodziejski fluid, który całkiem bezpłatnie wysyłała na wszystkie strony, wabiąc i niewołąc osobników odmiennej płci. Kobiety umiały to robić od wieków i wcale do tego rodzaju czarów nie potrzebowały psi-talentu. Uśmiechnęła się do nich i poszła w swoją stronę. Apollo stał także przez moment niezdecydowany, po czym pożegnał szybko Jana i rzucił się w pościg za dziewczyną. Jan został sam na środku pustego placu. Spojrzał na zegarek. Trzy godziny do obiadu. Zamówił ixsar. Postanowił przejechać się do centrum, by sobie trochę przypomnieć miasto.

Od inforu w swoim akademiku, gdzie dobrze po południu wylądował, otrzymał wiadomość, że wieczorny apel odbywa się każdego dnia o innej godzinie, która jest wcześniej zapowiadana, za to zawsze w tym samym miejscu, czyli w Sali z Wgłębieniem, na parterze G-0. Tym razem miał być o godzinie dziewiętnastej, a więc pozostały mu do wypełnienia kolejne trzy godziny.

Kręcił się beznadziejnie po domu. Przeszedł wszystkie pomieszczenia, z którymi wczoraj z powodu późnej godziny nie zdążył się zapoznać, w końcu go to jednak znudziło. Wszedł do biblioteki i bezmyślnie przeglądał stosy mnemokasetonów, lovidów oraz tytuły starych foliałów ustawionych szeregami na półkach. W końcu zamówił przez infor folie, pliki dyski, a nawet dwie książki na temat lewitacji, umklajderów i falenderów, czyli tego, co go dzisiaj najbardziej zaszokowało. Wiecznie lewitujący nie dawali mu spokoju. „Jak to możliwe – myślał – by przez sto lat trwali w katalepsji i nie starzeli się, nie

potrzebowali pokarmu, nie wydalali, a jedyną oznaką życia pozostawały rosnące włosy i paznokcie?!”. Jeszcze bardziej wstrząsnęła nim demonstracja możliwości umklajdera. Coś tam słyszał o iluzji, ale jej adepci stanowili zamkniętą i niedostępną kastę, a poza tym w ogóle nie rzucali się w oczy swymi działaniami na co dzień. Niektóre opowieści na temat iluzjonistów wkładał między bajki. Zanim zabrał się do lektury, którą dostarczył mu przez pneumo biblioteczny infor, przejrzał pobieżnie plan egzaminów, znaleziony na stoliku w pokoju do nauki (III piętro). Wynikało z niego, że zaczyna jutro o ósmej rano, na Telepatii u mistrza Telly Phonevalasa w gmachu G-4. „Telepatia – pomyślał sobie. – Więc już jutro okaże się, że jestem do niczego. Ten Phonevalas to nie Hokus, a zresztą mają przecież obiektywne mierniki”. Żaden podstęp nie wchodził w grę, nie mógł też liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Odsunął od siebie ten przykry temat. Próbował coś jeszcze wskórać u inforu, ale nic to nie dało, tylko się zdenerwował.

– Wolałbym zacząć od intuicji! – powiedział do inforu. – Czy to możliwe?!

– Wykluczone – odpowiedział kategorycznym tonem infor. Już sam ten ton, niespotykany w zwyczajnej sieci usługowej, wystarczyłby, żeby go wyprowadzić z równowagi.

– Mógłbyś mówić nieco miłszym tonem?

– Mam prawo do takiego tonu, jaki mi się podoba – powiedziało bezczelne urządzenie. – Jestem inforem dydaktycznym i w razie niewłaściwego postępowania ucznia mogę nawet zastosować środki nadzwyczajne!

– Coś takiego? Na przykład jakie?!

– Aż do tymczasowego osadzenia w areszcie domowym włącznie, jeśli delikwent wykazuje na przykład brak

podstawowych wiadomości, a zbliża się egzamin, i skądinąd wiadomo, że wałkoni się i rozbija zamiast pracować! – pochwalił się infor.

– Niebywałe?! Ze mną będziesz musiał rozmawiać inaczej, automacie!

– Tak się panu zdaje? Ze mną lepiej żyć w zgodzie. Proszę mi nie ubliżać od automatów. Wybaczam dziś panu w drodze wyjątku, bo jest pan tu nowy i nie zna jeszcze regulaminu, ale oto on! – z pneumo wyskoczyła zielona folia. – Proszę dokładnie przestudiować, jeśli pan nie chce mieć kłopotu.

Rozzłoszczony Jan złapał kartkę i podarł ją w strzępy.

– Czy to jakieś więzienie?! – zapytał z przekąsem.

– Uczniom zapewniono warunki najlepsze z możliwych z punktu widzenia wielu dyscyplin, między innymi bioenergetyki. To nie jest więzienie i proszę nawet nie żartować w ten sposób. Akceptacja w całej rozciągłości regulaminu jest warunkiem wstępnym, przedegzaminacyjnym!

W tym momencie Jan musiał się uznać za pokonanego i zrezygnował z dalszej utarczki słownej.

– Więc nie da się przełożyć intuicji na początek?

– Ma pan harmonogram przed sobą – powiedział sucho infor i wyłączył się.

Wydział Intuicji znajdował się w tym harmonogramie na dokładnie ostatniej, dwunastej pozycji. Jeden dzień na zajęcia w każdym z wydziałów. Miał tylko nadzieję, że nie wyleją go, zanim przejdzie przez wszystkie z nich. W końcu dotrze do Intuicji i tam pokaże, na co go stać. Jego przypuszczenia nie były w tym względzie bezpodstawne. Miał za sobą kilka przypadków trafnego sondowania, i to w sytuacjach, które wydawały się nieprawdopodobne. Na przykład na Jowiszu,

w orbitalnym mieście kolosie Zeusville, co do dnia przewidział datę zamachu stanu połączonego z pałacowym przewrotem, mimo że zupełnie się nie orientował w tamtejszych koteryjnych układach politycznych. Żeby odegnać obawy i złe myśli, zabrał się za lekturę podręcznika o technikach iluzji. Wywody autora tak go wciągnęły, że ślęczał nad księgą do samego gongu oznajmiającego apel.

Cała technika trwałych i czasowych iluzji opierała się na teorii Inno Johnstone'a, który żył w latach 465 do 599[3] najnowszej ery, prowadząc przez całe niemal życie zaciekle badania nad ciałometalem i nowo odkrytym przez siebie gazem, anagnonem. Wiele lat strawił ten wielki uczone na tym, by zmusić ów gaz do skroplenia się. Wreszcie po ciężkich bojach, przy zastosowaniu wymyślnej aparatury, całego ciągu ujemnych wzmacniaczy, w których udało mu się wytworzyć sprzężenie krioniczne, dokonał tego cudu. Okazało się wtedy, że anagnon przechodzi w stan ciekły poniżej temperatury uważanej za zero absolutne. Odkrycie to otwarło przed światem cały nowy dział fizycznej wiedzy, nazwany przez odkrywcę krainą infraciepła. Substancje sprowadzone doświadczalnie poniżej zera absolutnego radykalnie zmieniały swe właściwości. Dokładnie cały cykl żmudnych badań opisał we fragmencie „Przemian” poświęconym Inno Johnstone'owi już H. Mathews.

Zainteresowanych tą wstępną fazą eksperymentów książka odsyłała do tego właśnie dzieła. Wspominano tutaj tylko to, co niezbędne dla zrozumienia dalszych wywodów na temat iluzji, dokonywanych za pomocą umklajderów bądź falenderów. Tak więc na przykład w świecie infraciepła diamenty uzyskiwały postać nadzwyczaj lekkiego gazu, oziębiona stal stawała się miękka jak truskawkowy dżem, drewno okazywało się być substancją ciekłą, zaś cyna doprowadzona do wrzenia wykazywała silne działanie promieniotwórcze tysiącrotnie

przewyższające działanie radu. Samo odkrycie lustrzanego obszaru infraciepła, po drugiej stronie bariery zera absolutnego, nie stanowiło jeszcze tak wielkiej rewelacji, bowiem przewidział to teoretycznie Slavus White-Ski w filozoficznej pracy o multystycznym charakterze wszechświata, gdzie na dziesiątkach cirkoid rozpatrywał zjawisko symetrii. Zestawienie w jednej cirkoidzie pojęcia zimna i ciepła doprowadziło do wniosku, że dopiero zero absolutne jest miejscem właściwego zetknięcia się obszarów ciepła i zimna i że za nim powinien się rozciągać cały obszar stanów odpowiadających dokładnie stanom znanym nam z obszaru ciepła. W jego cirkoidzie regiony zimna sięgały tak samo wielomilionowych wartości, licząc w stopniach Celsjusza, i łączyły się na drugim biegunie wykresu z regionami wielkiego gorąca (temperatury supernowych i wyższe) za pomocą jednego nagłego skoku od minus n-milionów stopni do plus n-milionów stopni. Skok ten graniczyłby z cudem, i niewiele lat wcześniej okrzyknięto by go niemożliwością i łgarstwem, gdyby nie całkiem podobne zjawisko dobrze znane już od dawna fizyce kwantowej. Tak więc według S. White-Skiego cynk wrzał nie tylko w temperaturze plus 907° Celsjusza, lecz także przy minus 1180° Celsjusza, a wolfram topił się nie tylko przy 3410° Celsjusza, ale również w temperaturze -3683° . S. White-Ski sądził, iż Wszechświat zwany przezeń Rzeczywistością jest idealnie symetryczny, jednakże, jak dziś wiemy, jest on nieco bardziej lewoskrętny. Dzięki temu drobiazgowi Inno Johnstone wprowadził w zadziwienie wszystkich, którzy się z jego odkryciami zetknęli. Oto bowiem cynk, wrzący po tej stronie bariery ciepła (lub jak kto woli zimna), wrzał inaczej niż jego odpowiednik po tamtej stronie i miał z tego powodu zupełnie odmienne właściwości

Podobne fenomeny dotyczyły każdego ze znanych ówczesnie pierwiastków. I. Johnstone zmarł jednak, nie zdążywszy (jak wspomina H. Mathews) wykonać zasadniczej części swych eksperymentów z rozkładem w tych niezwykłych warunkach bardziej skomplikowanych związków chemicznych i mieszanin.

Pałeczkę po nim przejął natychmiast John Innocentus. Rewelacje, jakimi sypnął światu w oczy, przechodziły ludzkie pojęcie. Oto bowiem wolfram oziębiony anagionem w towarzystwie stałego ciałometalu do temperatury 2250 Inf, czyli minus 2523°C, w zetknięciu z gazową formą żelaza dawał stop ciągliwy jak guma, lekki jak pianka, lecz tak spoisty, że najtwardszymi diamentami nie sposób go było naruszyć. Diamenty zresztą nie nadawały się za bardzo do cięcia czegokolwiek w warunkach infraciepła, doskonale spisywał się za to stały ksenon i neon. Okazywało się, że wodorowe lemieszce, na przykład, mogłyby z powodzeniem przeorać i granitowe skały Karakorum, pod warunkiem, że jedno i drugie sprowadzono by do odpowiednio niskiej temperatury. Nie będę tu nawet wspominał – pisał autor podręcznika – o takich osiągnięciach Johna Innocentusa jak lekkostrawna forma kwasu siarkowego, wysokokaloryczny, pożywny cyjanek infrapotasu czy demonicznie trucicielska odmiana lotnego węgla C₁₄.

J. Innocentus nie poprzestał na rozkładach i syntezach ciał w obrębie królestwa infraciepła. Wkrótce poszedł dalej i zbudował aparaturę, która umożliwiała mu doświadczenia nad syntezą między związkami typu „infra” a ich odpowiednikami w świecie „zwykłych” temperatur. Rewelacja goniła rewelację. Można bez przesady powiedzieć, że byłyby to najbardziej rewelacyjne odkrycia ósmego stulecia najnowszej ery i że z pewnością otrzymałyby za nie Nobla, gdyby nie to, że w obawie

przed Inkwizycją Unii Ekologicznej J. Innocentus zmuszony był otoczyć je głęboką tajemnicą, a Nagroda Nobla od ośmiuset lat już nie istniała. Lecz wracając do tematu – cóż jeszcze niezwykłego mogło się okazać po jego doświadczeniach, czy to w ogóle możliwe? – zapyta sceptyk. Możliwe. Możliwe, bo oto infrasód w zetknięciu ze zwykłym sodem dawał zwyczajną wodę – H_2O , infrawodór ze zwykłym wodorem przekształcał się w miedź, inframiedź ze zwyczajną platyną dawała mietynę, dawniej nieznaną, zaś infraplatyna z miedzią przechodziła w gazowy molibden. Infrazłoto łączyło się ze wszystkimi znanymi pierwiastkami bez żadnych problemów. Infrakadm z żelazem dawał selen, infrazelazo z kadmem zaś lit, żelazo z infrazelazem dawało szkło, infrakwarc z helem żelbeton itd., itp. Zaiste nie można się było dopatrzeć w tym wszystkim żadnego sensu. Rychło też John Innocentus oszalał, zdawszy sobie sprawę, że oto za jego przyczyną liczba związków chemicznych, możliwych do wyprodukowania i koniecznych do opisanie, zwielokrotniła się nie wiedzieć do której potęgi.

J. Innocentus wstąpił do Unii i zmarł jako mnich w klasztorze Newmariawitów, w ciemnych ostępach borów Amazonii. Jego poletko niedługo jednak leżało ugorem, jako że jeszcze na wiele lat przed ostatnim swym doświadczeniem zmuszony był sprawić sobie pomocnika, którego wtajemniczył i zaprzysiągł.

Pomocnik ten nazwiskiem Joino Stocenton nie myślał zbyt wiele i długo się nie zastanawiał, lecz przeszedł rychło do chemii organicznej. Okazało się, że i tutaj rozciągają się prawa Johnstone'a i Innocentusa, tak więc łatwo infrabułkę z masłem zamienić w żywego kanarka, infradżem w zwykły dżin, a zwykły dżin w infralody malinowe. Inframola w zwykłe radio tranzystorowe, infrazabę w pachnącą sosnę, inframasło

w hartowaną stal, a motyla w baletnicę. Teraz wszystko już było możliwe i działałoby się dalej zupełnie jak w bajce, gdyby nie to, że wszystkie te zsyntetyzowane (zawsze z mniejszym lub większym energetycznym wyładowaniem) związki okazały się nietrwałe. Kiedy nasz młody chemik Joino zajrzał do pozostawionych przez Innocentusa próbek, zobaczył, że nie ma tam nic zadziwiającego, mietyna bowiem rozpadła się błyskawicznie na miedź i platynę, zaś miedź zsyntetyzowana z infrawodoru stawała się zwykłym wodorem i ulatywała w niebo lub wybuchała z niemiłym trzaskiem. Rychło również pełna beczka dżinu, którą Joino przezornie wyprodukował z infradżemu, przekształciła się w zwyczajną marmoladę. Drogi nauki są kręte, a sukces często bywa połowiczny. Joino nie miał zwyczaju załamywać rąk, do dalszych prac potrzebował jednak pieniędzy.

Sytuację ułatwił Wielki Kontakt w roku 896 i upadek Unii. Joino wypłynął ze swoimi rewelacjami na powierzchnię, a w miejscu komórki i piwniczki, gdzie w głębokiej tajemnicy warzył i prażył białe tezy, wyrósł potężny zakład badawczy, a potem koncern Joino Corporation przemieniający na każde żądanie klienta żelazo w złoto... z krótkim terminem gwarancji. Jednocześnie Joino prowadził nadal prace nad stabilizacją otrzymywanych z krainy infraciepła podarunków. Byłoby mu się to pewnie nawet udało, gdyby nie coraz liczniejsze pozwy do lokalnego sądu i pomówienia o oszustwo. Początkowo radził sobie w ten sposób, że ponownie przyniesione z pretensjami żelazo, co miało być złotem, lecz właściwości utraciło, raz jeszcze w formie złota stabilizował. Ponieważ prace nad stabilizacją postępowały opornie, z czasem klienci mieli tego dosyć i Joino musiał zwinąć interes.

Zniknął bez śladu, pozostawiając tajemnicę grupce zdolnych

inżynierów, których wciągnął do współpracy. Działo się to w roku 1945, a grupę tworzyli Stalton Meir, Wład Kowalski, Byrlane Froidjunk i Gian Ben Gian Czwarty. Joino Corporation przekształcono z kuglarską sprawnością w Meir-Gian-Kowalski-Froidjunk Foundation, tak że firma szarpana dotychczas pozwami wywinęła się z procesów, nie tracąc złamanego grosza. Jednak, jak to zwykle bywa, gdy liczba wspólników powiększy się niebezpiecznie, natychmiast doszło między nimi do kłótni i wkrótce drogi wszystkich czterech się rozeszły. Froidjunk przeniósł się na pole psychologii. Gian Ben Gian Czwarty po pierwszych niepowodzeniach również zmienił dyscyplinę, a niedługo w tajemniczych okolicznościach zakończył życie. Pozostali dwaj pracowali zawzięcie, nie kontaktując się ze sobą, chyba że na procesach o spadek po Joinie Stocentonie. Z tych dwu Stalton Meir wykazał się większą wytrwałością i w 1993 roku najnowszej ery ogłosił wyniki swych badań nad „Stabilizowaniem mieszanych związków infranormalnych oraz normoinfrycznych”. Z pracy tej wyczytać można wszystkie obowiązujące do dziś podziały dla zjawisk iluzyjnych. Kardynalne prawo Staltona Meira mówi, że związków infranormalnych (tak samo jak normoinfrycznych) nie można utrzymać w stałej stabilizacji, przez co w mniejszym lub większym stopniu są zawsze nietrwałe. Dzieje się tak, gdyż mają one charakter sprzeczny z naturą naszego wszechświata. Być może w innych wszechświatach, jeżeli takowe istnieją, związki o podobnych własnościach dałoby się ustabilizować trwale. W naszych warunkach jest to niemożliwe głównie przez to, że infraciała wykazują pewne cechy charakterystyczne dla antymaterii. Przy użyciu różnych katalizatorów z grupy substancji pośrednich, o liczbach atomowych od 400 do 600, czyli

z końca nowej tablicy pierwiastków (bo starą tablicę Mendelejewa już doświadczenia Innocentusa rozłożyły na łopatki), które wykazują działanie łagodzące sprzeczności między materią i antymaterią, udało się wydłużyć czas trwania iluzji (zależnie od rodzaju substancji) od kilku sekund do kilku miesięcy.

Jan czytał Księgę z zapartym tchem. Byłby nie usłyszał w ogóle gongu i całkiem zapomniał o apelu, gdyby nie kategoryczne żądanie natarczywego inforu, który krzykiem oderwał go od tego dziwnego dzieła. Z żalem rozstawał się z grubaśnym folialem. Ostatnie zdanie, które doczytał już niemal w biegu, stwierdzało, że od odkryć Stalona Meira był tylko mały kroczek do wyprodukowania umklajderów. Inaczej zaś miała się sprawa z falenderami. Te drugie bowiem służyły do wytwarzania iluzji „z niczego” i zostały wyprodukowane po raz pierwszy ledwie sto trzy lata temu.

Zjeżdżając windą, rozmyślał nad infraciałami, ciałometalem oraz losem Joino Stocentona i z przerażeniem stwierdzał, że posiada poważne luki w wykształceniu. Nie przypominał sobie podobnych wiadomości z kursu chemii i fizyki w szkole elementarnej. Chemia jawiła mu się teraz jako nieokiełznana potęga, osobny świat, w którym możliwe jest dosłownie wszystko.

Sala z Wgłębieniem istotnie była salą z sześciokątnym wgłębieniem pośrodku. Gdy wszedł, znajdowali się tam już wszyscy, lecz panował jeszcze swobodny nastrój. Przyciszony gwar rozmów przetykany był szuraniem krzesel sadowiących się na miejscach uczniów oraz skotłowanego we wgłębieniu grona. Na znak profesora Mroka wszelkie hałasy ustały. Jan szybko usiadł na jedynym wolnym fotelu dostawionym

do sześćdziesięciu krzeseł ustawionych w równoległoboku 5 x 12. Czuł się jak wyrostek robaczkowy w tym pięknym zgeometryzowanym ciele braci uczniowskiej, niepotrzebny i poza nawiasem. Było tradycją Akademii od samych jej początków, iż na każdy z dwunastu wydziałów jednocześnie mogło uczęszczać tylko pięciu uczniów. System ten brał się z przeświadczenia o pełnej symetrii wszechświata, spadku w prostej linii po Slavusie White-Skim, uznanym kultyście, a także dużo starszych ezoterycznych tradycjach sięgających rodowodem Arkaimu, Bractwa Kudałów, Starosłowiańskiej Świątyni Światła Świata, Szczepu Rogate Serce, Wielkiej Łoży Wschodu... i roku 5000 p.n.e. Co ciekawe, uczniowie i wykładowcy trzynastego wydziału, zwanego często i zerowym, w którego pomieszczeniach to zebranie się odbywało, nie mieli prawa wstępu na salę. Apele ciągnęły się nieprzerwanie dzień w dzień od czterystu pięćdziesięciu lat. Jan z niejakim zawodem pomyślał, że nie zobaczy Hanah Lamur, na co w duchu liczył. Zresztą może to i lepiej. Nie miał szans przy obstawie Foka Full, Sixa Dana i Ulga Apollo, a kto wie, ilu się jeszcze w niej podkocowało. Musiała z niej być nie lada szelma^[4]... Zapadła grobowa cisza.

Mrok wstał i otworzył usta... ale nie zdążył wypowiedzieć nawet pierwszej sylaby, kiedy zdarzyło się coś niesamowitego. Rozległ się suchy trzask, na sekundę zgasło światło, po czym oczom studentów i skonsternowanych nauczycieli, nad ich głowami, ukazał się fosforyzujący, amarantowy napis wiszący w powietrzu bez żadnego punktu zaczepienia. Tworzyły go grube, nieforemne litery stylizowane na stary alfabet łaciński. Napis głosił:

„Noc ukoronowana natchnieniem”. Jan pomyślał w pierwszej chwili, że jest to normalny punkt programu. Prędko zmienił zdanie, gdy szepty zaskoczenia przerodziły się w okrzyki zdziwienia i w harmider przestachu zmieszanego

z konsternacją. Te same okrzyki dało się słyszeć wśród skupionego we wgłębieniu grona. Mistrz Kayano pokazywał napis palcem, Mrok spurpurowiał ze złości, a Hokus opadł ciężko na fotel, jakby miał zaraz dostać zawału.

– Czyj to dowcip?!!! – ryknął profesor Muski, ciskając na podłogę w przystępie wściekłości swe napoleonopodobne nakrycie głowy. – To niespotykana bezczelność! – krzyczał. – Odkąd pamiętam, uroczystość apelu stanowiła dla uczniów świętość! Kto to zrobił, niech natychmiast się przyzna!!!

Zaległo ponure milczenie. Jeden patrzył po drugim, lecz nikt nie kwapił się, by wystąpić i przyznać się do winy.

– Jeżeli nikt się nie przyzna, w stosunku do wszystkich wyciągnięte zostaną konsekwencje!! – pienił się Mrok. „Dwaj cholerycy – pomyślał Jan. – Zaraz bańki wyjdą im nosem”.

Pewnie tak by się też i stało, gdyby nie podniósł ręki Step Cshorty.

– Jako Prezydent Semestru chciałbym szanownemu gronu oświadczyć – powiedział Step ze spokojem – że nie wydaje mi się, aby to któryś z uczniów dopuścił się tego żartu. Wszyscy znają regulamin i znaczenie apelu.

– Tylko Nowy nie zna – rzucił zawistnik Fok Full.

Oczy całej sali zwróciły się nagle ku odstającemu jak wyrzut sześćdziesiątemu pierwszemu krzesłu. Zawisły ciężko na Janie. Jakby mu kto przywiesił kamień młyński do szyi.

– Tto... tto nie ja – wybąkał buraczkowoczerwony.

– Foku Full? – odezwał się niespodziewanie rektor P. Hokus. – Chyba wiesz, że by dokonać takiej materializacji, trzeba być zaawansowanym iluzjonistą?! Nieładnie załatwiać porachunki prywatne przy tej okazji.

– W porządku – powiedział nagle uspokojony profesor Mrok.

– Na razie nie będziemy się tą sprawą zajmować. Winowajca ma czas do jutra w południe. Powinien się zgłosić w moim gabinecie. Teraz póki co proszę zlikwidować ten głupi napis.

Zrobił się ruch, szum i bieganina. Jak spod ziemi wyrosły seledynowe umklajdery pięciu studentów Iluzji. Wyglądały inaczej niż czarna pałeczka Ulga Apollo czy biała mistrza Kayano. Jan zwrócił na nie szczególną uwagę. Miały po pół metra długości i średnicę około pięciu centymetrów. Prędko pojawiły się też drabiny. Iluzjoniści wspięli się na nie i wkrótce przytykali swe umklajdery do wiszących nieruchomo liter. Pozostali patrzyli na te czynności z niejakim napięciem. Nie słyszało się chichotów, atmosfera była poważna, jakby rzeczywiście wydarzyło się coś strasznego. „Phi – myślał Jan – parę głupich liter, piętnaście minut opóźnienia i tyle wrzasku. Zamiast to wziąć z humorem, robią rwetes”. Ulg Apollo także wspinał się po szczelkach i zdążył dotrzeć na szczyt swej drabiny. Bódl błyszcząca, amarantową literę „N”, pierwszą w szeregu nienawistnych liter, końcem swej magicznej laski. Nie było jednak słyhać żadnych trzasków, hałasów z tamtej okolicy, ani też nie pojawiał się biały płomień na szczycie jej kulistej głowy. Także żaden z pozostałych uczniów nie osiągnął w swym dziele najmniejszego sukcesu. Na dole dawało się odczuć rosnące zniecierpliwienie. Profesor Dual, klnąc pod nosem, wygramolił się z dziury i kazał im się do wszystkich diabłów wynosić. Był biały jak kontrast do prześwietlania żołądka i ręce mu latały ze zdenerwowania. Wyszarpnął zza pazuchy swój umklajder i odepchnąwszy Ulga Apollo, wdrapał się ku wielkiej literze „N”. Widać właśnie z nią pragnął najbardziej się zmierzyć, może dlatego, że była pierwsza, może dlatego, że prezentowała się najokazalej, a może, ponieważ wyróżniała się jako jedyna

napisana przez nieznanego sprawcę w dużym alfabecie. Profesor przystawił się do niej, zacisnął zęby, zamknął oczy, wymamrotał coś pod nosem i... nic. Niewiele udało mu się zdziałać. Jego umklajder zaskwierczał, zasyczał, puścił smugę dymu, posypał iskrami i byłoby go na dodatek przyssało do powierzchni amarantowego „N”, gdyby nie szarpnął go w porę z całej siły do tyłu. Jeszcze kilka razy próbował skonsternowany niepowodzeniem, ale bez skutku. Coraz większy szum się robił wśród zebranych i gdzieś tam wybuchwały pojedyncze, gromkie śmiechy. Mrok uznał za stosowne wkroczyć do akcji.

– Profesorze Dual – powiedział sztucznie napuszonym tonem.
– Niech pan to zostawi. Jesteśmy bardzo spóźnieni.

Dual niechętnie spuścił się na dół i wrócił do niszy, gdzie było jego miejsce. Przez całe następne piętnaście minut nadzwyczajnie skróconego apelu, z którego wyeliminowano kazania umoralniające i energetyzujące śpiewy, popatrywał zaniepokojony ku sufitowi Sali z Wgłębieniem. Apel zakończono obiecaną naganą dla Ulga Apollo i Jana San – miesięczne wstrzymanie stypendiów. Oba stypendia przeznaczono na wyrównanie szkód, jakie powstały w Komorze Wiecznie Lewitujących. Jan nie przejął się tym specjalnie, właściwie nawet ta wiadomość nie bardzo do niego trafiła. Pochłonięty był bowiem trzema rzeczami: rozmyślaniami nad Fokiem Fullem, którego nienawiści do siebie zupełnie nie rozumiał, sensem wiszącego jak amarantowa przestroga napisu „Noc ukoronowana natchnieniem” oraz treścią rozdziału o infracieple i czekającymi go wiadomościami na temat umklajderów.

U. Zagadka

Tego wieczoru nie było mu jednak dane zasiąść do ponownej lektury, choć bardzo pragnął się dowiedzieć dalszych losów Stalona Meira. Ledwie wziął książkę do ręki i zdążył uważnie oglądnać okładkę oraz tytułową stronę, gdy usłyszał buczenie sygnalizatora u drzwi. Schodził po schodach z drugiego piętra, gdzie znajdował się living room, i zastanawiał się, czy słyszał kiedykolwiek o wydawnictwie „Kamień milowy” figurującym w stopce, lub mieście Uhr, z którego miało ono pochodzić, albo o autorze Ether Lügen Imposterze, i nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Uhr. Uhr? Gdzieś mu się ta nazwa obijała o uszy, ale nie potrafił sobie przypomnieć, zwłaszcza że dzwonek falował coraz natarczywiej.

– Już idę! – krzyknął Jan i otworzył drzwi. Stał za nimi Step Cshorty.

– To ty? – zapytał Jan, choć dobrze wiedział, że to on. – O co chodzi?

– Będziemy rozmawiać w progu? – zapytał Step i Janowi wydało się, że jest napięty i niepewny, chociaż powinno być zupełnie odwrotnie. – Mam ważną sprawę.

– Wejdz. Jestem trochę zajęty, ale...

Cshorty przekroczył próg bez wahania, jakby się obawiał, że gospodarz zaraz zmieni zdanie i nie wpuści go.

– Nie zajmę ci wiele czasu.

Zaprowadził go na drugie piętro i usadowił w fotelu, który wyskoczył ze ściany na żądanie. Cshorty rozglądał się po pomieszczeniu. Wydawało mu się, że to mieszkanie będzie wyglądać zupełnie inaczej niż zasiedlane przez pozostałych

studentów. Cóż, nadzwyczajny student to i nadzwyczajne mieszkanie. A może w głębi podejrzewał, iż Jan rzeczywiście jest niezwykle i wszechstronnie uzdolniony? Jego wzrok natknął się na księgę. Był to doskonały pretekst do nawiązania rozmowy.

– Co czytasz? – zapytał Cshorty.

– Nic specjalnego. Nazywa się „Od Inno Johnstone’a do współczesnego falendera”.

Cshorty gwizdnął cicho.

– Zdaje się, że coś na temat? – powiedział na poły tajemniczo, na poły kpiąco i mrugnął do Jana porozumiewawczo.

– Czy to dziwne? – zaniepokoił się Jan. Czyżby źle zrobił, wybierając tę książkę na lekturę? Czy to skieruje ku niemu podejrzenia? Byłoby to zabawne jako całkowity zbieg okoliczności i pouczające jako studium przypadku, ale też w obecnej sytuacji niebezpieczne.

– Miałeś na myśli związek mojej lektury z wydarzeniami na apelu?

– Nie. Skąd!... To znaczy trochę tak, ale nie o to chodzi – zaczął się płatać Cshorty. Zupełnie nie przypominał w tym momencie kogoś, kto jest Prezydentem Semestru i potrafi z chłodnym spokojem kontrować wściekłe ataki Mroka. Zachowywał się jak zbity z tropu, zwyczajny elementarz[5]. – Nie o to, chociaż przychodzę w sprawie apelu. Stało się coś dziwnego, nie uważasz?

– Owszem, wydawało mi się to dziwne – powiedział z całą powagą Jan udając, że nie zauważa, ku czemu Cshorty zmierza. – Tylko że chyba za dużo szumu jak na taki drobiazg. Nie znam waszych zwyczajów, ale...

– To cię tłumaczy – Cshorty wpadł mu w słowo. – Apel jest święty. Dopuszczalne są wszelkie niesubordynacje, dzikie

swawole i psikusy, wariactwa i harce, jednak nie na apelu. Apel to rodzaj mszy, misterium. Bioenergetyczne śpiewy, które się dzisiaj nie odbyły, są jego centralnym punktem. Mają dać nam siłę na następny dzień pracy. Są zharmonizowane z położeniem planet, protuberancjami słonecznymi, natężeniem sił pola elektromagnetycznego Ziemi, pływami magmy na całym kontynencie głęboko w skorupie planety, natężeniem w pasach radiacji wokół Krakatosu i w punktach geopatycznych. Każdego dnia te wszystkie czynniki wykazują inne wartości i wobec tego dobiera się odpowiednio przeciwdziałające pieśni oraz odpowiednie pory na apel. Wystarczy pięć minut opóźnienia i jest po wszystkim. Pieśń, która miała wyrzucić z ciebie niedobre ładunki, która przez rytmiczne wdechy i wydechy miała cię nasycić najlepszą mieszanką jonów, wprowadza w twój organizm pełno chłamu, najgorszego gówna pod słońcem. I następnego dnia jesteś do niczego. Jutrzejsza praca, a nawet wyniki badań, bo przecież w psionice mamy do czynienia tylko z dyskretnymi falami i fluidalnymi promieniowaniami, będzie szła opornie, fałszywym torem.

– Rozumiem – przytaknął energicznie Jan, chcąc przerwać ten potok słów. – Czy Dual poradził już sobie z tym świństwem?

– Nie wiem. Zdaje się, że wszyscy wykładowcy z Iluzji dalej tam siedzą. Chodzi mi o coś innego. Muszę każdego o to zapytać i byłem już u wszystkich.

– Chcesz mnie zapytać, czy to nie ja rąbnąłem ten napis? – uprzedził jego pytanie Jan.

– Właśnie. – Cshorty ucieszył się, jakby mu kamień z serca spadł.

– Nie.

– To absurdalne i głupio mi, bo w końcu dopiero wczoraj

do nas przyszedłeś, ale... no cóż, nie ma co owijać w bawełnę, mówią tylko o tobie. Upierają się, że nie mógł tego zrobić nikt z nich. A ty przybyłeś niedawno, nie znają cię, za to Hokus i Mrok rozpuścili pogłoski o twoich dużych możliwościach, wszechstronnych uzdolnieniach...

– Ja?! – Jan aż usiadł. – Przecież to jest bzdura, zupełny nonsens. Nawet nie wiedziałbym, którego końca umklajdera użyć. Nie znam się na iluzji.

– Ulg Apollo twierdzi, że razem byliście przy Komorze Wiecznie Lewitujących i że tam też się stało coś dziwnego.

– Owszem. Tylko że to on używał umklajdera, a nie ja, on mnie tam zaciągnął. Może to on zrobił ten napis?

– Wykluczone. Nikt z uczniów tego nie potrafi. Tuż przed Dużym Egzaminem wykładają zasady iluzji z opóźnionym zapłonem, a wątpię, czy sam Dual potrafiłby wykonać taką iluzję, która nie poddaje się rozproszeniu.

– Ty też jesteś przekonany, że to moja sprawka? – zapytał Jan. Cshorty milczał, zastanawiał się. – Więc wydaje ci się, że jestem lepszy od Duala?

– Ależ skąd! – Cshorty zakręcił się nerwowo w fotelu i wstał. – Mówiłem ci, że uważam to za absurd. Oni się idiotycznie do ciebie uprzedzili i plotą bzdury. Gdybyś potrafił coś takiego zrobić, to mógłbyś tu z powodzeniem wykladać. – Rzucił okiem na książkę studiowaną przez Jana. – No nie! – wydusił z siebie i roześmiał się trochę sztucznie. – Sądząc po twojej lekturze, rzeczywiście nie możesz mieć na ten temat pojęcia.

– Jednak mnie posądzałeś – Jan westchnął. – Trudno. Każdy obcy stoi na straconej pozycji, prawda? W każdym razie przysięgam ci, że tego nie zrobiłem.

– Ależ wierzę ci! – Step odetchnął głębiej. – Tak. To głupie.

Myślę, że to Fok nas wpuścił w ten kanał. Wariactwo. Tylko że to znaczy... Znaczy... – zamyślił się. Przemierzał pokój z kąta w kąt jak zwierzę w klatce.

– Co to znaczy?! – nie wytrzymał w końcu Jan.

– To znaczy, że się zaczęło. Zaczęło się, rozumiesz?!

– Co się zaczęło?

Step wpadał w coraz większe podniecenie. Biegał już prawie po pomieszczeniu, przystając raz po raz w jakimś miejscu, gdzie przez moment gapił się w ścianę lub sufit, i znów ruszał, gadając do siebie.

– Tak – mówił. – To musi być to. Doskonale pasuje. Tylko to. Nie rozumiem tych słów. Trzeba się zebrać. To jest to. Tak, tak. Pasuje... I to też pasuje... Jutro rano albo jeszcze dzisiaj... Chcesz wziąć udział w naszych pracach?!

– Tak, ale nie rozumiem...

– Nie mam czasu ci wyjaśniać. Zapytaj inforu o wszystko, co się wiąże z ośmiowerszem Chypotessa, a ja tymczasem skorzystam z fonu i pozawiadamiam ludzi, jeżeli ci to nie przeszkadza.

– Oczywiście, proszę bardzo.

Step Cshorty rzucił się do fonu.

– Zrobimy to dzisiaj... Może u ciebie?

– Czemu nie. – Jan zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, tak był zaskoczony. W gruncie rzeczy dobrze się składało. Nie każdy miewa tak wspaniałą okazję do zintegrowania się z innymi, jaka jemu się nadarzała.

– Oczywiście – powiedział, naciskając guzik inforu. – Będzie mi bardzo miło.

Stepowi nie udało się rozmawiać ze wszystkimi, których postanowił zawiadomić. Nie odebrała Hanah, Erossy Urs ani

Vivaldo Seth. Wgrał im się, przesłał mnemomemo i zwykłe wiadomości sieciowe. Umówili się na punkt dwunastą, o północy, czyli za trzy godziny. Przez ten czas inni zobowiązali się dotrzeć do Vivalda i Erossy. Cshorty postanowił zlokalizować Hanah Lamur przez lunarnego GPS-a. Nie było to do końca legalne, przekraczało granice prywatności, ale... – czego się nie robi jak się jest zakochanym.

Namierzył ją bez trudu w minutę, korzystając z końcówki Jana. Nie bardzo się to Janowi podobało – kolejny psikus, za który można nieźle beknąć, jeśli ktoś się przyczepi do nielegalnej identyfikacji osobowej.

– Lepiej pojedź ze mną – powiedział Cshorty, gdy Jan zbierał z podłogi pierwsze folie z informacjami o Chypotessie. – Opowiem ci w skrócie po drodze. Z Lamur nigdy nie wiadomo. Możesz mi się przydać.

– Przydać?

– Kto wie, czy nie trzeba się będzie rozdzielić. Ona lubi wsiąkać. Założę się, że nie tylko zabroniła podawać swojemu inforowi, gdzie jest, nie tylko wyłączyła wszystkie końcówki, ale kto wie czy nie wyłuskała identyfikatora.

– Przecież to przestępstwo?! – zdziwił się Jan.

– Mnie to mówisz? Ona jest szalona.

Faktycznie tak było. Infor upierał się, że nie ma pojęcia, lunar GPS wskazywał na Ogród Akademicki PsiAka, a fon prosił o wgranie wiadomości albo nadanie tekstowej. Jan nie certolił się specjalnie, choć lektura dzieł Ethera Lügen Impostera oddalała się w niewiadomą przyszłość.

– Jak ją zamierzasz znaleźć? – zapytał, kiedy wyszli z domu.

– Przypuszczam, gdzie może być. Nie zamykaj... to na wypadek, gdybyśmy się spóźnili.

Jan zostawił drzwi uchylone.

– Na terenie Akademii?

– Nie... Cholera. Pada.

Z nieba rzeczywiście zaczął siąpić chłodny deszczyk. Porywy wiatru siekły nim nieprzyjemnie po twarzy.

– Ten deszcz może nam pokrzyżować plany – powiedział Step.

– Gdybym był dobrym iluzjonistą, to zrobiłbym nam iluzyjny parasol, ale wolę wezwać po prostu Ixar.

Ixar zjawił się po minucie. Wsiedli.

– Do Ruin – powiedział Cshorty i Ixar wzniósł się pionowo na wysokość stu metrów, po czym ruszył w kierunku północno-wschodnim. – Byłeś tam kiedy? – zwrócił się do Jana.

– Nie.

– Podobno kiedyś studiowałaś w Krakatos?

– Tak. Psychologię. Dwa lata w gabinetach sugestologicznych i w kleszczach hipnopedii. Nie był to okres sprzyjający wycieczkom. Chociaż Ruiny znajdują się w centralnej części miasta, to jednak wolałem przyjemniejsze miejsca. Człowiek chciał się za wszelką cenę rozerwać, zabawić. Wystarczyło, że słyszałem o nich i że przypadkiem z daleka wzrok o nie zahaczył, już mi się robiło ponuro.

– Zaraz je zobaczysz. Tego się nie da opowiedzieć.

– Lepiej mi powiedz, co z tym Chypotessem?

Step Cshorty zaczął od tego, że wyrecytował ośmiowiersz.

Kiedy dolatywali, Jan wiedział mniej więcej to co ważne, na temat bieżącego roku i sytuacji na Akademii. Dopiero teraz zrozumiał, jaka jest właściwie jego pozycja, i zdziwił się, że rektor Hokus przyjął go bez zbędnych ceregieli. Miał prawo być bardziej podejrzliwy i nawet odmówić. Czyżby więc podejrzewał Jana? Nie. Wtedy nie dałby mu tak doskonałej rekomendacji!

Ixar wylądował. Deszcz padał systematycznie i równo w absolutnie cichej ciemności. Pojazd opadł na plac pośrodku Ruin. Kiedy wysiedli i pojazd odleciał do miasta, zrobiło mu się nieswojo. Na olbrzymim obszarze ciągnęły się czarne prostokąty i stożki, metalowe, podniebne konstrukcje, kopulaste wieże oplecione pękami rur, najeżone drabinami, ażurowymi pomostami, stalowymi galeryjkami i rzędami sterczących z ich sylwetek tajemniczych żelaznych wyrostków, zaworów, kranów, wypustów, powykręcanych misternie drutów. W milczeniu przecięli rozmyte, miejscami zniszczone tory nieczynnej, archaicznej kolejki i dotarli do skraju hałdy. Wznosił się tu szereg dźwigów wysokościowych na żelaznych torach – jeden za drugim, jeden za drugim – ze czterdzieści żurawi mogących wznosić konstrukcje do 40 pięter.

– Trzeba wyjść na szczyt – Cshorty mimowolnie ściszył głos. Niesamowita, dzwoniąca w uszach cisza, bezruch i dziwaczność konstrukcji robiły piorunujące wrażenie.

– Myślisz, że ona jest tutaj?! Cóż mogłaby tu robić?!

– Ruiny zawsze nastrajały poetów nostalgicznie. Dawniej włóczyli się po starych zamkach i pałacach. Obecnie przychodzą tutaj. Szukają weny. Hanah tu bywa prawie każdego wieczora.

Zasapali się marszem po stromym zboczu w górę. Zdawało się, że ta wspinaczka między kępami ostrej trawy o rachitycznych łodygach nie skończy się nigdy. Osuwali się i znów pięli wśród wykrotów, aż znaleźli się nareszcie na grzbiecie starej hałdy czegoś – jakby rdzawe, metalowe opiłki zbite w lity grunt. I tutaj biegły tory. Inne, węższe, ukryte w poszyciu i mchu.

– Grzbietem dotrzemy do kolumn. O tam – wskazał ręką Step.
– Tam się rozdzielimy.

– Co tu właściwie było? – zapytał.

– Przemysł. Tak zwany wielki przemysł. Drugie ruiny są w Kat – w zachodnich dzielnicach Krakatosu, trzecie w Os – na południowym zachodzie. Te trzy miasta które stworzyły gigamerację, były kiedyś prawdziwymi przemysłowymi molochami. Zwiedzałeś kiedyś kopalnie w Dąbr, albo Lib, albo w Trzeb, Krzesz, Ryb, albo gdziekolwiek w GOPie?

– Nie.

– Zrób to. Niezapomniane. Tutaj niedaleko, w Wiel, jest naprawdę kopalnia starożytna. Tyle że nie węgla, tylko soli. To trochę co innego.

Ruszyli torami przed siebie. Wiatr hulał na tej wysokości ze zdwojoną siłą i jeszcze mocniej ciął deszczem. Jan pożałował, że nie wziął nieprzemakalnego kombinezonu. Wkrótce dotarli do baterii koksowniczych i graniastej wieży ściętej tępo u wierzchołka. Między zaworami czarnych, przypominających monstra kolumn, między rurami ciągów chłodniczych i blaszanymi tunelami napowietrzania przedostali się na jedną z oplatających kolumnę galeryjek. Przemierzali żelazne podesty co chwilę pochylając się, by przejść pod nagle wyrastającymi z ciemności listwami, omijając wystające końcówki dawno nieczynnych urządzeń technologicznych, pokryte rdzą lewary, zwisające bezwładnie łańcuchy, mokre od deszczu pręty, których przeznaczenia nawet się nie domyślali. Po niepewnych schodkach, przy wtórze nieprzyjemnego echa, jakie może dać tylko stąpanie po żelazie, stali i blasze w pobliżu ziejących czarnymi otworami wielkich pustych zbiorników z metalu; echa pomnażającego ich pustkę, eksponującego ją ponad wszystko inne w otoczeniu; schodzili w dół, by dopiero stamtąd dojrzeć niesamowitość zamarłego w bezruchu, uśmierconego kolosa,

reliktu Epoki Logos, który przetrwał ją samą jako potworny symbol tamtych czasów. Oczywiście nie przetrwał sam, miliony transsolarów szły na staranną konserwację wszystkich zabytków przemysłowych Krakatosu, każdego roku. Od dawna deliberowano, żeby to wszystko przenieść do realonu, albo wręcz zmemonizować i wpuścić w sieć, jako powszechnie dostępne dobro ogólnoplanetarne. Jednakże to zupełnie coś innego mieć świadomość, że każdy krok jest PRAWDĄ, a nie wirtualnym złudzeniem. Ruiny i kopalnie były celem prawdziwych pielgrzymek turystycznych z całej Metropolii i z innych światów. Zwłaszcza Proximańczycy po Wielkim Kontakcie dostali fioła na punkcie Ruin Krakatosu.

Obcasy stukały, rury drżały, ich drzeniom odpowiadało rozwibrowane przedrzeźniające echo, płaszczyzny zbiorników, pustych kolumn, wież, płaskich, wyciętych z granatu nieba graniastosłupów lśniły mokre, ociekające strumieniami wody, błyszczały w światłach odległych, w blasku przeglądającego się w tej ruinie żywego miasta. Zdawało się Janowi, że zaraz coś się oderwie, że przeżarty schodek nie utrzyma jego ciężaru, że balustrada chwiejnie niepewna runie w dół, w przepaść, a on razem z nią na dno tego żelaznego wszechświata, gdzie zostanie na zawsze przywalony skreconą konstrukcją, martwy i chłodny jak ona sama. To było oczywiście niemożliwe, pola siłowe chroniły ich przy każdym stąpieniu, ale zadbano w tym niesamowitym muzeum o skrajne wrażenia. Wiatr wył w na wpół otwartych maleńkich drzwiczkach przypominających wejścia do dawnych schronów, w niedomkniętych kadziach, w blaszanych beczkach po lepiku, obok których na przyzmach, w sześciennych pudłach resztki koksu porastały zielonym nalotem.

– Tyle wieków i nawet trawa się tego nie ima – wyszeptał Cshorty. – Tylko jakiś mech z trudem zapuścił korzenie.

Byli na dole. Tutaj Step ruszył w prawo, a Jan prosto przed siebie. Na betonowych prostokątach drogi wewnątrzfabrycznej utworzyły się płytkie kałuże. Nad rozświetlonym horyzontem zaś ciągnęły się czarne, niesamowite góry stworzone rękami człowieka. Ich poszarpana linia grzbietowa pełna była zaskakujących wyłomów, cięć i uskoków, poprzerwana płynnymi łukami uwypuklającymi ostre kąty, jakie są obce harmonii natury. Został sam i szedł w kierunku kolejnego wielkiego obiektu, jednego z martwych sześciennych szczytów tych gór osobliwych, pustych od wewnątrz, nieuczęszczanych, niepotrzebnych, wyprutych ze swej niegdysiejszej funkcji, zabitych, niespełniających żadnego z przypisanych im przez dawnych budowniczych sensów, spełniających za to ten jeden, który im nie przyszedł do głowy, tak byli dumni ze swego tworu, sens ostrzeżenia, przestrogi, by nie popełnić już nigdy podobnego błędu. Mijał gąszcz olbrzymich hal, zapewne kiedyś magazynowych, otwartych na oścież z pourywanymi skrzydłami bram – przypominały smoki o bezzębnych gardzielach łaknących stalowego pokarmu, który by wypełnił ich puste brzuchy, który już nigdy nie nasyci tego głodu, nigdy nie zostanie dostarczony. Identyczne, proste ściany ciągnęły się setkami metrów. Zabetonowane po sam dach, pokryte falistą blachą, z małymi okienkami, ponure pudła gmachów przeszłości. „Co za brak wyobraźni, prymitywizm, barbarzyństwo!” – myślał. Przystanął. Gdzieś z bliska dotarł do niego dźwięk kroków. Tup, tup, tup, plask. Ktoś szedł, nie zważając na kałuże. Skierował się w tamtą stronę, choć identyfikacja kierunku okazała się niełatwa w tej gmatwaninie płaszczyzn. Dźwięki odbijały się po wielokroć

od ścian pod różnymi kątami, ginęły pochłaniane przez brzuchate cysterny, wzmacniane przez pudła rezonansowe zardzewiałych, groźących w każdej chwili zawaleniem pakamer, umykały w chmury przez podziurawione, na wpół zawalone sufity bądź błąkały się rozkołatanie w zamkniętych przestrzeniach hal. Szedł za nimi wszystkimi, lecz jeden z nich był mocniejszy, to właśnie on, drobny, dosyć szybki i zdecydowany musiał być źródłem tych wszystkich ech, odbić i pogłosów. Tup, tup, plask, tup. Raz go gubił, raz znów odnajdywał bardzo blisko, tuż za rogiem następnej budowli. – To pewnie jest ona? – mówił sobie. – To musi być ona. A może to jakiś duch, zabłąkany strażnik dawnych wieków, który został tu na zawsze, by pilnować miejsca, w którym przepracował całe swoje ziemskie życie, dzień za dniem, dzień za dniem, godzina po godzinie. Brrr! – Głupoty – otrząsnął się. – To najwyżej automat porządkowy albo rzeczywiście robot strażnik, android podłączony do miejskiej sieci inforów. Nastrój grozy i przygnębienia, emanujący spośród okruchów wietrzącego węgla i bryłek rudy, spomiędzy zwałów stalowych belek porzuconych w nieładzie, nie ustępował łatwo. Przez chwilę Jan zastanawiał się czy to wszystko jest realne, czy są tutaj realonowe, wirtualne łąty i wstawki, na przykład ta rdza. Jednak na każdym kroku znać było pośpiech ucieczki, bezład gwałtownego opuszczenia, nagłej decyzji, jakby zaczęło się palić, choć nie było śladu pożaru, jakby za chwilę miano wysadzić stalowego molocha w powietrze, jakby miał zatonać z każdym, kto nie zdąży. To nie była rekonstrukcja, ale prawda w każdym szczególe. Przedmioty rozrzucone byle jak, w poprzek drogi, pozostawione przy torach, na których wciąż stoi pociąg oczekujący załadunku, lecz odczepiony od lokomotywy, która

leży na boku przygnieciona olbrzymim dźwigiem. Przerwana podróż nie doszła do skutku, przerwany załadunek nie został zakończony. Tup, tup, plask, tup, plask, tup, plask, tup, tup. Lekko, zbyt lekko jak na automat. Ruszył pędem. Kiedy wyłonił się zza kolejnego zakrętu, dojrzał światelko latarki u podnóża wielkiej hali.

– Hanah! Hanah! – zawołał. – Aha! Anah! Ana! Ha! Nah!!! – odpowiedziało zwielokrotnione echo pośród filarów i szyn. Postać zatrzymała się.

Rzeczywiście to była ona. Mała dziewczęca sylwetka w ogromie splątanych konstrukcji metalurgicznego przemysłu, w Ruinie Huty Send, w jakże nie pasującym tutaj swym arabskim stroju.

– To ty? – zdziwiła się.

– Szukamy cię razem z Cshortym. Zarządził spotkanie o północy w sprawie ośmiowersza Chypotessa.

– Aha! – uspokoiła się. – To on ci powiedział, że mogę tutaj być.

– Tak. Poszedł w stronę pieców do produkcji cementu.

– Tam byłam wcześniej. Chciałabym zajrzeć jeszcze tu. Pójdiesz ze mną?

Skinął głową. Wysłał wiadomość do Csorthy'ego, że ją ma i gdzie są. Weszli w halę. Przynajmniej nie padał tutaj deszcz. W jej czeluściach kryły się te same niepokojące szczegóły wydobywane co chwilę drżącym promieniem, dobrze jakby znane, w jakiś sposób do zrozumienia, tyle że przeraźliwie obce.

– Dokąd idziemy?

– Już jesteśmy. – Zatrzymała się i poświeciła wprost przed nich. – Marten. Piec do wytapiania stali.

– W tym prymitywnym urządzeniu wytapiano stal?

– Właśnie.

Stali pod czarnym cieniem, który kładł się na nich ponury i milczący. Wiatr i gwiazdy wpadały przez dziurawy dach. I jeszcze krople wody, i jeszcze... w czerni, gdzieś wysoko zatrzepotały skrzydła. Gołąb? Puszczyc? Spłoszony nietoperz, który zamienił swoją grotę na to ultranowoczesne mieszkanie? Hanah stała wpatrzona w rdzewiejące palenisko, oświetlała pełgającym strumyczkiem porzucone narzędzia, druty, przewrócony wózek, zwisający hak suwnicy, stosy cegieł. Widział, jak lśnią jej oczy, słyszał przyspieszony oddech, czuł falujące piersi. Była w ekstazie?!

– Chodźmy! – powiedziała nagle zdecydowanym tonem. Szli bez słowa, nie chcieli naruszać trwającego tutaj milczenia, zupełnie jakby mieli do czynienia z uśmierconym człowiekiem.

– Jak w majestacie śmierci – powiedział Jan zachrypniętym głosem. – Wezwę ixar. – Nacisnął swój podręczny inffon. – Proszę ixar, trzyosobowy.

Stali na środku placu, deszcz zacinał. Wokół nich trwała huta, niegdyś jedna z największych hut żelaza.

– Czy wyobrażasz sobie, jak kiedyś tutaj było? – usłyszał jej podniecony szept i poczuł smukłą dłoń, która łapie go za bark. – Wyobraź sobie! Ludzi, ruch, ogień, kominy walące dymem, pył i zapach gorącej stali, hałas, pędzące wagony, dzwonki suwnic dźwigających towary! Widzisz to?!... To musiało być wspaniałe, imponujące, niewiarygodne.

– Wspaniałe? – zapytał niedowierzająco. – Myślisz, że oni też uważali to za wspaniałe?! Że ktoś z nich w najdziwaczniejszym majaku pomyślał, że kiedyś to ich monstrum będzie natchnieniem dla poetów?!

– Może i nie. Takich rzeczy nie widzi się na bieżąco. Mnie się

na przykład nasza Akademia zupełnie nie podoba. A te nowe falowce czy retardery to są okropieństwa, w których w ogóle nie da się mieszkać, ale czasami myślę, że za pięćset lat ktoś może być nimi zachwycony.

– Falowce też mi się nie podobają, ale nie o to tutaj chodzi. Czy myślisz, że oni to wszystko zburzyli, że rzucili pracę, że nigdy tu nie wrócili i na wieki zabronili rozwijania podobnych technologii tylko dlatego, że nie potrafili dostrzec w tym piękna?! To nie miały być romantyczne ruiny dla poetów, te ruiny są ostrzeżeniem, w każdym razie tak zostały pomyślane!

– Na pewno dużo złego dzieje się przez to, że wielu ludzi nie potrafi patrzeć na świat. Nie widzą kolorów, nie czują zapachów, nie potrafią się wzruszyć takim widowiskiem jak ulewa, burza, przypływ, odpływ czy choćby zachód słońca. Przechodzą obojętni obok budowli, których każdy kamień nosi w sobie historię tysiącleci. Nie rozumieją tego co piękne!

Nic go tak nie wkurzało jak ignorancja lub zabawowe albo cyniczne manipulowanie faktami tylko po to, by dać upust swej egzaltacji albo poprzez doraźną, błahą tezę.

– Studiowałaś historię?

– Nie.

– Ja tak i coś ci powiem! Piękno w tym wypadku nie ma nic do rzeczy i jeżeli się tymi ruinami zachwycasz, to w ogóle nie rozumiesz ich sensu. Równie dobrze można by się zachwycać tym obozem koncentracyjnym w Ośw, to też Krakatos, kilkadziesiąt kilometrów na zachód stąd! Oni to porzucili, bo rzygali pyłem węglowym, bo mieli dosyć smrodu i dymu, bo ich te industrialne potwory dławily, dusily, żywcem mordowały, niszczyły!!! Myślę, że nikt z nich się w tym nie kochał. Chyba tylko jakiś perwersyjny szaleniec może wielbić

swego mordercę i znajdować rozkosz we własnym umieraniu! Nienawidzili tego. Musieli znienawidzić potężnie, by poczuć taką determinację, która natchnęła ich aż do rewolucji!!! To stało się na całym świecie, choć tutaj ma sam początek. Oni pierwsi się zbuntowali, bo oddychali zatrutym powietrzem, pili zatrutą wodę, jedli zatrute pokarmy, okrywali się przesiąkniętymi trucizną materiałami, stąpali po zatrutych chodnikach, mieszkali w zatrutych domach! Takie były powody. Zostawili to tylko po to, by tego nadal nienawidzono albo by się tego bano, żeby przypominało, do czego może dojść, kiedy z człowieka robi się przedmiot, kiedy zapomni się, że człowiek jest podstawą całego wysiłku cywilizacyjnego, a nie narzędziem cywilizacji, która kieruje się enigmatyczną ideą lub uzasadnia swój byt wymyślonym, ponadludzkim celem!!!

– Ale jesteś na serio! – roześmiała się. Jan tak się zapalił, że nawet nie zauważył ixara, który wylądował i czekał nieruchomy obok nich. Czasami nie potrafił się opanować i ulegał emocjom, których potem żałował. Co go podkusiło, żeby się z nią kłócić? – Ładny palnąłeś mi wykład – westchnęła niezadowolona.

– Dziękuję. – Jej przekaz był zapewne na miejscu, ale jeszcze bardziej go wytrącił z równowagi. Resztką woli powstrzymał się, by nie powiedzieć czegoś przykrego. Włączył żółtą lampę, która regularnymi błyskami wzywała Cshorty’ego. Czekali oparci o pojazd, milczący. Każde w swoich myślach i ze swoją złością. Step ukazał się wkrótce, mogli więc wsiadać.

– Gdzie się podziewałaś? – zaczął Step z wyrzutem, gdy zajął już miejsce. – Jest za pięć dwunasta.

– Ale dzień – powiedziała wściekła. – Wszyscy się dzisiaj uparli na mnie. Byłam przy martenie, nie wolno?!

– Ależ wolno, nie denerwuj się! – Step zrobił wielkie oczy. –

Myślałem tylko, że deszcz cię dokądś przepędził i już cię nie znajdziemy.

Zasunęli drzwiczki i ixar wzbił się do góry.

– Swoją drogą od czasu do czasu mogłabyś sprawdzać wiadomości, albo przynajmniej pozwoliłabyś inforowi zgłaszać ci te pilne.

– Nie przekonałeś mnie i nigdy mnie nie przekonasz! – powiedziała przez ramię do siedzącego z tyłu Jana, jakby nie słyszała Cshorty’ego. – Niezależnie od czyichś intencji mam prawo myśleć o każdej rzeczy według siebie i nawet miejsce tortur i kaźni widzieć tylko w kategoriach estetycznych, nie wnikając w nic innego.

– Choćbyś nie chciała albo celowo zapomniała o tym, sztuka zawsze mieć będzie sens także moralny i będzie prawdziwą sztuką, tylko jeżeli będzie służyć rozwojowi człowieka, bo tylko wtedy będzie pracą, nie zaś antypracą, która człowieka ma zgniebić, a ludzką cywilizację obrócić przeciw niemu. Tak było i dlatego tamto musiało się skończyć, razem z tamtą sztuką.

– Ale...!!!

– Ho... ho... ho?! Widzę, że wypłynęliście na szerokie wody?! – włączył się beztrosko Cshorty. – Mam nadzieję, że się nie pozabijacie?!

– Nie przekonasz mnie – powiedziała, zacinając usta.

– Nie zamierzam – odpowiedział równie twardo. – Ktoś mi kiedyś powiedział, że kobiety nie da się przekonać. Można tylko odejść albo się pogodzić z jej sądem.

– Kto to był? Jakiś mądry facet! – stwierdził Step.

– Owszem, mądry. To był mój staruszek.

Odlatywali znad tego placka czerni otoczonego morzem światła, który niespodziewanie ich rozdzielił, sprowokował

swym pośmiertnym istnieniem jeszcze jedną reperkusję z milionów, jakie już powodował. Tym razem maleńką, może nieważną, zupełnie prywatną. Odlatywali znad grobu w samym sercu miasta. Znad pomnika przeszłości, po którym poza turystami i poetami, od lat snuły się tylko konserwujące i porządkujące automaty, roboty których zadaniem było od czasu do czasu poprawić coś, co naprawdę zamierzało się zawalić. Wkrótce czarna plama stała się kreską, a ich otoczyło morze światła. Ixary przecinały niebo, zostawiając za sobą smugi barwnego blasku: wyglądało na to, że jakiś szaleniec uparł się, by całe miasto opleść dziś w nocy kolorową pajęczyną i pomrukiem setek tysięcy światłosilników, szumem skrzydeł, jazgotem radia, którego oni nie zdążyli nawet włączyć, gdyż już lądowali na trawniku w pobliżu mauzoleum L'Audala.

*

Jan obudził się rano na piętnaście minut przed wyznaczonym terminem egzaminu na wydziale Telepatii. G-4 wiązał się ze znakiem Barana, rubinami, symbolem Kota, pozycją koniunkcji, planetą Wenus, kierunkiem wschodnim, liczbą 4, kolorem czerwonym, figurą Władcy i kartą Twierdzy oraz sefirotą Chased, żywiołem ognistym, znakiem Li, miejscem Syna, multystyczną Plazmą Rodem i Rodzaną, a wreszcie na koniec tybetańską wróżbą Mar-Me-Tag-Pa. To wszystko wygadał infor w czasie, gdy Jan przełykał na chybcika kromkę chleba i popijał ją łykiem lemoniady 6 06 01. Wczorajsze posiedzenie przeciągnęło się do trzeciej nad ranem. Dyskusjom nie było końca i jak zwykle trudno było ustalić sensownie jakieś wspólne poglądy. Przyszli wszyscy i kiedy Jan z Cshortym oraz Hanah

przekroczyli próg, w domu wrzało już jak w ulu. Intuicję reprezentowali: Eon Kicz (którego Jan z zadowoleniem rozpoznał – nareszcie jakaś przyjazna dusza, znał go z Cambridge) i Six Dan; Iluzję: Ulg Apollo, Step Cshorty; Teleportację i Psychokinezę: Molloy Sathanna z Meteorem Atemokiem; Inercję: rozlazły Oro Tantral z Erossą Urs; Jasnowidzenie i Prekognicję: Kinky Vikink i Fok Full; Telepatię: Aria Cesnatti; Wydział Psienergetyczny: Marta Hevertič; Hipnozę: Vivaldo Seth; Astrologię: Inclusio Neo; Radiestezję: Catzy Herma. Przybył też nadwzrokowiec Don Derdan z ramienia Nowych Zmysłów. Nie pojawił się tylko nikt spośród Okultystów, którzy najwyraźniej nadal nie zamierzali się kumać z innymi. Zawsze oddzielał ich od reszty mur czarnej magii (którą się zajmowali z większym upodobaniem niż białą czy szarą), powszechne niedowiarstwo oraz kpiny i docinki. Stronili więc od wspólnych działań, chociaż ich metoda naukowa i w ogóle racja bytu całego Wydziału Spirytystycznego była lepiej uzasadniona niż niejednego innego. Od razu przyszło do kłótni, gdyż każdy miał rzecz jasna swoje argumenty – jedni uważali, że trzeba Senatowi pomóc, inni, że nie. Ci, którzy chcieli pomagać, podzielili się na takich, co zamierzali z profesorami współpracować, i takich, co chcieli ich tylko informować, i tych, co zamierzali działać wyłącznie na własną rękę. Część z tych, co nie zamierzali kiwnąć palcem, zaczęła rozważać, czy zawiadamić Senat o tym, co tu się knuje, co wytworzyło kolejny podział. Dalej zaś przyszło do różnic na tle metod i tutaj powstała cała gama, poczynawszy od zwolenników biernych sondaży i oczekiwania z założonymi rękami na najbliższe wypadki, skończywszy na ekstremistach, co chcieli tworzyć jakąś gwardię dla obrony Akademii. Miało to według nich być tajne stowarzyszenie zbrojne na mafijny wzór, sprzysiężenie podobne

chińskim triadom, nowa odmiana „Młodych Mieczy”, „Żółtych Turbanów”, „14K” czy „Ihotuan”?! Już po godzinie okazało się, że tyle zdań, ile osób, ile zaś wydziałów, tyle punktów widzenia. Po następnej godzinie udało się określić linię demarkacyjną przebiegającą mniej więcej zgodnie z linią genetycznego podziału na płci; z biernymi, oczekującymi, ugodowymi mężczyznami, którzy zamierzali informować Senat o każdym swym kroku, poprzez niezdecydowaną Catzy Herwę na środku, w formie myślnika bądź przecinka między poglądami, do wojowniczych, bojowych dziewcząt, w różnych nasileniach skrajności na drugim biegunie. Mimo wszystko przegłosowano, że działanie trzeba podjąć, na razie ostrożnie i na własną rękę – było to coś w rodzaju programu kompromisowego, który się wyłonił, gdy wszystkim już bardzo chciało się spać. Cshorty z trudem przekonał też resztę zgromadzonych o niewinności Jana i przyjęto go do gromadki „bożych krówek” (doskonała nazwa dla triady!), chociaż niektórym wyglądał w dalszym ciągu (Fok Full) na czarną owcę. Niespodziewanie w decydującym momencie po stronie Jana opowiedziała się Hanah Lamur, co sprawiło mu satysfakcję i przyjemność. Mimo nieporozumienia na terenie ruin Huty Jan był przekonany, że zostaną jednak co najmniej przyjaciółmi, a kto wie, czy nie czymś więcej. Kiedy kładł się do łóżka, rozwidniało się już i oczy zamykały mu się same, tak pełen zadziwień i wydarzeń był ten wyjątkowo długi dzień.

– Za pięć ósma. Proszę się pospieszyć. Za pięć ósma... Proszę się pospieszyć. Za pięć ós... – tokował infor dydaktyczny.

– Wyłącz się! – przerwał mu Jan.

– Niech pan się liczy ze słowami! – krzyknął infor obrażonym tonem.

– Policzę się, ale z tobą, jak tylko wrócę! – rzucił zły przez ramię i wskoczył do windy. Ręce mu drżały, chrypka dawała znać, jak jest napięty. Odchrząkiwał nerwowo i czuł, że robi mu się słabo z emocji... Kto wie, jak wiele będzie zależeć od dzisiejszego dnia? Oczywiście nie wszystko, bo przecież jeszcze pozostałe wydziały przed nim. Jeśli tu nie zda, świat się nie zawali. Wcale go to jednak nie uspokajało, wręcz odwrotnie, deprymowało i denerwowało jeszcze bardziej. Musi się starać za każdym razem, musi zebrać całą swą wolę. Może ona przeważy szalę i gdzieś jak ślepej kurze ziarnko trafi mu się wynik troszeczkę lepszy niż przeciętny, a wtedy dałoby się już podyskutować z Hokusem, i Mrok z całym Senatem także mieliby się nad czym zastanowić. G-4 rubin, amarantowa czerwień. Cały dzień w czerwieni. Na czym może polegać egzamin z telepatii? Pewnie każą mu odczytywać czyjeś myśli? Pewnie nadawać? Żadnej szansy oszustwa. Klapa. Widmo absolutnej klapy wyjrzało z głębi podświadomości jak diabeł z pudełka i wyszczerzyło swe ohydne kły. Cały dzień w czerwieni, oszaleć można, do tego te błyski od szlifowanych klamek! Biegł coraz szybciej, w końcu wskoczył na ruchomy chodnik i punktualnie o ósmej przekroczył próg rubinowego stożka G-4, Królestwo Telepatii i Sugestii, Li, Barana oraz Kota w Ogniu.

Nie było tak źle. Docent Duchamp Leomllierre okazał się wspaniałym znawcą sztuki, wielbicielem literatury Wczesnego Plastik, zwłaszcza we wschodnich regionach Galaktyki. Uciąwszy sobie na wstępie pogawędkę, niezauważalnie przeszli do doświadczeń, które o dziwo zdawały się prostsze, niż Jan przypuszczał, i mniej męczące. Polegały one na elementarnym wprost w tej dyscyplinie ćwiczeniu w odgadywaniu nadawanych poprzez ołowiane ściany znaków, zamkniętych wcześniej w kopertach. Nadającym został asystent Lemollierre'a, Lobsang

Ryud-sto o skośnych oczach i twarzy tak poranej zmarszczkami, że nawet z bliska nie sposób było jej przeniknąć – wielka zagadka, nieruchomy sfinks. Po godzinie nastąpiła zmiana i Jan nadawał, zaś Lobsang Ryud-sto odbierał. I na tym koniec. Już o wpół do dwunastej był wolny i miał nadzieję, że nareszcie rzuci się na dzieło Ethera Lügen Impostera, ale... po drodze dopadła go Aria Cesnatti i bez ładu, bez składu zaczęła coś pleść o historii telepatii, o S. Dole Melipone, o B. Mayersonie i profesorze Telly Phonevalasie, którego na szczęście dzisiaj nie było, i że Jan to miał szczęście, straszne szczęście, okrutne szczęście, bo Phonevalas jest beznadziejny i brzydki, i ostry, i oschły, i nie przepuściłby byle kogo, byle jak, za pomocą byle testu z kopertami, mowy nie ma, i w ogóle!, a czy poza tym nie poszedłby z nią na łyk „trzydziestki czwórki” do Klubu?

Cóż było zrobić? Poszedł, acz niezbyt chętnie i pociechą była mu tylko myśl, że „34” po nieprzespanej nocy postawi go na nogi, orzeźwi i sprawi, że z całą dokładnością zrozumie mechanizm działania laseczki umklajderowej, a nawet falenderowej. Po drodze dowiedział się jeszcze, że wyniki takiego egzaminu to są na drugi dzień, a mogłyby być tego samego, jakby się komu chciało liczyć, ale nikomu się nie chce, bo tam na Telepatii to lenistwo, rozprężenie, nudy, nudziarze, nudno, a lepiej jakby trochę nudyzmu, zaraz mniej nudziarstwa, ha, hi, ha, hi, hi – cienki damski chichot – a prócz tego to niech się nie zbliża do Kinky, bo Kinky to jest, no wiesz, nie bardzo w tych sprawach. Mówią, że jeszcze z facetem w ogóle, tylko z samymi dziewczynami; a jak wynik będzie powyżej 60% zgodności przy nadawaniu, to już dobrze, bo Lobsang jest stary i do niczego, i nudny, i beznadziejny jest, i beznadziejnie jest, ale to nic, więc chodźmy i pijmy! Uffff. Z ulgą dostrzegł przy barze w Kryształowej Grocie Ulga Apollo z jakimś facetem, którego jeszcze nie znał.

– Dobrze, że jesteś – powitał go Apollo wesoło. – Mam nadzieję, żeś się nie obraził za tę wczorajszą wpadkę. – Czarne oczy jak zwykle lśniły nad czarną, obfitą brodą i zdawały się żyć zupełnie niezależnym rozbieganym rytmem. Jan zaprzeczył oczywiście. Ulg przedstawił chłopaka. – Dominik Ming – powiedział, wskazując na małego gnoma ze skromnie spuszczoną głową i wbitym w blat baru wzrokiem. – Okultysta i spirytysta.

– Och! – powiedziała Aria z nadzieją w głosie, jakby usłyszała, że to Hys Hystoferson, James Bond albo Scarlet Ass, ale znudziły ją szybko przydługie i nudne wywody spirytysty na temat duchów niższych oraz wyższych, jak również sposobów ich wywoływania i odbijania przez kalkomanie, kserokopie i utrwalacze fotograficzne. Do baru weszła po chwili Kinky i Aria na szczęście odczepiła się od nich, mając się znowu z kim kłócić. Wyglądało na to, że owa dyscyplina jest jej głównym żywiołem o wiele bardziej pociągającym, a przynajmniej nie tak nudnym jak telepatia. Zresztą telepatia w jej wydaniu była zaledwie jednostronną odmianą bierności polegającą na wysłuchiwanie niewyraźnych szumów czyichś myśli.

– Byłem w Sali z Wgłębieniem – powiedział w pewnym momencie Ulg Apollo. – Napis jest, a Dual siedzi na podłodze obłożony podręcznikami i stosem umklajderów różnych długości, kolorów oraz, co za tym idzie, właściwości. Musimy się – mówił dalej Ulg – spotkać, coś postanowić, działać, ale w węższym gronie, bo z takim tłumem do ładu nie dojdiesz. Akademia jest zagrożona! Dominik uważa, że sytuacja jest bardziej niż poważna! – dodał ściszym głosem.

– Tak. Tak – przytaknął skwapliwie spirytysta. – Na naszym wydziale jest już zawiązane sprzysiężenie Czarnej Róży.

Działyśmy we trzech.

Jan zgodził się z nimi. Potem nadszedł Eon Kicz. Wymienili parę zdań, Eon stwierdził, że jutro wyjeżdża na tygodniowy urlop i że go ta cała historia co najwyżej rozbawiła, a nie przestraszyła, i że ma gdzieś wszystkie zagrożenia całego świata. Tamci ciągnęli go na obiad, ale Jan wymówił się bólem głowy, niewyspaniem, zmęczeniem po egzaminie. Wreszcie udało mu się urwać, bez przygód oraz niepożądanych spotkań dotrzeć do domu, gdzie legł z Księgą w swym miękkim, wygodnym łóżku na siódmym piętrze. Otworzył ją na właściwej stronie i... natychmiast zasnął. Jego młody organizm domagał się regeneracji sił całkowicie niezależnie od świadomości, która zamierzała sycić swą ciekawość.

M. Człowiek, którego nikt nie zapamiętał

Kiedy się obudził ponownie, była szósta po południu i informacja powiedziała mu, że miał wiele połączeń, które są zarejestrowane fonicznie, anemologicznie i sieciowo. Zaklął w duchu, że zmarnował tyle czasu. Znów się nic nie dowiedział, a na dobitkę wszyscy dobijali się, żeby go zobaczyć, jakby im coś odbiło. Jeszcze przedwczoraj w ogóle go nie znali, jeszcze wczoraj nie akceptowali, a dzisiaj nagle nie mogą się bez niego obejść. Strach pomyśleć, co będzie jutro! Liczba połączeń zaniepokoiła go jednak, więc wcisnął klawisz i zrobił sesję odsłuchową, biorąc prysznic. Pierwszy odezwał się Step Cshorty:

– Stało się coś strasznego. Zaraz, jak tylko się zbudzisz, przyjdź do nas. Jesteśmy w Salonie Gier, a od szóstej w mieszkaniu Ulga Apollo. – Jan spojrział na zegarek, była właśnie dokładnie szósta, więc nie chcąc się narazić na próżny

marsz do Salonu albo niepotrzebne czekanie pod drzwiami Ulga, zamówił obiad, który zjadł z wielkim apetytem. Dopiero po tym poczuł się dobrze. Wyspany i najedzony orzeźwił się jeszcze airrevivalem przed wyjściem. Z okna mógł widzieć tyły apartamentu Ulga Apollo, który znajdował się nie dalej jak pięćset metrów, zatopiony w strzelistych topolach, starych jodłach i niższym pierścieniu świecznikowatych tui zmieszanych z przysadzistymi bzami. Ze spienionej zieleni ogrodu Apolla wychylał się tylko sam szpic jego osobistego minaretu, trudno więc było dostrzec, kierując nawet w tę okolicę olbrzymie oko teleskopu, czy ktoś tam jest, czy też nie ma nikogo.

– Nie powinien pan tam iść – odezwał się infor w ogóle nie proszony o głos.

– Bezczelny jesteś – powiedział Jan bez specjalnej złości, bo nic nie było go w stanie zdenerwować po niezłym przedpołudniu i dobrym obiedzie.

– Nie jestem bezczelny. Dbam o pana.

– Od kiedy to infor gadają nie pytane?!

– Tutaj, jak pan się wyraził „gadają” – powiedział z przekąsem.

– Będę chodził, gdzie mi się podoba.

– Jak pan uważa, ale jestem zmuszony wobec tego zapisać krzyżyk po stronie minusów.

– Skąd w ogóle wiesz, dokąd idę i po co? Kto ci dał prawo, żeby mnie pouczać?

– Wiem, bo mam połączenie z całym systemem informacyjnym Akademii, a prawo do ingerencji dał mi Program Naukowy.

– Program Naukowy?! Pierwsze słyszę, żeby jakiś program zezwalał podsłuchiwać rozmowy i zabraniać człowiekowi

czegokolwiek jakimś półinteligentnym, imbecyłowatym automatom!

– Pan mnie obraża. Zapiszę panu drugi krzyżyk!

– To byłaby złośliwość.

– Nie. Konsekwencja.

– Mam cię gdzieś, bzdurna maszyno. Będę robił, co mi się żywnie podoba!

– Zatem doigrał się pan. Dwa krzyżyki w trzy minuty. Po piątym proszę się liczyć z zastosowaniem jednogodzinnego aresztu domowego. Po następnych pięciu aresztu jednodniowego.

– Czy nie wydaje ci się, że niewolenie człowieka przez jakąkolwiek maszynę jest sprzeczne z Prawem Robotyki i Konstytucją Ziemi oraz Deklaracją Praw Człowieka przyjętą przez Radę Planet?!

– To bardzo wielkie słowa, bardzo ważne ustawy, mądre zasady, wspaniałe dokumenty... ale dobrze pan wie – zakończył ostrym, nieprzyjemnie świszczącym tonem – że żadne z tych praw nie zostało podważone, skoro pan dobrowolnie się tutaj znalazł i zapoznał z regulaminem. Uznał go pan bez zastrzeżeń. Poza tym w każdej chwili może pan odejść, panie San, tylko że raz na zawsze!

Rzeczywiście było w tym sporo racji. Jan nie zamierzał dłużej dyskutować. Zszedł powoli schodami i raczej bez pośpiechu skierował się w stronę domu Apolla, mimo alarmistycznej wieści, która go tam wabiła. Samopoczucie miał doskonałe, świat wydawał mu się znowu przyjazny, a perspektywy kolejnych testów nie tak czarne; oto jaki wpływ na percepcję rzeczywistości może mieć zdrowy sen i befszyk z frytkami. Był już blisko, a wciąż miał wrażenie, że jeszcze nie przyszli, tak było cicho

i nieruchomo. Za to zaraz za progiem otoczyła go istna kakofonia, jakby wpadł do klatki podrażnionych papug kakadu. W holu na dole stała oparta o framugę blond eteryczna Kinky, która wyglądała, jakby się cała przeniosła w bliżej niezidentyfikowaną przyszłość, pozostawiając w terażniejszości niepotrzebną powłokę zewnętrzną oraz szkliste oczy. Próbował coś do niej miłego powiedzieć, potrząsnął nią nawet, ale nie zareagowała w żaden dający się uchwycić sposób. W zablokowanej windzie Inclusio Neo, widziany przezeń wczoraj po raz pierwszy, ubrany w hinduskie sari z namaszczeniem przygrywał sobie na sitarze, a dźwięki tabli szły z magnepteru. Sprawiał wrażenie równie, a może bardziej wyizolowanego ze świata niż Kinky. Czyżby ten stan sprzyjał opracowaniom i analizie horoskopów? Na półpiętrze Aria Cesnatti opleciona jak wąż wokół bioder rozlazłego Oro Tantrala przy wtórze spit-spat-tanga usiłowała wykrzesać zeń nieco życia. Puściła do Jana oko, gdy wymijał ich, niezgrabnie naśladowując ruchy i kroki gwiazdorów realonowej rewii „Jutro wspaniały świat Spit-spat”. W kuchni na pierwszym piętrze trwała ożywiona dyskusja, a właściwie kłótnia, w której Fok Full z rozcapierzonymi wielkimi łapami wraz z rechoczącą Catzy usiłowali stłamsić Sixa Dana. Six co chwilę się kurczył, zapadał, znikał pod ścianą lodówki, by z nagłą wyskoczyć w górę, ukazać się, wystrzelić argumentami nie do zbiccia, potrząsając przy tym czupryną rozwichrzoną na czubku tak, iż rzeczywiście przypominał czupurnego koguta. Reszta towarzystwa skupiła się w sali HV na czwartym, gdzie również panował nieopisany harmider, wrzawa kłótni przy wtórze bełkotu dziennika HV. Przy odbiorniku kręcił się Ulg Apollo, Hanah siedziała opodal bacznie wgapiając się w całościenny ekran, inni także zerkali

regularnie na nieciekawą twarz spikera. Jakby tam co najmniej pokazywali najnowszy odcinek „Gwiezdnego korsarza”, jedyne chyba biograficznego serialu, który był w stanie skupić solidarnie całą ludność planety przy ekranie. Zdawało mu się, że nikt nie zauważył jego wejścia, tak byli zaabsorbowani sobą i odbiornikiem, ale były to tylko pozory.

– Jak poszedł pierwszy test? – zapytał z niskiej kanapy Don Derdan. Miał na twarzy lustrzane szkła o nieprzyjemnym stalowym odbłyску zaopatrzone w pokrętła i namierniki. Przez te dziwaczne okulary sprawiał wrażenie niepełnosprawnego, wręcz kaleki, ale dzięki nim widział normalnie, jak wszyscy, podczas gdy bez nich mógł patrzeć dodatkowo w paśmie podczerwieni. Było więc dokładnie odwrotnie, to wszyscy naokoło niego byli kalekami, on jeden był normalny.

– Chyba dobrze. Tak naprawdę będzie wiadomo jutro – powiedział Jan, wchodząc do środka.

– Słyszałem od Lobsanga Ryud-sto’a – włączył się chłodny Atemok – że wstępne wyniki wykazują nieznaczne procentowe przewyższenie w trafności.

– Mówiłem wam, że nie taki z niego geniusz, jak go malują! – odezwał się za jego plecami Fok, który właśnie zakończył pierwszą z kłótni w kuchni i zmierzał najwyraźniej do drugiej. Jan jednak tylko badawczo zajrzał w białe, bezczelne oczy Fulla i nie odezwał się. Coś go blokowało w stosunku do tego upartego nienawistnika. Nie potrafił na razie powiedzieć mu, co o nim myśli, nie umiał nawet odszczeknąć, co nie raz, nie dwa przychodziło mu z łatwością w stosunku do groźniejszych niż Fok.

– Przestań głądzić, Full – wyręczył go Cshorty i zwrócił się do Jana. – Widzę, że dostałeś moją wiadomość.

Jan skinął głową.

– Co się właściwie dzieje?

– Uwaga! – odezwał się od odbiornika Ulg Apollo. – Cisza! Cisza!!! – infor samoczynnie podkręcił głośność, Ulg usiadł w fotelu.

– Posłuchaj – szepnął Cshorty. – Pssst! – rzuciła za siebie Hanah. Nie zauważyła, że Jan się zjawił, albo udała, że tego nie zauważa. Trochę go to ubodło.

– Podkręć jeszcze! – rzucił ktoś z ciemności, bo nagle zgaszono światło. Spiker mówił z ekranu, a obraz pokazywał północno-zachodnią dzielnicę Krakatos.

– Dziś o godzinie dwunastej trzydzieści w południe nad północno-zachodnim sektorem gigameracji w Kat w dzielnicy Rybnik, w subdzielniczy Deszczowców, na osiedlu imienia Profesora Gąbki, pojawiły się czerwone chmury. Ich zasięg niemal idealnie pokrywał się z administracyjną granicą tego sektora. Należy zaznaczyć, iż pojawiły się one nagle, nie przybyły znikąd i donikąd nie odleciały. Po trzech minutach od początku zjawiska chmury bez ostrzeżenia runęły w dół i spowiły dzielnicę nieprzeniknioną karminową mgłą. Atak mgły trwał godzinę, po czym przebarwione czerwienią powietrze wzniosło się dymnymi słupami w górę, a po dalszych piętnastu minutach zjawisko zniknęło.

Przez cały czas kamera pokazywała obrazy z lotu ptaka. Karminowa chmura na tle Kopców Wyzwoliciela i Ojca Świętego wyglądała jak krwista soczewka. Szrama na gładzi nieba, monstrualnie wyciągnięta i spłaszczona, na bordoworóżowych końcach. Niebo przecięte zostało po prostu kosmicznych rozmiarów krzywą szablą i z tej rany wyciekała karminowa mgła. W obrazie nagle mgła małymi strumyczkami poczęła się

wysączać od dołu dyskowatej chmury i spełzać ku ziemi. Sprawiała wrażenie czegoś ciekłego, przyklepnego jak miód, lecz miód, który posiada niszczycielską moc. Lepka czerwień szybko rozlewała się na przyległe osiedla i subdzielnice, aż w końcu objęła cały Rybnik. Nic dziwnego, że ludzie na tłumnych o tej porze ulicach, zwłaszcza w dzielnicach handlowych, wpadli w popłoch. Różowe strumyki oblepiały już szczyty piramidowych stupiętrowców, gdy pierwsze strady i ixary, a nawet wirobusy zostały porzucone na środku placów bądź wręcz w poprzek jezdni. Ludzie kryli się we wnętrzach sklepów, znikali w bramach, zamykali okna, uciekali w popłochu. Część jednak stała wgapiona w widowisko, jakby ich poraziło swoją niecodziennością i barwą – zbiorowa hipnoza. Cały proces nie pozostawiał zbyt wiele czasu na decyzję i właściwą reakcję. Chmura błyskawicznie dotarła do samego dołu, przykrywając ostatnie fragmenty normalnego widoku swym karminowym filtrem. Teraz następowały obrazy z wnętrza obszaru objętego tym przyrodniczym cudem. Godzina Karminu – jak mówił reporter – pociągnęła za sobą nadspodziewanie dużo strat i ofiar. Panika doprowadziła do licznych wypadków we mgle. Kilkanaście osób doznało szoku, kilku z nich nie udzielono pomocy na czas z powodu zakłócenia pracy urządzeń optycznych automedów. Karmin okazał się nieprzenikliwy dla podczerwonych namierników tych latających medycznych ambulatoriów. Z powodu zwarcia zapalił się ixar, który w pośpiechu lądował na chodniku i wpadł przy tym na elektryczną spalarkę sunącą wzdłuż krawężnika. Migawki z terenu zająć istotnie zapierały dech. Dawno chyba nie wydarzyło się na całej kuli ziemskiej coś tak niespodziewanego. Dzienniki HV wszystkich sieci globalnych będą dziś dudnić tylko

o tym. W karminowej pulpie tymczasem snuły się cienie przerażonych obywateli, którzy wyłaniali się wprost przed kamerą zniekształceni zbyt dużą bliskością obiektywu i znikali w różowej poświacie jak duchy. Ludzie zderzali się ze sobą, wpadali na ściany, ktoś wszedł do sklepu przez wystawę, ktoś leżał na ziemi i wył nieludzko przestraszony, inni stali w stuporze, zataczali się ze śmiechu, mówili sami do siebie bądź wrzeszczeli do mikrofonów HV jak potępieńcze upiory w samym sercu piekła.

Na miejscu znalazły się już czuwacze, ale okazały się bezradne w nietypowej sytuacji. Oczekiwano na żywych porządkowych, jednakże to musiało potrwać, we wszystkich dzielnicach Krakatosu z trudem uzbierałaby się ich setka. Spiker odczytywał dalej komunikat: „Według opinii ekspertów z Instytutu Meteorologii w Aklaviku, nad Krakatos nie planowano dzisiaj żadnych zakłóceń atmosferycznych. Instytut nie ma nic wspólnego z tym, co się stało, jednakże czuje się w obowiązku ze swej strony uspokoić opinię publiczną. Pobieżne analizy wykonane przez krakatoskie czujniki instytutu wykazały, że chmury są zupełnie niegroźne, a raczej były, bo w tej chwili, gdy mówimy te słowa, już nie istnieją, zatem, że ich skład chemiczny w niczym nie różnił się od normalnego składu chemicznego powietrza. Natomiast wstępnie zidentyfikowano w obrębie obłoków drobinki barwnika roślinnego. Nie udało się wyjaśnić nadzwyczajnej spoistości i przylepności mgły, jej pochodzenia ani sposobu, w jaki chmury się zmaterializowały, a następnie zdematerializowały. W każdym razie – czytał dalej spiker, którego poważna, ascetyczna twarz pojawiła się u dołu w rogu ekranu – służby medyczne czuwają nad każdym, kto zetknął się choćby częściowo z karminową chmurą. Zarządzono

też na wszelki wypadek jednodobową kwarantannę, która zakończy się jutro w południe, jeżeli nie zajdą nieprzewidziane wypadki”.

W obrazie z ulic dzielnicy nastąpiła zmiana. Mgła przerzedziła się, a przed obiektywem ukazał się mężczyzna około dwustupięćdziesięcioletni, jak się zdawało, w staromodnym kapeluszu na głowie, który z wykrzywionych wściekłą pasją ust wyrzucał potoki przekleństw. Mikrofon i chłodne oko kamery rejestrowały beznamiętnie atak jego gniewu, niewyraźne bełkotliwe słowa, szaleństwa mimiki i gestykulację żyłastych rąk. Z bełkotu nagle, jakby to było dograne, wypowiedziane skądś z boku, wyłoniły się wyraźne trzy zdania: – To te skurczybyki! Brać ich, psubratów! To oni, ci z Akademii, te psie diabły!!! – wycharczał głos, by znów przejść w niewyraźne rżenie i bełkot. Człowiek na ekranie zamachał rękami, okręcił się wokół osi i odbiegł, tonąc w rudym mroku ulicy. Tymczasem chmura odlatywała i roboreporter przeszedł na ogólny plan, dając kolejny przegląd z lotu ptaka. Widać było wyraźnie ciągnące się ku górze czerwone pasma jak startujące do podróży w ciepłe kraje tysiączne klucze pomalowanych na karminowo bocianów. Wkrótce niebo znów zapełniło się czerwienią, po czym kolor chmury przybladł, ruch i wirowanie kłębow powoli zamarło, sama zaś powierzchnia obłoku pojaśniała, wyprzezroczyła, aż stała się bladoniebieska, nie różniąca się zupełnie od otaczającego ją nieba. Na drugiej połowce ekranu można było zobaczyć teraz ulice, wylegający na nie tłum, rozbite gdzieś pojazdy i szyby wystawowe, kręcące niebieskimi światłami automedy, które lądowały w pośpiechu, i przystępujące do normalnej pracy czuwacze oraz ekipę czyścicieli. W pokoju panowała tak grobowa cisza, że

słysząc było każde najgłębsze westchnienie czy nerwowe przełknięcie śliny. Dla wszystkich stało się jasne, że teraz gniew mieszkańców obróci się przeciwko Akademii. Kto wie, czy tylko ich, skoro cały świat będzie dziś z zapartym tchem obserwował owo dziwne zjawisko nad Krakatos. Sensacyjne ujęcie wykrzykującego przekleństwa staruszka było tak sugestywne, a jego słowa skojarzone z niesamowitym obrazem tak mocno zapadały w pamięć, że myśl, iż Akademia stała się sprawcą zamieszania, musiała narzucać się sama, jak coś oczywistego i najprostszego.

– To jakaś potworna prowokacja! – oburzyła się Catzy Herma.

– To widzi każdy – powiedział Fok.

– Nie każdy – sprostował Atemok. – Tylko każdy z nas tutaj. To jest perfekcyjnie wyreżyserowane.

– Atemok ma rację – odezwała się Hanah Lamur. – Dla ludzi z miasta, a tym bardziej z innych miast i kontynentów, sprawa wygląda zupełnie inaczej.

– Będą myśleć, że to my? – zapytała Aria Cesnatti, która dopiero teraz pokazała się w drzwiach, zakończywszy spit-spata z Tantralem.

– Zapewne – powiedział ponuro, raczej do siebie Step.

– Pssst, cicho! – uciszyła ich znów Hanah.

„Teraz posłuchamy eksperta od zakłóceń na dużą skalę – mówił spiker – Eda Sancheza z Miejskiej Służby Ochrony Ekologicznej, który postara się nam wyłożyć swój punkt widzenia”.

Cały ekran wypełniła uśmiechnięta, zadowolona z siebie twarz młodego szarlatana. Zapewne był niezłym karierowiczem, skoro tak wysoko się wspiął w tym wieku, a może posiadał poparcie polityczne?

– Jak wynika z naszej oceny – mówił, usiłując swym wywodom od pierwszych słów nadać cechę obiektywizmu – nie ma żadnego zagrożenia ekologicznego. Chmura nie powstała wskutek żadnego przecieku, fuzji szkodliwych gazów czy chemicznej reakcji z niebezpiecznymi związkami. Zresztą w naszym mieście oraz w pobliżu, to znaczy w promieniu 600 kilometrów, jest tylko jeden zakład, który mógłby teoretycznie – zaśmiał się – tylko teoretycznie – podkreślił – dokonać tego typu zakłócenia. Nie zanotowano jednak żadnych sygnałów na temat wędrówki jakiegokolwiek, a już szczególnie czerwonego obłoku, a także na miejscu lokalny inspektor ekologiczny nie stwierdził żadnej awarii czy wyłączenia filtrów lub tym podobnych zaniedbań.

– Jest pan ekspertem od dużych zjawisk zakłócających, pracował pan jakiś czas w Zeusville na Jowiszu, czy mógłby się pan pokusić o sformułowanie wstępne, rzecz jasna niezobowiązujących, hipotez na temat tego, z czym mieliśmy dzisiaj do czynienia w Kat?

– Doprawdy – mizdrzył się młodzik. – Nie zetknąłem się z podobnym zjawiskiem i nie potrafię go racjonalnie wytłumaczyć. Pewne rzeczy, które są normalne na Jowiszu, nie są normalne tutaj, chcę przez to powiedzieć, że wiedziałbym, jak ocenić czerwoną plamę w tamtejszych warunkach oceanu metanu, z tym nie byłoby najmniejszego kłopotu, bowiem czerwone plamy są tam zjawiskiem codziennym, naturalnym.

– Czy chciał pan przez to powiedzieć, że chmura nad Krakatos wygląda panu na coś nienaturalnego? Przecież przed chwilą wykluczył pan zanieczyszczenie przemysłowe?

– Drań z tego roboreportera – wysyczała Molloy siedząca już niemal w biurze Sancheza, bo co chwilę przesuwała się

do przodu, coraz bliżej ekranu, tak ją wciągnęły wypadki i gadka tego faceta.

– Nie – powiedział Ed Sanchez. – A właściwie tak. Ma pan rację. Chmura sprawiała wrażenie nienaturalnej. Stwierdziliśmy z całą stanowczością, że nie była efektem zanieczyszczenia ani nie miała charakteru zjawiska meteorologicznego. Zresztą takie zanieczyszczenie jest także w pewnym sensie naturalne. Skądś następuje wyciek, który przebywa pewną drogę, gromadzi się, upływa jakiś czas, w konkretnym miejscu następuje uformowanie i tak dalej. Tutaj mieliśmy do czynienia z czymś, co pojawiło się nagle, zachowywało się nienormalnie i równie nagle zniknęło jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Nooo taaak – wysapał z westchnieniem Oro. – Tooo musiaaalo tuuu paaaaać!

– Tak jakbyśmy obserwowali spektakl iluzjonistyczny? – podsuwał tymczasem cierpliwie roboreporter.

– Pokażcie mi jego twarz!!! – wrzasnął Six Dan, potrząsając kogutem. – Twarz tego drania, do cholery, a nie tylko profil od tyłu!!!

– Tak. Właśnie tak – odpowiedział tymczasem Ed Sanchez z Miejskiej Służby Ochrony Ekologicznej Krakatos. – W tym świetle nie dziwi mnie, że jeden z pokazywanych mieszkańców skojarzył to zjawisko z Akademią Psi, która przecież już nieraz, choć nie na taką skalę, dawała znać o sobie.

Na tym wywiad się kończył.

– Widzieliście?! – wrzeszczał Six Dan – ładne przedstawienie nam tu dają!

– Przestań się ciskać. Daj posłuchać – uspokoił go beznamiętny Atemok.

Spiker zakomunikował właśnie ze swadą i elokwencją,

co następuje: „To jeszcze raz ja, wasz reporter w imieniu sieci BKCL NZGD oraz sieci niezależnej AKSB. Wiedzeni nieomylnym instynktem i bezsprzecznymi wskazówkami próbowaliśmy zaraz po godzinie pierwszej dotrzeć do rektora Akademii Psi, superministra Iluzji profesora P. Hokusy, ale odpowiedziano nam, że wyjechał i nie podał adresu ani przypuszczalnego terminu powrotu. Nie udało nam się także rozmówić z jego zastępcą, który jak na ironię również opuścił Krakatos i znajduje się w Melb na jakiejś konferencji. Niestety, do tej pory nie pojawił się ani na sali obrad, ani w swym apartamencie – nie odbiera też naszych wiadomości. Nie będziemy komentować tych nagłych rozjazdów kierownictwa Akademii, ani hermetycznego milczenia i blokady telekomunikacyjnej, ale zbieżność wydaje się być zastanawiająca. A teraz na zakończenie wysłuchajmy głosów samych poszkodowanych”.

Obraz przełączono na sale szpitalne.

– Dobra. Zgaś go, niech vider to nagra do końca na lovidy i do kompa akademickiego.

Hanah przełączyła na bezobrazowe nagrywanie. Nikt nie poruszył się ze swego miejsca. Z pięć minut tak siedzieli, milczeli, każdy zgnębiony, zatopiony w swoich niewesołych konstatacjach, dopóki nie odezwał się Step Cshorty.

– Trzeba działać – powiedział, wstając. – Niezależnie od tego, co robią członkowie Senatu, musimy się włączyć do akcji i próbować na własną rękę rozwikłać nici tej sieci, która zaciska się na pulsie naszej Akademii. Podzielimy się na grupy. Trzeba dotrzeć do reporterów tej stacji, trzeba porozmawiać z ludźmi, którzy przeżyli atak mgły. Trzeba samemu spróbować się rozprawić z napisem w Sali z Wgłębianiem, trzeba wreszcie pomyśleć logicznie i opracować jakiś plan obrony. Nie wiem, czy

to jest możliwe, czy nie, żebyśmy sami dotarli do sedna. Wiem, że musimy to zrobić! To musi zostać wykonane, jeżeli nadal chcemy uczyć się w tej szkole! Zaraz dokonamy podziału i nie ma żadnego „ale”. Koniec dyskusji! Mówię do was teraz nie jako Step Cshorty, ale jako Prezydent Semestru w sytuacji nadzwyczajnego zagrożenia!

Cshorty dostał potężną porcję oklasków. Nikt nie protestował tym razem i każdy bez szemrania przyjął przydział nowych obowiązków. Plan zajęć i tak diabli brali po tym, co się w mieście wydarzyło. Tylko Six Dan mamrotał coś jak zwykle pod nosem, że niby samozwańczy generał się znalazł i że przedrewolucyjny wojskowy dryl wprowadza, i jeszcze tym podobne bzdury.

Jan dostał się wraz z Ulgiem Apollo, Kinky, Sixem Danem i Hanah Lamur do grupy, która miała się zająć reporterami oraz ekspertem Ochrony Ekologicznej. Drugą grupę, nastawioną na rozszyfrowanie zagadki napisu w Sali z Wgłębeniem, poprowadził sam Cshorty jako dosyć zaawansowany adept Iluzji razem z Meteorem Atemokiem, Oro Tantralem i Martą Hevertič. Grupę trzecią, której zadaniem było opracowanie planów na przyszłość, a przede wszystkim analiza bieżących wydarzeń, objął Fok Full, jasnowidz z rocznym stażem, a weszli do niej Erossa Urs oraz Inclusio Neo, a później także Dominik Ming, który pod koniec zebrania pojawił się w salonie, narzekając na swych pobratymców ze Spirytyzmu, iż umyli od całej sprawy ręce. Pozostali, pod kierunkiem teleportującej się Molloy Sathanny, mieli zrobić wywiad w dzielnicy, zebrać relacje od poszkodowanych i spróbować zidentyfikować, kim był ów człowiek, który w karminowej mgle wykrzykiwał obelgi pod adresem PsiAka prosto w kamery holowizji. Znalazła się w tej grupie Aria Cesnatti, jako że potrafiła odbierać myśli, co mogło

(lecz nie musiało) ułatwić jej odróżnienie prawdy od kłamstwa, Vivaldo Seth z Hipnozy, co też mogło się przydać, Catzy Herma jako radiestetka, która mogła teoretycznie (gdyby dostała jakiś przedmiot związany z tamtym człowiekiem) zlokalizować miejsce jego pobytu w tej chwili, oraz Don Derdan, ponieważ nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić.

Natychmiast przystąpiono do działania, to znaczy natychmiast po apelu, który się tego wieczora odbył pod amarantowym szyldem „Noc ukoronowana natchnieniem” kłującym w oczy jak bezczelna igraszka, niemy wyrzut nieudolności Duala, odrażający wyprysk obcego niezidentyfikowanego pochodzenia. Apel wystartował o godzinie dziewiętnastej trzydzieści, tym razem ze wszystkimi rytualnymi śpiewami. Nie wniósł nic nowego do sprawy poza stwierdzeniem faktycznej nieobecności Hokusa, Mroka, a na dodatek także Fairsightera. Zaraz po apelu Hanah Lamur zarządziła zebranie swojej grupy pod Platanem Dżinów w Parku Cieni nieopodal biblioteki.

– Prawdę powiedziawszy dostał nam się najmniej ciekawy kąsek – zauważył zgryźliwie Six Dan, kiedy już się rozsiedli pod rozłożystym drzewem.

– To prawda – Kinky też nie była zachwycona. – Zidentyfikować tych ludzi i porozmawiać z nimi to naprawdę żadna sztuka.

– Pod warunkiem, że mają ochotę rozmawiać – usiłowała stonować ich niezadowolenie Hanah Lamur.

– Ja tam wolałbym się zająć tym napisem. – Ulg Apollo kręcił kółka w piasku i szarpał w zamyśleniu włosy czarnej brody.

– Uważam, że mamy najtrudniejszą robotę – poparł słowa Hanah Jan. – Ci ludzie są blisko organizatorów, bliżej niż facet

sprzed kamery, tamten to pŁotka, aktorzyzna, który odegrał nędzny ogon. Reporter za to wyraźnie sterował rozmową – więc odpowiedź na pytanie, kto go programował może nas istotnie posunąć naprzód, a Ed Sanchez dodawał od siebie rzeczy, których wcale nie musiał. To specjaliści w swoim fachu.

– To prawda – zgodził się niespodziewanie Six – mamy szansę poprzez nich dotrzeć na wyższy szczebelek, chyba nikt poza nami nie ma tej szansy w zasięgu ręki.

– Moje jasnowidzenie może być przydatne – usiłowała wszcząć kłótnię Kinky. – Twoja mądrość, Hanah, także, intuicja Sixa również, wszechstronność Jana San też, ale na co nam Ulg?!

– Lepiej, żeby był ze swoimi zdolnościami do iluzji u nas, niż przeszkadzał w Sali z Wgłębieniem – wyzłośliwił się Six Dan, korzystając z idealnej po temu okazji.

Ulg nie zareagował na zaczepkę. Wymownie przewrócił białymi gałkami oczu i wyduł usta z pogardą.

– Proponuję, żeby trzy osoby zajęły się stacją HV – powiedział Jan – a dwie tym Edem Sanchezem.

– Zgoda – powiedziała Hanah. – Zatem Six, Ulg i Kinky pójdą do holowizji, a my dwoje poszukamy Sancheza.

– Nie pójdę z Kinky – powiedział Six Dan.

– A ja z Ulgiem Apollo – odezwała się Kinky Vikink.

– A ty Ulg pewnie z Sixem Danem? – zapytała ironicznie Hanah. – Wydaje mi się, że taka konfliktowa grupa ma największą szansę na sukces. Spotkamy się tutaj za trzy godziny.

– Czy ja coś mówiłem? – Ulg znowu wzruszył ramionami. Hanah i Jan ruszyli w stronę płaszczyzny trawnika, by wezwać ixar.

Kiedy już wsiadali do ixara, który zjawił się bardzo szybko,

by przenieść ich na ulicę Róży Wiatrów, gdzie pod wcale nie zastrzeżonym adresem mieszkał Ed Sanchez, ujrzeli postać, która biegła od strony Biblioteki, wymachiwała ku nim rękami i pokrzykiwała coś, czego nie można było zrozumieć. Postacią okazał się mistrz Kayano, co wprowadziło ich w konsternację. „Czego on może chcieć” – zastanawiał się Jan, kiedy Japończyk zbliżał się długimi susami. Wkrótce stał zasapany obok nich.

– Możecie mnie zabrać swoim ixarem? – zapytał niespodziewanie.

„Czyżby – myślał w dalszym ciągu Jan – nie było w mieście innych ixarów? Albo czy nie mógł pojechać stradem? Oczywiście, że mógł, więc po co to robi?”.

Hanah stwarzała wrażenie jeszcze bardziej zaskoczonych. Nie wypadało im jednak odmówić mistrzowi, który był nie tylko mistrzem medytacji, ale także doskonałym intuicjonalem. Wsiedli więc we troje. Ixar wzniósł się w powietrze.

– Gdzie chciałby pan wsiąść, mistrzu? – zapytała Hanah.

– Wsiądę tam, gdzie wy – odpowiedział jeszcze bardziej tajemniczo Kayano.

Hanah wymieniła ulicę i polecieeli. Przez całą drogę Japończyk nie wymienił z nimi ani jednego zdania. Oni również nie kwapili się do rozmowy z nim, a ze sobą nie mówili o niczym ważnym, ot, parę zdawkowych uwag dla utrzymania pozorów swobody. Kiedy wylądowali przed falowcem na Róży Wiatrów, mistrz wysiadł, podziękował, przeprosił i pożegnał się. Stali i patrzyli, jak odchodzi, nie oglądając się za siebie. Było po ósmej, a na ulicy panował słaby ruch. Wzdłuż ulicy ciągnął się właściwie ten jeden falowiec mieszkalny, oznaczony numerem 2. Nie było tu barów, lokali rozrywkowych ani sklepów. Kayano wszedł do jednej z klatek i tyle go widzieli. Oba skrzydła falowca, to znaczy to po

lewej stronie ulicy i to po prawej, spinały gęsto klamry krytych napowietrznych korytarzy i przewieszek.

– O co mu szło? – zapytał Jan. – Może tu mieszka?

Zapytali inforu, ale wiadomość na ten temat została zastrzeżona.

– Dlaczego zależało mu, żeby nam pokazać, że wie?

– Nie mam pojęcia. Myślisz, że ma związek z kimś, kto macza palce w tej sprawie?

– Jest na PsiAku przeszło sto lat. Po takim czasie człowiek jest zbyt zżyty, zbyt przywiązany do miejsca, żeby się sprzeniewierzyć.

– Albo tak znudzony niezmiennością swej sytuacji, że pragnie odmiany za wszelką cenę.

– Nie wymyślimy tu na chodniku żadnej rewelacji. Lepiej wejdźmy i odszukajmy naszego Eda.

– Może by tak iść za nim. Jeszcze bym go złapał.

– Lepiej nie – Hanah pokręciła głową.

– Myślisz, że chcą nas rozdzielić?

– Nie myślę tak. Gdyby Kayano był z nimi w zмовie, to by znaczyło, że śledzą każdy nasz krok.

– Mój infor ostrzegł mnie dzisiaj, żebym nie szedł na spotkanie do Ulga Apollo – Jan był nieustępliwy. – Skoro on wie wszystko, to tym bardziej Kayano. Ma dostęp choćby do szkolnego inforu.

– W takim razie po co by się ujawniał? To naprawdę bez sensu.

– Może – zgodził się. – Chodźmy. Masz jego zdjęcia?

Hanah wyciągnęła hologram zrobiony z dziennika HV.

– Mam nadzieję, że nas przyjmie. Klatka dwa, mieszkanie 106, czyli dziesiąte piętro. – Drugi numer znajdował się na wprost

nich. Falowce nie tyle mierziły Jana, co rozśmieszały. Śmiesznie było pomyśleć, że tylko część tego budynku jest prawdziwa, a reszta to fantasmagoria na fundamencie realonu. Nie mogliby być pewni nawet, czy jest tu dziesięć pięter, gdyby nie numer mieszkania umieszczony w adresie, pod warunkiem, że nie jest to numer fałszywy. Ulice, przy których zbudowano falowce, co jakiś czas, mniej więcej z nastaniem kolejnej pory roku przeobrażały się nie do poznania. Wszystkie realonowe fasady zmieniały wtedy wystrój i jeżeli człowiek wyjechał dajmy na to na pół roku na wakacje, to miewał spore kłopoty, by trafić we właściwe drzwi po powrocie. Wcale nie było to przyjemne, choć w założeniu miało uatrakcyjniać życie i zlikwidować monotonię. Dlatego właśnie zwano owe budynki falowcami: nieustannie zmieniały swój wygląd, kolory, wysokości. Nie zmieniało się tylko położenie skrytego pod realonowym blichtrzem faktycznego korpusu z pianxidu, wokół którego odbywał się ten nieprzerwany falowy taniec pozorów. Na szczęście dziesiąte piętro było i okazało się ostatnim w tym segmencie. Park, w którym się znaleźli, wychodząc z windy, był tylko stereotapetą – w górnym rogu pulsowało małe, ostrzegawcze, czerwone światło dla roztargnionych durniów, którzy by ten cud techniki wzięli omyłkowo za cud natury. Segment miał charakter korytarzowy, a mniej więcej pośrodku między znajdującymi się na piętrze sześcioma mieszkaniami odchodziła przewieszka, pasaż do prawego skrzydła. Zaraz obok znaleźli drzwi z numerem 106. Jan nacisnął dzwonek. Denerwował się trochę, bo wcale nie mogli mieć pewności, że przeuroczy Ed Sanchez nie zechce ich własnoręcznie zrzucić ze schodów, nie zważając na zasady etykiety. Nikt nie otwierał. Jan ponownie nacisnął dzwonek. Cisza. Jeszcze raz. Nic. Dotknął

machinalnie gałki zamka i drzwi niespodzianie puściły. Uchyliły się na parę centymetrów z niemiłym skrzypnięciem. Na korytarzu zupełnie pusto. Jan zrobił krok do przodu, lecz Hanah go powstrzymała.

– Podejrzane – powiedziała. – Wpuszcza każdego?

Jan rozglądnął się dookoła. Za którymiś z tych drzwi mógł się kryć na przykład Ed S. we własnej osobie i kiedy tylko przekroczą próg, oskarżyć ich o włamanie. Jan pchnął drzwi tak, że otwarły się na oścież, ukazując przedpokój z zapalonym światłem i rozrzuconymi na podłodze foliowymi odbitkami gazet. Z pokoju dobiegał głos z odbiornika HV albo nastawionego na odtwarzanie videa.

– Panie Sanchez, jest pan tam?! – zawołał Jan do środka. Cisza, a właściwie klekot spikera z programu HV.

– Panie Sanchez?!!!

Żadnej reakcji.

– Jeżeli tu zostaniemy, to nie dowiemy się niczego – powiedział.

– Dobrze... ale ostrożnie.

Weszli do środka na palcach, z drżeniem serca. Mieli spocone ręce i nogi miękkie w kolanach. W każdej chwili spodziewali się typowej dla archiwalnych filmów sceny, kiedy to na skradających się intruzów z dzikim wrzaskiem spada zaczajony podstępny cień, wczepiający się w ich bezbronne karki. Jan przymknął drzwi, gdy znaleźli się w środku, żeby z zewnątrz nie zwracały za bardzo uwagi. Obejrzał koder.

– Wyczyszczony – powiedział do Hanah, wskazując na stan licznika pamięci. Widniało tam zielonkawe, fosforyzujące zero. – Nie zamykaj! – rzucił, gdyż spostrzegł, że Hanah dociska drzwi do framugi. – To może być taki Sezam, który otwiera się tylko

z jednej strony. Poczekaj tu.

Zostawił ją samą i poszedł do pokoju. Odbiornik działał, ale nikt go nie oglądał. Grzanki leżały na talerzyku, tylko że nikt ich nie zdążył skosztować: ułożone w równy stosik i pokropione ketchupem. Wszedł do łazienki. Golarka włączona w kontakt. W umywalce drobny pył ostrzyżonych włosów. W sąsiednim pokoju na łóżku garnitur – marynarka z bufiastymi rękawami w prążki, szerokie, czarne spodnie z atłasu, obfita bluza również w kolorze czarnym z mrugającym zielonym okiem na kieszonce, wszystko starannie odprasowane. Oko wgapiło się w Jana na chwilę, po czym mrugnęło zawadiacko i spoczęło na innym szczególe wnętrza, spoglądając nań tak, jakby był najdziwniejszym zjawiskiem pod słońcem. Jan popatrzył w tamto miejsce. Chodziło o popielniczkę ze wzorkiem w równoramienne trójkąty. Najnormalniejsza w świecie. Sprawdził na wszelki wypadek w ściennej szafie, jak uczyły obrazy stereonowych spektakli. Ale nie znalazł tam powieszonego na sznurku od bielizny E. Sancheza. Kuchnia sprawiała wrażenie nie używanej. Osoba, która tu mieszkała, musiała się żywić wyłącznie tym, co zaoferował jej podajnik. Wrócił do przedpokoju.

– Nie ma go – powiedział.

– Wychodzimy?

– Poczekaj. Jest jeszcze infor. – Jan odszukał włącznik na ścianie. Infor był cały czas czynny. – Gdzie jest pan Sanchez w tej chwili? – zapytał.

– Brak informacji – powiedział służbiście infor.

– O której wróci?

– Brak informacji.

– Czy gdzieś wyjechał? Czy w ogóle jest w mieście?

- Brak informacji.
 - A gdzie był dzisiaj rano?
 - W pracy.
 - Wrócił potem do domu?
 - Tak.
 - O której wyszedł?
 - Zastrzeżone.
 - Wiele nam to nie da – odezwała się Hanah. – Lepiej chodź.
- Wyszli na korytarz.

– Te drzwi cię nie niepokoją? – zapytała Hanah. – Takie otwarte dla każdego? Przecież on nie jest Utracjuszem, pracuje, a tylko oni mają takie obyczaje.

– Coraz więcej ludzi podziela ten obyczaj, moja droga – odpowiedział. – Daleko dziwniejszy jest włączony holowizor, grzanki i przygotowany do ubrania garnitur.

– Schował się przed nami?

– Może Kayano nas uprzedził? Jest to przejście pasażem do prawego skrzydła, a stamtąd pewnie z niższego poziomu do innej klatki w lewym skrzydle.

– Trzeba sprawdzić. – Hanah ruszyła w kierunku wejścia do przewieszki.

– Poczekaj. Może dowiemy się czegoś od sąsiadów. Może skoczył na chwilę do któregoś z nich? – Nie bardzo w to wierzył. Coś mu mówiło, że Sancheza już nie zobaczą, że zniknął. Rozpłynął się, właśnie między innymi dlatego, iż spodziewano się podobnej wizyty i nie chciano, by go ktoś nachodził. Mógł się przenieść o jedną przecznicę, o dwie dzielnice albo wręcz na inną planetę, tego nie sposób się było dowiedzieć. W każdym razie należało sprawdzić u sąsiadów, pokazać im jego holoportret, może nawet zawiadomić o zniknięciu ES.

Zadzwonili na pierwszy ogień do drzwi naprzeciw. Nosiły one numer 104. Otworzył im niski, szpakowaty jegomość, który od razu wydał się Janowi kimś dobrze znanym. Dziwne to było wrażenie, ponieważ nie potrafił za nic umiejscowić jego osoby w konkretnym kontekście, nie było mowy, żeby sobie przypomniął, miał tylko mglisty ślad w pamięci. Hanah pokazała mu hologram i zapytała, czy Eda Sancheza, jego sąsiada, przypadkiem u niego nie ma. W dzisiejszych czasach nikt już nie zwraca na nikogo uwagi, a nie przymuszony jakimś psychologicznym chwytem, nawet jeśli kogoś zna, odpowie ci, że nie ma pojęcia, nie zna, nie rozumie, byleś się od niego odczepił. Ładna dziewczyna i hologram zmieniały sytuację.

– Owszem – powiedział mężczyzna. – Znam Eda. Nie ma go u mnie i w ogóle dzisiaj go nie widziałem, ale ten na hologramie to nie jest Ed.

– Jak to?! – zdziwił się Jan. – Przecież to Ed Sanchez, pański sąsiad z przeciwka?!

– Nie, to nie on. Rzadko się widzujemy, ale na tyle go chyba znam. Jest podobny, owszem, ale to nie Ed. Życzycie sobie państwo czegoś jeszcze, bo chciałbym skończyć oglądać odcinek sztuki o Indianinie z Ultramaru?!

– Nie. Dziękujemy panu.

Zatrzasnął drzwi, a oni zapukali do następnych.

*

Na nocne spotkanie grup stawili się z pełnym zestawem rewelacji. Każdy z pozostałych sąsiadów, których udało się wypytać o Eda Sancheza, zapamiętał innego człowieka. Nie tylko niepodobnego do Eda z hologramu Hanah, lecz – jak wynikało

z opisów – pierwszy nie był podobny do drugiego, drugi do trzeciego, a czwarty do piątego. Poza pierwszym z sąsiadów, który twierdził, iż zna Eda, znał jego nazwisko i podobno u niego bywał, inni widywali go tylko sporadycznie i pamiętali wyłącznie z widzenia. Lokator spod numeru 106 był w tych relacjach raz niskim, grubawym blondynem, to postawnym brunetem, niechlujnym długowłosym młodzieńcem i wreszcie trzystuletnim staruszką. Jak dowiedzieli się od androidowego konsjerża, Ed Sanchez zajmował mieszkanie dopiero od pół roku. Wynikało z tego, że chyba bardzo często zmieniał powierzchowność, co nie było niemożliwe, ponieważ podobne zabiegi stosowało się ostatnio dosyć często, choć nie aż tak często – pięć zmian w ciągu pół roku przekraczało chyba wytrzymałość przeciętnego organizmu, a sam zabieg mógł sprawić przyjemność co najwyżej zatwardziałemu masochście. Możliwe jednak, że sąsiedzi widzieli za każdym razem kogoś innego wchodzącego do mieszkania numer 106 i brali go za głównego lokatora. Nie można było także wykluczyć, że zmyślali jak najęci z nieznanymi powodów, choćby po to, by się pozbyć natrętów. To ostatnie wyjaśnienie było bardzo wątpliwe, bo przecież prościej było powiedzieć „tak, to jest ten facet z hologramu, mieszka pod 106, nic o nim nie wiem”, niż wymyślać cały rysopis. Musiałaby mieć miejsce jakaś zmowa między sąsiadami, a taki przypadek należało raczej wykluczyć. Jan i Hanah opuścili budynek prawym skrzydłem, przedostając się tam z pasażu, który, jak stwierdzili, łączył się na wysokości ósmego piętra w prawym skrzydle z pasażem powrotnym do tej samej klatki. Była to droga, którą teoretycznie Kayano mógł dotrzeć pierwszy do Sancheza i uprzedzić go o nadciągającej wizycie nieproszonych gości. Postanowili w drodze powrotnej sprawdzić w biurze ewidencji,

czy Ed Sanchez z Róży Wiatrów 2/106 jest tym samym, który pracuje w MSOE. Android w okienku stwierdził, że tak, że nie ma najmniejszych wątpliwości, że infor nie mógł popełnić pomyłki, że Ed Sanchez z ulicy Róży Wiatrów 2/106 jest pracownikiem MSOE od roku, a przedtem pozostawał na usługach MSOE–Zeusville. Dane biograficzne można uzyskać po podaniu pod ocenę konkretnego powodu, dla którego się ich żąda, lub po okazaniu uprawnienia. Nie pozostało nic innego, jak sprawdzić w samym MSOE. Popędzili tam natychmiast, choć późna pora nie rokowała sukcesu. Mieli tym razem szczęście. Dyspozytor dyżurny rozpoznał Sancheza z hologramu i pokazał im kartę wydruku, z której wynikało, że Sanchez od dzisiaj jest na urlopie wypoczynkowym. Nie pozostawił wiadomości na temat kierunku, w którym się na wypoczynek udaje. Trop na razie na tym się urywał, choć był bardzo obiecujący. Już sam fakt wielości Sanchezów stwarzał zupełnie nową jakościowo sytuację, jeżeli przyjąć, iż nie zachodziło nieporozumienie, przez które kogoś z jego przyjaciół brano za niego samego.

Ulg, Kinky i Six mieli więcej szczęścia, za to żadnych rewelacji. Ludzie, którzy robili reportaż, wyśmiali ich i zbyli w bezczelny sposób, twierdząc, że mają prawo do takiej interpretacji faktów, jaka im tylko przyjdzie na myśl. Jeżeli PsiAk uważa, że przekroczyli prawo, to niech ich oskarży, wystąpi na drogę sądową i zobaczymy, kto wygra, poza tym nie mają nic więcej do powiedzenia. Kinky z Ulgiem śledzili jednego z reporterów i ustalili jego adres, a raczej miejsce, w którym zatrzymał się na noc z ładną panienką z kolorowym Drickiem Henco namalowanym na blond włosach po pas. Był to motel „Srebrny Deszcz” przy trasie na południe w jednym z suburbiów dzielnicy Os. Dyskusja w mieszkaniu Jana ciągnęła się prawie

do świtu i pewnie w ogóle nie poszliby spać, gdyby nie chłodny rozsądek Meteora Atemoka. Pozostałe grupy miały wyniki równie mizerne, jeżeli nie gorsze. Zebrano wiele relacji w dzielnicy północno-zachodniej, które jednak nie wносиły nic nowego. Nikt z okolicznych właścicieli czy sprzedawców, żaden android nie przypominał sobie człowieka, którego hologram pokazywała im Molly Sathanna. Poszukiwanie tego mężczyzny nie rokowało nadziei na pozytywne zakończenie. Dosyć zaskakującą, lecz równie bezwartościową wiadomość przyniósł Step Cshorty. Okazało się, że napis w Sali z Wgłębieniem zniknął. Stało się to na ich oczach. Cshorty wspiął się po drabinie do pierwszej litery, owego wielkiego „N”. Na trzonie drugiej nóżki u zbiegu ze skośnym łącznikiem odkrył odcisnięte literki wysokości kilkunastu milimetrów: K, C, J, A. Zachęcony tym odkryciem zamierzał się wspiąć ku następnej w kolejności małej literze „o”, kiedy rozległ się podobny jak poprzednio trzask i napis przestał w jednej sekundzie istnieć, pozostawiając po sobie jedynie piżmowomusztardową woń. Zawiadomili profesora Duala i próbowali się przez infor dowiedzieć czegoś na temat skrótu KCJA, lecz okazało się, że w znanym Wszechświecie nie istnieje żadna firma, która by się takim skrótem posługiwała. W Encyklopedii Ziemi figurowało tylko jedno hasło o tym brzmieniu: kcja – pseudonim znanej w neośredniowieczu terrorystki Mileny Rajowej. Urodzona w roku 615 n.n.e. w Mosk została pojmana i stracona w Washing w 689 roku n.n.e. Założona przez nią organizacja „Przyszłość Kultury – Wolność Nauki” pod płaszczykiem metod demokratycznych i protegowania postępu zmierzała do restytucji totalizmu naukowego (patrz: pseudalizm, nowokracja) za pomocą białego i czerwonego terroru oraz

falszerstw informatycznych dotyczących przeszłości. Siatka tej grupy była dobrze zakonspirowana, często pod szyldem oficjalnych instytucji, a agenci Mileny Rajowej przeniknęli nawet w szeregi Unii Ekologicznej. Została pojmana przy próbie zatarcia prawdziwych wiadomości o okresie poprzedzającym Wielką Rewolucję Ekologiczno-Humanistyczną w CKUN (patrz: Centralny Komputer Unii Ekologicznej) i podstawienia na to miejsce sfalszowanej, kompleksowej wersji historii całego okresu Nowej Ery (patrz: nasza era) ze szczególną perfidią zniekształcającej epokę Różnych Języków. Tyle encyklopedia. Związek między tą postacią a napisem pozostawał zupełnie nieodgadniony, można było snuć setki domysłów, bowiem nawet Centralny Program Komputerowy, po zajęciu dziesięciu głównych obwodów problemem, skasował go jako nieistotny, sugerując uzupełnienie danych. Tak więc Cshorty i jego ludzie nie mieli już czego badać, bo napis zniknął, za to mieli nad czym łamać sobie głowy. W tej sytuacji głównym punktem zaczepienia pozostał Ed Sanchez. Dopiero nad ranem doszli do zgodnego wniosku, że nie należy jeszcze zawiadamiać o jego zniknięciu Oddziałów Specjalnych, jako że nie ma najmniejszego dowodu na to, że zniknął wbrew swej woli. Mógł najnormalniej w świecie wyjechać na urlop albo rzeczywiście uciec przed Hanah i Janem. Stan jego mieszkania, zwłaszcza uruchomiony odbiornik HV i te nieszczęsne kanapki nie świadczyły o niczym, ponieważ skoro widywano tam więcej osób, a zamek wpuszczał każdego bez kodu, to kolację mógł sobie przygotować którykolwiek z pozostałych czterech „Sanchezów”. Nie było zgodności co do fantastycznej i wstrząsającej wieści na temat mistrza Kayano i jego powiązań ze sprawą. Ulg Apollo skłonny był sądzić, że mistrz Kayano coś podejrzewa i ma na oku wszystkich uczniów

na zlecenie Senatu. Catzy Herma nie wykluczała innej możliwości. O wpół do czwartej Jan został nareszcie sam i zwałił się jak długi do łóżka, ledwie zdążywszy ściągnąć spodnie i koszulę. Pomyślał tylko przed zaśnięciem, że jeśli nadejdzie jeszcze jeden podobny dzień, to na pewno nie zda żadnego egzaminu, bo nie dość, że nie będzie się w stanie skoncentrować i logicznie przez moment pomyśleć, co przy egzaminach bywa niezbędne, to nawet nie uda mu się oka otworzyć o godzinie ósmej rano, by na ten egzamin zdążyć.

F. Nic albo wszystko

Następnego dnia wybuchła kolejna bomba, ale na szczęście dopiero późnym wieczorem. Cały dzień upłynął na tyle spokojnie, że po teście na wydziale Hipnozy Jan znalazł dość czasu na dokończenie lektury. Hipnoza. Niestety Jan nie potrafił jej wywołać nawet u susłów delijskich, nad wyraz skłonnych do snu i stanów katatonicznych, także nie potrafił się jej poddać mimo nie pozbawionych wprawy wysiłków doktora Mahdi ben Gana. Po tym niepowodzeniu Księga Ethera Lügen Impostera była mu wspaniałą pociechą. Z niecierpliwością przerzucał kolejne stronicę, aż trafił na właściwy akapit.

...Kłopoty z opanowaniem infrazwiązków, ich stabilizacją i z umklajderami nie skończyły się wraz z pracą Stalona Meira. Po wyznaczeniu dla poszczególnych infracial i mieszanych związków okresów maksymalnej stabilizacji, nastąpił trud związany z przypisaniem najwydatniejszych stabilizatorów do każdego z osobna. Dalej przyszło się pogodzić z przykrym doświadczeniem, że iluzyjny kotlet schabowy jest łykowaty i wcale nie nadaje się do jedzenia, mimo iż wyglądem

zewnątrznym i składem chemicznym ani na jotę nie różni się od kotleta klasycznego bądź kotleta syntetycznego, oraz że dżin powstały na bazie inframarmolady może prowadzić w zbyt dużych dawkach, albo przy częstym spożywaniu, do zaniku mózgu. Przyszło się także borykać z olbrzymią wielkością i prymitywizmem urządzeń stabilizujących, które mimo całej zastosowanej elektroniki przypominały wieżowce N-jorskie, we wnętrzu których, w małej komorze metr ma metr, udawało się niewielką zieloną żabkę (bufo woodhousii fowleri) przez dwa tygodnie utrzymywać pod postacią równie małej i wdzięcznej księżniczki bajkowej z mikroskopijnym brylantowym diademem na głowie. Problem nie był łatwy, a nawet mówiono, że jest tak trudny, iż ludzkość chyba się nie doczeka zmiany owej przykrew sytuacji. Poza tymi gigantycznymi SIC (stabilizatorami infraciał) złoto niestety nadal w ciągu kilku godzin traciło swe magiczne, czarnorynkowe własności i nadawało się tylko do punktu skupu surowców wtórnych. W wiekach dwudziestych, to znaczy w XX i XXI wieku, kiedy to królował Logos i wybujała, energochłonna, samobójcza (jak się okazało) technologia, w niektórych państwach wielkie postępy czyniła tak zwana komputeryzacja i elektronizacja. Urządzenia elektronowe miniaturyzowano tam do supermaleńkich układów scalonych bądź mikroprocesorów. Na tej właśnie technologii, zachowanej z narażeniem życia (w przemyconych foliach i luźnych skryptach) przez lata terroru Unii, bazowała w cichym ukryciu odtwarzana przez fanatyków nauki nowoczesna elektronika. Jej fala zalała świat wraz z upadkiem Unii i wszelkiego rodzaju wspieranych przez nią antytechnicznych ruchów, które prześladowały do tamtego momentu skutecznie każdy przejaw niehumanistycznej myśli i wiedzy. Wielce zasłynął wtedy w dziele odbudowy i rozwoju tej

dyscypliny uczonego Misora Procekro, którego idée fixe stało się takie pomniejszenie podstawowych modułów elektronicznych i takie materiałowe przekształcenie, które pozwoliłoby w jednym atomie wodoru zmieścić co najmniej tysiącbitową informację. Rzecz jasna szalony profesor Procekro aż do tak wspaniałych wyników nie doszedł, ale jak powszechnie wiadomo, tylko wysokie cele oraz wielkie przedsięwzięcia mogą być bodźcem, by uczynić krok, lub zgoła kroczyk, we właściwym kierunku i tylko wariaci są zdolni ten krok postawić, nie oglądając się na wątpiących, nie lękając się wykpienia przez jednostki o słabej wyobraźni (zajmujące przeważnie eksponowane stanowiska). Jednostki o fantazji nie większej niż orzeszek laskowy, które gdyby im tylko pozwolono przewodzić, doprowadziłyby niechybnie do tego, że taplalibyśmy się w ponurym bloku przyziemnej codzienności albo powieszeni za ogony ciągle zżeralibyśmy banany, nie ruszywszy się z tych samych co w czwartorzędzie drzew.

Bez Misora Procekro, który doszedł do tego, że dziesięć tysięcy bitów mieściło się w główce szpilki, bez odkrycia w 1109 hipotetycznych (poszukiwanych od 1931 roku przed Ekologiczną Rewolucją) monopolów magnetycznych, czyli cząstek elementarnych magnetyzmu, bez pierwszej biochemicznej lampy, biochemicznego źródła energii o wysokiej wydajności i stabilizatorów Stalona Meira nie byłoby dziś umklajdera. Pierwszy prymitywny umklajder, zbudowany z hipermikroprocesorów Procekrona (inaczej mikroprocekronów), ogniwa biochemicznego „rś” i dwóch symetrycznie umieszczonych monopoli, które wzbudzały ruch elektryczny w ogniwie – nieco podobnie jak w laserach – kierowały strumień krionicznych cząstek infra wyzwolonych

z materiału stanowiącego wsad i pełniły jeszcze inne ważne funkcje, miał długość dziesięciu metrów i ważył półtorej tony. Dysponował już odpowiednią mocą, by móc ustabilizować dowolny przedmiot poza swym wnętrzem na żądany (w granicach ustalonych przez S. Meira) czas, pod kilkoma warunkami. Po pierwsze przedmiot musiał być zbudowany ze „zwykłego” odpowiednika infrawsadu, po drugie pałeczka magiczna (bardziej pasowałoby: magiczna pała) musiała tego przedmiotu bez przerwy dotykać. Od tego ostatniego warunku do dziś nie udało się umklajderów oswobodzić. Umklajder ten zaistniał po raz pierwszy 14 lipca 1148 roku n.n.e., w piękne pogodne przedpołudnie na paryskim placu Gwiazdy, a wyczynu dokonał młody holistyczny uczony, najświeższego rzutu fanatyk, chluba młodej generacji tamtych lat: fizyko-elektrono-chemio-bio-medyko-matematyk Anas Komloger. W toku dalszych doświadczeń i prac prowadzonych w reaktywowanym Joino Corporation ten pierwotny umklajder udało się jeszcze zmniejszyć trzykrotnie i zelżyć pięćdziesięciokrotnie, to jest do trzydziestu kilo. Wciąż nie były to jednak urządzenia nowoczesne, czyli w miarę uniwersalne, niezależne od tak zwanego wsadu, a raczej wielowsadowe, sterowane komputerowo za pomocą zadanego mikroprocesorowego programu. W historii rozwoju magicznych pałeczek do „iluzji przekształcającej” miało miejsce kilka zasadniczych przełomów. Nie będziemy tu ich szczegółowo opisywać, może znajdzie się po temu inna okazja[6]. Polegały one głównie na dalszej miniaturyzacji urządzenia, wzmocnieniu energetycznym, wprowadzeniu wielowsadu, zmianie gazu kriotwórczego z anagnonu na inne wydajniejsze. Wszystkie te przemiany wiodły krętymi drogami, a los twórców, raz szczęśliwy, raz nie,

przeplatał się z takimiż samymi meandrami losów wielkich firm, korporacji, całych społeczności planetarnych, wszyty w materię historycznego rozwoju niemal wszystkich dyscyplin i części Galaktyki jak piękny haft brabancki[7] albo wzorzysty sztych perskiego arrasu. Znaczyły tę wielką drogę upadki, zbrodnie, tajemnice oraz wspaniałe wzloty ducha jak zawsze, gdy w grę wchodzi naukowe odkrycie dużej wagi oraz ostra konkurencja na rynkach międzyplanetarnego handlu.

W każdym razie po tych przełomach umklajder stał się tym, czym powinien, czyli małym, lekkim i poręcznym miotaczem strumienia elektromagnetycznego skupionego w równoległą wiązkę przez monopole. Strumień, emitowany przez biochemiczne źródło energii o wydajności 96% nazwane przez swych konstruktorów pieszczotliwie „robaczkiem świętojańskim”, przechodził między monopolami o odwrotnych polaryzacjach (południowej i północnej) i po takim wzmocnieniu oraz wyprostowaniu uderzał w krążek wsadu zatopiony w skroplonym infragazie. Z wsadu z wielką energią wybijane były cząsteczki infrapierwiastka lub infrazwiązku, które zderzając się z przedmiotem, do którego przystawiono mikrolufę umklajdera wchodziły z jego materią w reakcję chemiczną (przeważnie syntezę), nie ogrzewając się przy tym, czyli nie tracąc swych infrawłasności. Strumień magnetyczny torował im niejako drogę, rozrywając łączenia atomów, przy czym jednocześnie w wolne miejsca wchodziły atomy infraciała wypromieniowane z wsadu. Oto i cała tajemnica umklajdera. Było to proste i eleganckie. Zamiast anagnonu, mającego stosunkowo wysoką temperaturę skraplania, to znaczy bliską zera absolutnego, a więc zbyt małą jak na wymagania infrareakcji chemicznych, stosowano obecnie skroplone

diamenty (minus 3 685°inf) albo ciekły chryzoberyl (minus 5 399°inf) czy wreszcie ugazowiony, a potem skroplony kadm (minus 11 395°inf). Anagnon znajdował zastosowanie jako jedna z warstw osłaniających owe gazy, po prostu ciecz chłodnicza. Magnetyczne kleszcze monopoli spełniały w tym urządzeniu potrójną rolę: izolatora substancji krionicznych, dzięki któremu nie stykały się one bezpośrednio ze ścianami magicznej rurki, w której zostały zamknięte, wzmacniacza i kolektora cząstek magnetycznych wysyłanych przez bioźródło oraz filtra blokującego przepływ od źródła ku dalszej części umkajdera, tych części elektromagnetycznego widma, które powinny być zostać zatrzymane. W ostatnich latach rosła także liczba infraciał umieszczonych w jednym wsadzie. Obecnie dochodziła do tysiąca. Na rysunku pokazano wsad i zasadę jego działania. Był to walec o średnicy centymetra i długości dziesięciu centymetrów, zbudowany z plastrów promieniście ułożonych pierwiastków i związków. Walec obracał się na osi prostopadłej jak bębenek w kowbojskim kolcie, a jego właściwy obrót wybierało się przez naciśnięcie guzika z odpowiednim programem mikroprocekonowym. Programy oznaczono cyframi od 1 do 1000. Jeśli więc stawaliśmy przed stalowymi drzwiami, a w skład stali wchodziły domieszki na przykład wolframu i molibdenu, należało nacisnąć program A, guziki z cyfrą 26, 42 i 74, lub program B, guziki 56, 96, 184. Pierwszy program, jak to było widać, bazował na liczbie porządkowej, drugi natomiast preferował przybliżony ciężar atomowy. W obydwu przypadkach mikroprocekonony ustawiały dysze we właściwy sposób, tak że były one tylko w te wybrane plastry na wsadzie. Wybite cząsteczki przechodziły przez kriogeniczny gaz, gdzie wchodziły w reakcję między sobą, zyskując własności

infrazwiązku chemicznego i wylatywały przez przytkniętą do drzwi lufę prosto w zmięczony energią monopoli metal. Jak pamiętamy, infrazelazo z żelazem „zwykłym” daje zwykłe szkło. Im dłużej trzymalibyśmy tak przytkniętą do drzwi pałeczkę, tym większy obszar obejmowałyby zmiany, ale tylko do momentu, gdy wyczerpie się zasób infrapierwiastków potrzebnych do reakcji we wsadzie. Aby zapobiec podobnej rozrzutności, umkłajderom współczesnym wmontowano jeszcze jeden program, program oszczędnej gospodarki zasobami wsadu. Stabilizację czasową przekształconych iluzyjnie form dają oczywiście katalizatory, przeważnie pierwiastki o ciężarze atomowym od 396 do 543, takie jak hardmolibden, bigameryk, hiperlawrens, megaferryt, outiluzyt, strongeron, biggit, gittin i wiele innych. Ot, i cała filozofia. W gruncie rzeczy filozofia owa polegała raczej i nadal polega na umiejętnym analizowaniu składu przedmiotu, który zamierza się poddać iluzyjnej przemianie, bez użycia specjalnych narzędzi, a jedynie za pomocą własnego psitalentu. To jest właśnie cecha, która iluzjonistów wyróżnia spośród reszty oszalałej psi-chałastry.

W rozdziale o falenderach Lügen Imposter pisał, że ich historia przebiegała zupełnie inaczej i wiązała się z momentem Wielkiego Kontaktu oraz z dwoma osobnikami o przypadkowo podobnie brzmiących imionach i nazwiskach. Chodziło tu o Terlo Gana Pumko i Pumko Tergana Lo, których pomnik do dziś zdobi jeden z parków w Lon na wyspach Bryt. Od Wielkiego Kontaktu, czyli od roku 896, stale napływały na naszą planetę informacje z kosmosu. Strumień ten zalewał świat ze wzmożoną siłą przez okres pierwszych pięćdziesięciu lat po odkryciu. Działo się to, jak wiadomo, nie dlatego (jak to sobie wyobrażali niegdyś fantaści), iż wyżej rozwinięte od nas cywilizacje zapragnęły nagle udzielić

swym młodszym braciom wiedzy tajemnej uznawszy, iż do tego dojrzeli, lecz dlatego, że jednemu z owych ślepców, jakimi ludzie wtedy byli, udało się na kilka wieszczych sekund przejrzeć, odzyskać wzrok, zrzucić ze zmętniałego oka wyobraźni ciemną zasłonę i uzyskać wgląd w istotę wszechświata, który nas otacza. Tym człowiekiem był Terlo Gana Pumko, któremu udało się rozszyfrować istotne sygnały wysyłane masowo przez wszystkie rozwijające się cywilizacje. Sygnały te były na tyle uboczne, niezorganizowane i chaotyczne, że przez wieki całe były przez nas niezauważone lub opacznie interpretowane. Drogi rozwoju w obrębie Drogi Mlecznej przebiegały różnie w przypadku poszczególnych cywilizacji. Jedne szły do przodu prędzej, lecz rozwijały się jednowymiarowo, inne zaś powoli, lecz wielostronnie, żadna z nich, jak dziś to wiemy, nie przewyższyła innych i mniej więcej w tym samym czasie uzyskały równe możliwości. Ziemia była tu nieco zapóźniona przez wieki upadku po Kryzysie Ekologicznym, lecz nie na tyle, by tego szybko nie nadrobić, a zapóźnienie techniczne spowodowane generalnym odwrotem od poprzedniej drogi rozwoju okazało się nie słabością, lecz siłą, więc nie zapóźnieniem, a (patrząc z pewnego punktu widzenia, rzecz jasna) przyspieszeniem. Emisje różnorodnych fal nakładających się, wygaszających, zakłócających się wzajemnie, o różnych cyklach i fazach, we wszystkich pasmach i kanałach, różnorodnych rodzajach promieniowań widzialnych, słyszalnych, mierzalnych bądź tylko teoretycznie przewidzianych lub intuicyjnie wyczuwalnych, biegły ku Ziemi i naszemu systemowi słonecznemu ze wszech stron przez całe pokolenia królującej ślepoty, zwanej epoką Logos. Rozkawałkowana nauka, pogrążona w swych szczątkowo szczegółowych badaniach wzdłuż więziennych murów

wycinkowych dyscyplin, nie była zdolna spojrzeć całościowo na charakter owych promieniowań, które przecież rejestrowała. Rejestrowała je narzędziami jednej wycinkowej dyscypliny i tymiż narzędziami, które zupełnie się ku temu nie nadawały, usiłowała je interpretować. Różne odmiany astronomicznych teleskopów zbierały wiadomości z kosmosu na użytek astronomicznych teorii, interpretowane przez astrofizyków za pomocą języka fizyki i matematyki. Tymczasem najodpowiedniejszym narzędziem byłby tu opisowy język psychologii i literatury oraz współpraca ze specjalistami całkiem innego rodzaju, którzy pracowali na użytek niepoważny wywiadów wojskowych oraz gospodarczych, bądź ku uciechu gawiedzi układali w popularnych czasopismach bezpłodne krzyżówki. Mam tu na myśli cały legion szyfrantów, konstruktorów i analityków od zakamuflowanych wiadomości, którzy pocili się, by wymyślić taki język, coby przed domniemanym wrogiem przesyłane wiadomości zataił, taki kod, którego by inna nacja rozgryźć nie zdołała, po to tylko, by ją (tę nację) o krok wyprzedzić i potem pognać. Kiedy patrzymy z naszej dzisiejszej pozycji na tamte odległe czasy, widzimy jak na dłoni bezsensowną stratę energii i czasu wynikłą z głupiego nasterowania całego tego potężnego aparatu wywiadowczego oraz kontrwywiadowczego, który uzyskałby nieporównanie lepsze wyniki w postaci lawiny wynalazków i teorii niedostępnych ówczesznie żadnej ziemskiej nacji, gdyby się skupił na rozszyfrowaniu wiadomości płynących z rozgwieżdżonego nieba, gdyby się wzniósł duchem ponad doraźne interesy i spojrzął wyżej oraz dalej, miast pełzać w przyziemnych obszarach lokalnych antypatii i zawiści.

Jest to temat na inną olbrzymich rozmiarów rozprawę, więc

skupmy się raczej na istocie interesującego nas tu zagadnienia falenderów.

Otóż Ziemia w epoce Logos wysyłała również bezwiednie olbrzymie ilości przekazów w kosmos, lecz jako się rzekło, Galaktyka rozwijała się równomiernie i na innych planetach ucywilizowanych tamtejsi naukowcy także nie potrafili tych przekazów odczytać. Działo się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, naiwnością było sądzić (jak sądzono), iż cywilizacje mogą sobie przekazywać wiadomości wprost. Po drugie, brakowało odpowiednio czułego aparatu badawczego i, jak rzekłem, języka. Do Wielkiego Kontaktu, którego sprawcą okazał się spec od logogryfów i szarad Terlo Gana Pumko (który jako jedyny odczytał fragmenty zaledwie zdania z nieustannie nadsyłanej ku nam Księgi Cywilizacji), nawet nie przeczuwaliśmy, jak potężne elektromagnetyczne burze, tornada galaktyczne i międzygwiazdne sztormy, jak straszliwe wiry twardego promieniowania czyhają na komunikaty i przekazy choćby przypadkowe. Nie wiedzieliśmy, że z łatwością te gigantyczne siły tną każde zdanie na kawałki, rozdrabniają słowa i akapity, by potem po szalonej perkolacji wyrzucić je ku nam zmieszane i bezładne.

Bezładne? Całkiem bezsensowne i chaotyczne w postaci szumu?! Nie! Otóż i nasz wiekowy błąd jak na dłoni. To, cośmy za bezładne brali, było tylko szyfrem, szyfrem, który mógł odczytać każdy, kto posiadał odpowiedni klucz, całkiem wyraźnym pismem jak kipu czy alfabet klinowy, bo słowa i zdania łamały się z żelazną logiką, podporządkowane wewnętrznym prawom wszechświata, które nic z chaosem i alogicznością nie mają wspólnego.

Nie ma przypadku. Wielki Kontakt stał się jednocześnie

Wielkim Przełomem i nawiązaliśmy go nie dzięki wysiłkom nadętych mandryli podkreślających na każdym kroku swe tytuły oraz uważających się za wszechwiedzące superinteligentne twory o ponadludzkich obiektywnych własnościach, lecz dzięki szaremu zjadaczowi chleba mającemu fioła na punkcie krzyżówek i jedynie elementarne wykształcenie. Od tamtego dnia wiemy, że Przypadek *nie* istnieje!...

Ale dosyć o Wielkim Kontakcie – Jan niecierpliwie przerzucił dalsze strony, bo wbrew zapowiedziom nie było nic o falenderach. Wszak na rozważania związane z Wielkim Kontaktem przyjdzie jeszcze czas w innych opowieściach, można by temu tematowi poświęcić nie akapit, nie tom, lecz wielotomową edycję. Kto wie, może któregoś ranka Jan obłoży się grubymi rocznikami Historii Cywilizacji i ujmie ją potem skrótowo, syntetycznie, tak jak ją sam widzi, by dać o sobie jeszcze jedno świadectwo, dowód pośredni swego charakteru i wiedzy, poprzez historyczne widzenie rzeczywistości, subiektywną ocenę zdarzeń, poprzez wybrane indywidualnie rozłożenie akcentów w takich jej punktach, jakie sam uzna za ważne. Być może, może być zapewne kiedyś, ale nie teraz, ponieważ teraz Jan jest jeszcze zbyt młody, a młodość bywa niecierpliwa i powierzchowna, krytyczna, lecz jednostronna, żądająca tolerancji, lecz sama nietolerancyjna, mało wrażliwa na doświadczenia historyczne, za to porywcza.

Tak więc Jan San przerzucił niecierpliwie kartki podręcznika, na których Ether Lügen Imposter rozwodził się nad błędami ludzkości i nad historycznymi aspektami Wielkiego Kontaktu. Jan chciał się czym prędzej dowiedzieć, jaki to ma związek z falenderami i czym w ogóle są falendery, a czym iluzja „z niczego”, a raczej iluzja „pełna” oraz jaka jest w niej rola

psitalentu. Dlaczego tak strasznie go to interesowało? Zastanowił się nad tym przez chwilę. – Czyżbym upatrywał szansę w iluzji, by przekonać Ich o swej wartości? Nie. A więc tylko dzięki wrażeniu, jakie wywarł na mnie spektakl Ulga Apollo w Komorze Wiecznie Lewitujących? Także nie. Intuicja? To, co działo się naokoło, miało związek z iluzją: pojawienie się napisu w Sali z Wgłębieniem, jego zniknięcie i karminowa iluzyjna chmura nad Krakatosem. A co będzie dalej? Nie myślał, szukając definicji falendera, o tym, że może się osobiście przyczynić do rozwiązania dręczącej PsiAk zagadki, widma klęski, że może się wykazać na tym polu i ową boczną furtką przesmyknąć na pałace. Nie myślał także, by pozyskać poklask i sympatię dla swej działalności, tak by w razie czego zaradziła kategorycznemu sądowi, który mógłby Jana jako beztalencie psioniczne odrzucić. O czym więc myślał? – To było pod dziesięcioma skórmi świadomości ukryte i zatarte; za siedmioma lasami, borami nieprzebytymi bieżących wydarzeń, na których skupiała się każda najdrobniejsza jego myśl, schowane; za siedmioma rzekami głębokiej jaźni zagrzebane tak, iż manifestowało się najwyżej jakimś snem tak dalece symbolicznym, że dla niego samego nie do odczytania; za siedmioma górmi „N”: Niepewności, Nieopanowanego lęku, Nieświadomości siebie, Niewiedzy, Niedoświadczenia, Niecierpliwości i Nieugiętego przeświadczenia o Nieomyślności, zakamuflowane – nie mógł tego wiedzieć. Nie kalkulował więc. Na to nie byłoby go żadnym sposobem stać. Chciał tylko poznać wszystko wokół, wchłonąć zaborczo cały świat, i to razem z umklajderami oraz falenderami, a nie bez nich!!!

Wreszcie znalazł:

DEFINICJA FALENDERA WEDŁUG PUMKO TERGANA

LO – Falender jest to falowe urządzenie do wywoływania lub wzmacniania iluzji będące kompilacją stereonu kierunkowego, termoutwardzacza realonowego i antyblastów popularnie zwanych pustakami. Połączenie tych trzech elementów daje nową jakość: magiczną pałeczkę do stwarzania rzeczy z nicze...

Lekturę przerwał mu dźwięk fonu. Początkowo miał zamiar nie odbierać, ale sygnał stawał się coraz bardziej natarczywy. Na ekranie zobaczył twarz Hanah. Po raz kolejny zadziwiło go jej piękno. Idealna symetria i delikatność rysów.

– Jesteś nareszcie, myślałam, że już nie odbierzesz?! – powiedziała z wyrzutem.

– Coś się stało?

– Owszem. Jest dalszy ciąg. Włącz HV. Osiemnasty kanał. Znowu sieć BKCL NZGD strzępi sobie na nas języki. Mogę wpaść do ciebie?

– Bardzo proszę.

– Będę za pięć minut.

Jan włączył fon z sieci. Na ekranie trzech miłych panów w nienagannych strojach wieczorowych prowadziło ożywioną rozmowę:

– Myślę – powiedział pierwszy – że najwyższy czas skończyć z pewnymi przemilczeniami i niedopowiedzeniami. Krakatos od dawna znajduje się pod presją tej instytucji i niezadowolenie mieszkańców istnieje. Nie jest to jakiś mit bądź wymysł. Co roku słyszy się o nowym, nieobliczalnym wybryku adeptów Akademii Psi.

– Dodałbym tutaj – wtrącił się drugi, ustawiony tyłem do kamery tak, że prędzej można było wyczuć, domyślić się jego szpakowatej korpulentności, niż ją zobaczyć – że te ich dowcipy,

bo do kategorii dowcipu zawsze władze tej uczelni owe fakty usiłują sprowadzić, często nie obchodzą się bez poważnych konsekwencji dla osób poszkodowanych. Bywają nawet bardzo groźne w skutkach, że przypomnę tutaj nieco przyblakły po dziesięciu latach, ale wtedy groźny, przypadek uzdrawiacza Harego Ritsa.

– Właśnie – kontynuował pierwszy. – Wydaje się, że dzisiejsza petycja podpisana przez mieszkańców dzielnicy północno-zachodniej i złożona na ręce prezydenta miasta nie powinna być dla nikogo zaskoczeniem.

– Nie bardzo na dobrą sprawę wiemy – odezwał się trzeci z siedzących mężczyzn, bo przecież nie wypada milczeć przed kamerą – co się za tymi grubymi murami Akademii Psi rzeczywiście dzieje. Nikt nie ma kontroli nad eksperymentami, których się tam dokonuje. Nikt nie ma także wglądu w program nauczania.

– Konkludując – pierwszy zwrócił się wprost do kamery i błysnął równym rządkiem białych zębów – czas najwyższy, by władze miasta i sam prezydent, do którego jeszcze dziś petycja mieszkańców dotrze, zajęli nareszcie twarde stanowisko i doprowadzili bądź do pełnej kontroli PsiAka przez władze, bądź usunęli tę uczelnię, która jest utrapieniem ludności, poza granice administracyjne Krakatosu.

Rozległ się gong i Jan pobiegł otworzyć Hanah.

– Właśnie skończyli – powiedział do niej, kiedy wchodzili na schody.

– Czy zwróciłeś uwagę na tego korpulentnego, siwego, który tak starannie unikał kamery?

– Nie. To znaczy tak. Powiedział tylko jedno zdanie. Sam nie wiem, dlaczego mnie zainteresował. Może przez to, że siedział

tyłem?

– Nie. Nie wiesz? To ja ci powiem...

Weszli do pokoju.

– ... lędniając życzenia państwa nadajemy teraz wywiady i opinie mieszkańców dzielnicy północno-zachodniej, którzy złożyli podpisy pod petycją – powiedziała słodka jak anioł zagłady spikerka programu BKCL NZGD.

Przez ekran przewinęła się teraz chyba z dwudziestka ziejących jadem nienawiści osobników, z których wypowiedzi niedwuznacznie wynikało, że uczniowie PsiAka, nie wyłączając w licznych przypadkach także kadry naukowej, skupili się wyłącznie na tym, by spokojnym mieszkańcom Krakatos zatruć życie, zniszczyć więzi rodzinne, wprowadzić bolesne podziały, wszczynać w ośrodku dostatniej egzystencji, jakim było miasto, w tym harmonijnym zgodnym świątku, burdy, awantury, czyli ferment. Akademia była w ich wypowiedziach domem Usherów, demonem, co mackami swymi oplótł Krakatos i co za podstępny cel obrał sobie przewrócenie miasta do góry nogami. Jeden z nie przebiegających w słowach osobników, którego tępą ignorancja musiała być widoczna na kilometr, posunął się nawet do zarzucenia kadrze naukowej przygotowania spisku, masońskiego porozumienia zmierzającego do zamachu stanu, dokonania przewrotu siłą. Preludium do tego stanowią – jego zdaniem – próby wzbudzenia w Krakatos niepokoju za pomocą kuglarskich sztuczek dezorganizujących życie. W dalszym ciągu audycji jakaś matka łkała nad losem swych dzieci narażonych na tak demoralizujące sąsiedztwo i przypomniwała nie tak dawny incydent sprzed trzech zaledwie lat, kiedy to nad terytorium Akademii zawisła w powietrzu stworzona magią i czarnoksięstwem gigantycznych rozmiarów

lala z gołym łonem, która lubieżnie fikała nogami i przez dwie bite godziny czyniła niedwuznaczne ruchy swą iluzyjną miednicą.

– Dosyć! – kończyła oburzona kobieta. – Dosyć tych potwornych kpin z moralności! Skończmy z bezkarnością tych zawodowych demoralizatorów!

– Wyłącz to! – zażądała zdenerwowana Hanah. Spełnił jej polecenie.

– Czy to prawda? – zapytał.

– Z tą lalą? Nie wiem. Nie było mnie tutaj trzy lata temu. Tylko profesorowie mogą coś na ten temat powiedzieć, bo poprzedni rocznik rozjechał się już po Galaktyce.

– To prawda – włączył się niespodziewanie infor. – Radzę wam ostrożność. Nie podejmujcie pochopnych działań.

– Będziesz ty cicho, cholera?! – wściekł się Jan.

– Daj spokój i tak z nim nie wygrasz, a jeszcze wpisze ci krzyżyk.

– Panna Hanah ma rację. Panie San, wpisuję panu trzeci krzyżyk.

– To całkiem ładne osiągnięcie jak na trzy dni koegzystencji z tym potworem – zaśmiała się Hanah.

– Nie mogę się przyzwyczaić do inforu, który zabiera głos nieproszony.

– Będziesz musiał, bo on jest bezlitosny. Nie ustąpi... Ale dosyć żartów. Mam tu nanokaseton. Włącz do videra. Nagrałam na wszelki wypadek, gdybyś nie zdążył go zobaczyć.

Jan włożył kasetę w szczelinę.

– Kogo?

– Tego siwego faceta. Jak go posłuchasz przez chwilę, to zaraz sobie przypomnisz.

Na ekranie ściennym ukazała się gigantyczna siwa głowa, lewe ucho z kolczykiem z czarnego hebanu w srebrnej oprawie i obwisły policzek z fragmentem mięsistego nosa.

– Bez tego nie może być mowy o jakimś współżyciu – mówił tajemniczy tył głowy. – Oni muszą zrozumieć, że eksperymenty trzeba ograniczyć dla dobra wszystkich. Nie żyjemy w próżni. Jest określona sytuacja geosocjalna, jest kontekst międzyplanetarny, z którym trzeba się liczyć. Dzisiaj nikt nie może istnieć wyłącznie sam dla siebie! Przecież są jakieś reguły współpracy, które trzeba szanować. – Jan słuchał go i nabierał pewności, że głos jest mu głęboko znajomy. Za nic w świecie nie potrafił sobie tylko przypomnieć, skąd. Czy to ktoś z Akademii? Nie. Kto to jest?! Kto?! Kto, kto, kto, kto, kto!!! Zamknął oczy, ale nic, nic, nic mu się nie chciało odemknąć, żadna z tych tajemniczych niepodległych kłapek w pamięci, żaden segmencik umysłu nie zamierzał z nim powspółpracować. Diabelstwo. Hanah wyłączyła vider.

– No i co?

– Nie wiem – powiedział z wysiłkiem. – Znam go, ale nie potrafię sobie przypomnieć!

– A ulica Róży Wiatrów numer 2, mieszkanie 104?! – Z błyskiem tryumfu w pięknym niebieskim oku stała nad nim podparta dziarsko pod boki.

– Rzeczywiście – wyszeptał. – Sąsiad Eda Sancheza! – Podskoczył do góry i objąwszy Hanah, zaczął tańczyć, przewracając sprzęty, po czym pocałował ją w policzek niespodziewanie dla niej i siebie samego. – Jesteś genialna, Hanah! – emocjonował się głośno.

– Jesteś wspaniała! – potrząsał nią i klepał po ramionach. – To może być bardzo ważne, czuję, że jest! – znów ją objął

i pocałował. – Jesteś... jesteś – zabrakło mu nagle słów. – Jesteś – zmienił nagle ton na przerażająco ciepły, przyciągnął ją blisko do siebie, wcale nie protestującą, wcale się nie opierającą, wcale nie wierzgającą i nie zbulwersowaną jego zachowaniem. – Jesteś bardzo piękna, wiesz? Jesteś nieziemsko piękna – wyszeptał, zatapiając się w jej ustach, które rozchyliły się oczekująco i gościnnie.

Tak to wbrew zasadom logiki, niezgodnie z wszelkimi założeniami dramaturgii, przedwcześnie, bez należytego przygotowania i poznania, bez szansy na coś trwalszego połączył ich oboje chwilowy poryw uczucia spowodowany bliskością cielesną, przypadkowymi dotknięciami, bratersko-siostrzaną wspólnotą młodych tropicieli prawdy.

– Pięknie pachniesz – zakomunikował jej, gdy na moment ich usta się rozłączyły i spróbował ją przewrócić na łóżko.

– Nie. Proszę cię. Ja nie powinnam – usiłowała się bronić. – Ja nie mogę! – ale kolejny pocałunek przerwał te niepoważne próby, które sztucznie usiłowały nawiązać do klasycznej konwencji i obronić nieco sensu w tym, co się działo. Było to działanie równie bezcelowe, co zawracanie rzeki kijem.

– Za późno – powiedział, wkładając rękę między jej kolana. Palce powędrowały ku górze, gdzie spodziewał się natknąć na pasek delikatnego materiału.

– To prawda – jej głos drżał, drżał z napięcia i podniecenia, ale jako ciemna siła przyrody, zachowawczy, konserwatywny „in” wcielony w kuszącą formę spróbowała jeszcze raz zaprzeczyć oczywistości. – Tylko nie myśl – powiedziała w tym celu. – Nie myśl, że coś z tego wynika.

Tymczasem jego wędrująca do góry dłoń natrafiła na opór. Trzymał w dłoni jej łono, nie było po drodze żadnego śliskiego

paska majteczek, było tylko miękkie, delikatne i ciepłe futerko, w którego leśnych zakamarkach zabłądziły jego palce.

– Cuuudoownieeee – wydyszał, przewracając ją na plecy.

– Oooo thhhaaaaaak! – wyszeptała spazmatycznie, otwierając przed nim bramy do odwiecznego raj.

I było naprawdę cudownie. Poczł wielkie odprężenie i wspaniałą satysfakcję. Poczł się dobrze. Ona także poczuła się wspaniale, poczuła się odprężona i zaspokojona. Poczłła się doskonale. Słowem, obojgu im to dobrze zrobiło, wbrew zaleceniom higienistów od nowej pruderyjnej wersji kamasutry, którzy twierdzili, że w takim przypadku należy poczuć do siebie wstręt i odrazę, śmiertelnie się na siebie pogniewać oraz popaść w melancholię silnie zabarwioną depresją, na tle nabytych lub wzbudzonych tym niemiłym doświadczeniem, głębokich kompleksów. Podręczniki mówiły także o tym, że takie nie planowane, przypadkowe kontakty bez miłości, dla wyłącznego zaspokojenia chuci, grożą nabyciem handypra, syriofilisu, protoluesa lub gonorei pospolitej[8]. Nic takiego. Czuli się świetnie, dużo lepiej niż przedtem i nie mieli do siebie żadnych pretensji. Wręcz odwrotnie, właśnie Hanah pocałowała go czule, a on ten pocałunek odwzajemnił, gładząc ją po nagich plecach. Nie rozumiał, dlaczego wybrała właśnie jego, nie zastanawiał się jednak nad tym, cieszył się, że go w ogóle wybrała. Chciał jej powiedzieć, że ją kocha, co byłoby oczywistym kłamstwem, ale mogłoby uspokoić miłośników dobrego wychowania i fałszywego konwenansu, jednak jakby wyczuwając jego intencje przytknęła mu palce do ust, nie pozwalając się odezwać.

– Nic nie mów. Wszystko, co masz do powiedzenia, to nieprawda.

– Nieprawda? Jak to?! – oburzył się.

– To tylko chwilowe. Reakcja związana z napięciem, w jakim żyjesz, lękiem i radością. Nie znasz mnie. Nic nie wiesz.

– Co z tego? Dla ciebie to też było tylko tyle?

– Tylko i aż – powiedziała poważnie.

– A jeżeli jednak krzyknę, że cię Kocham?!! – krzyknął.

Wstała i naciągnęła na siebie ze złością złocistą sukienkę, pod którą nie zwykła zakładać nic więcej.

– Prosiłam cię, żebyś sobie za wiele nie obiecywał! Nie jestem sama. – Usiadła na łóżku obok niego i bawiła się sponiewieranym egzemplarzem dzieła Ethera Impostera. – Nigdy nie będziemy razem.

– Nigdy?! – zdziwił się. – To bzdura! Kto dziś używa słowa nigdy? Każdy ma kogoś, to jasne. Nikt dzisiaj nie żyje samotny. Rozumiem. Ale to się zmienia. Raz jest ten, raz tamten, raz ta, raz tamta.

Zaśmiała się nagle.

– Odgrywasz rolę niedojrzałego chłopaczka, który dopiero co skończył kurs o seksie w dziesiątej elementarnej?

– Nie. Jestem niedojrzałym chłopaczkiem na poziomie dziesiątej elementarnej.

Pocałowała go miękko, niemal z matczyną miłością pod wpływem chwilowego rozczulenia.

– Za miesiąc wychodzę za mąż – powiedziała. – Więc obawiam się, że mój związek nie skończy się na tyle prędko, aby twoja miłość zdołała tę próbę czasu przetrwać. Pewnie mi teraz powiesz, że tobie się nigdy nie odmieni?

– Właśnie – Jan sam zaśmiał się z tego, co powiedział.

– Lepiej już zostanemy dobrymi przyjaciółmi. Zgoda?

– Zgoda – powiedział, choć wcale nie zamierzał rezygnować.

Mówiąc językiem, który ona lubiła i preferowała, czyli

językiem poezji (umówmy się, że jedynym sprawnym i nieśmiesznym przy podobnych opisach) „Owoc jej ciała zbyt był rozkoszny i smaczny, by się wyrzec po pierwszym kąsie pragnienia wejścia tu jeszcze raz, zakosztowania innych smakołyków z tego ogrodu, który oferował ich bezlik”. Jan nie mógł przysięgać, że platoniczna prawość przyjaźni skutecznie ochroni go przed próbą ponownego wdarcia się w te zarośla, choćby i przez mury legalnego związku.

– Wiem, co myślisz – powiedziała nagle. – Nie będzie żadnego hop przez płot, żadnego ukradkiem, rozumiesz?! Jeżeli masz zamiar postępować ze mną nieuczciwie, to lepiej od razu zostańmy wrogami. – Jej słowa były ostre jak noże, zimne jak klingi, obce jak... jak, jak... Zaraz jednak dodała dla zatarcia tego przykrego wrażenia: – Czytasz tę bzdurę o iluzji?

– Dlaczego bzdurę?

– Nie wiem. Tak mi się powiedziało... Czas już coś przedsięwziąć. Straciliśmy go chyba za dużo, choć było bardzo, bardzo miło... – uśmiechnęła się słodko i musnęli się wargami. – Chodź! – wyciągnęła do niego rękę. Podniósł się niechętnie. – Ruszajmy na ulicę Róży Wiatrów. Nie wolno nam wypuścić tej nici.

Zeszli na dół. Trzasnąwszy drzwiami, opuścili akademik Jana San mimo ostrzeżeń inforu, że wtykają nos w nie swoje sprawy.

Stali ponownie pod drzwiami numer 104 i wahali się, jak postąpić. O co zapytać tego człowieka, jeśli ich przyjmie? Prawdę powiedziawszy, nie było to rozsądne działanie i infor miał całkowitą rację. Bo czyż ten człowiek przyzna z dobrej woli, iż bierze udział w farsie tylko dlatego, że życzy sobie podobnego głupstwa para gówniarzy? Czy są w stanie cokolwiek mu udowodnić poza jedną wypowiedzią, do której miał prawo,

i znajomością z Edem Sanchezem?! Na co liczyli? Młodość nie pyta i błądzi, ale czasami też nad wyraz celnie trafia.

Hanah nacisnęła dzwonek. Czekali. Dzwonek zadzwonił i umilkł. Napięcie rosło. Cisza, bezruch. Jeszcze raz: długie wrrrrrrrdzdzdzdzdznnnnnn. I cisza. Znow, jeszcze dłuższe wwwrrrrrrrrrdzdzdzdzdznnnnnnnnnn!

– To samo, co z Edem Sanchezem? – wyszeptała Hanah i znowuż czekali. Intuicja podpowiedziała mu, że nie jest to wykluczone. Wyłącznie z powodu tejże podpowiedzi chwycił za klamkę i nacisnął. Drzwi... puściły. Zaskoczenie było tak wielkie, że oboje cofnęli się jak oparzeni. Spojrzeli po sobie wielkimi oczami przerażonych dzieciaków, które dobrały się do pudełka z czekoladkami, a tymczasem po otwarciu pokrywki wyskoczył zeń czarny rogaty czort.

– Nie wchodź tam – szarpnęła go od tyłu, choć wcale nie chciała nigdzie wchodzić. – Lepiej wracajmy.

– Teraz, kiedy już się otwarły?... Musimy tam wejść – powiedział, chociaż zamierzał powiedzieć coś zupełnie innego. Prawdę mówiąc dokładnie to samo co ona przed chwilą.

Ostrożnie, na palcach przekroczyli próg tajemniczego mieszkania. Koder nastawiony na zero. Mieszkanie puste i chłodne. Tym razem nie znaleźli żadnego śladu zamieszkania. Gołe ściany, puste półki, żadnych rzeczy osobistych. Jan nacisnął automat foniczny, ponieważ licznik wskazywał, że są zanotowane jakieś rozmowy. Znalazł tam tylko jedną krótką wiadomość od Systemu Mieszkalnego: „Panie Kładnik – brzmiała ta wiadomość. – Jeżeli do dwudziestego czwartego stycznia nie wyrówna pan rachunku za zaległe miesiące, pańskie rzeczy zostaną oddane do depozytu sektorowego, a w tydzień później ulegną przepadkowi na poczet kosztów komornego”.

– Chodźmy – powiedział stanowczo Jan. – Może zajrzyjmy

do mieszkania Sancheza?

Mieszkanie Eda Sancheza stało takie samo jak wczoraj. Tylko kanapki się zeschły, a odbiornik HV trochę się zagrzał od nieustannego nadawania programu.

Depozyt sektorowy mieścił się niedaleko, ale nie wskórali tam wiele.

– Kim pani jest dla pana Kładnika? – zapytał android, gdy wyłuszczyli mu chęć wykupienia rzeczy spoczywających w depozycie.

– Ja?... – zawahała się, usiłując szybko wymyślić jakieś prawdopodobne kłamstwo. – Jestem, jestem jego córką.

– Córką – stwierdził uprzejmie i bez zdziwienia automat. – I zapewne bardzo pani zależy na tych rzeczach?

– Jest tam parę pamiątek osobistych. Ojciec nie może się stawić, ponieważ, ponieważ...

– Właśnie odleciał na Transplutona – włączył się Jan.

– A pan zapewne jest jego synem? – zapytał równie uprzejmie jak przed chwilą automat.

– Nie. To znaczy, jestem jego zięciem – wyjaśnił bez zmrużenia powieki.

– Ach, tak.

Zapadło milczenie.

– No cóż, młodzi państwo – odezwał się z miłym uśmiechem android. – Właśnie otrzymałem z centralnego rejestru wasze dane osobiste na podstawie hologramów, które wykonałem. Oczywiście kłamię jak najęci. Pan Kładnik nie miał córki ani tym bardziej zięcia. Nie miał siostry, żony, babki ani nikogo. Pan Kładnik był człowiekiem samotnym i przybył do nas w delegację z Zeusville, gdzie mieszka jedyny mu bliski człowiek, który mógłby te rzeczy wykupić, to znaczy jego ojciec. Zapewne pan

Kładnik tam się właśnie obecnie znajduje. Pani jest Hanah Lamur, a pan to Jan San, czyż nie? – Nie odpowiedzieli, czerwoni jak buraki ze wstydu. Przemowie androida przysłuchiwało się kilka osób z kolejki. – Oboje państwo studiujecie na Akademii Psi, nie mylę się?!

– Nie – odpowiedział Jan, zamierzał czym prędzej stąd się wynieść. Wkopali się w ładną aferę. – Proszę jeszcze nie odchodzić – powstrzymał ich wciąż nienagannie uśmiechnięty android. – Nie będę oceniał postępowania państwa. Spełniam swoje obowiązki i spełniam je dobrze. Państwo mieli prawo kłamać, ja miałem obowiązek to sprawdzić. Chcę wam tylko powiedzieć, że nawet gdyby wasze słowa były prawdziwe, to nie mógłbym wydać wam tych rzeczy, ponieważ już ich tutaj nie ma. Zostały przekazane do zlicytowania dziś w południe, bowiem upłynął termin. Jeżeli państwo chcą je bardzo nabyć, to jest to możliwe, ale leży w kompetencji androida komorniczego.

Opuszczali sektorowy depozyt jak niepyszni. Jedna z kobiet, gdy byli już w drzwiach, rzuciła za nimi:

– Nie wstyd wam? Mało zamieszania narobiliście do tej pory?! Jeszcze wam się kłamstw zachciewa?!

Pozostali ludzie nie komentowali zaistniałej sytuacji, ale po ich minach było widać, co o tym myślą.

Infor powiedział im, że licytacje odbywają się trzeciego dnia każdego miesiąca w gmachu Urzędu Miasta, jak zwykle. Szansa na wykup rzeczy po Kładniku oddalała się więc o cztery dni. Wracali na Akademię z pustymi rękami. Może nie tak całkiem. To, czego się dowiedzieli, było bardzo cenne. Nawet bezcenne, tylko niewiele dawało na tym etapie. Teraz najważniejsze było zapoznać się z osiągnięciami innych grup.

Tego wieczora apel został zapowiedziany na godzinę

dwudziestą trzydzieści. Po nim miało nastąpić spotkanie grup. Tego wieczoru apel się nie odbył. Po raz pierwszy od 450 lat nie wypowiedziano sakramentalnych słów: „Apel uważam za skończony”. To znaczy coś tam się odbyło, ale te szczątki w postaci informacji Mroka o chorobie rektora Hokusa i pierwsze takty pieśni: Omm-harri-Tomm-krihari, tylko przy bardzo dobrej woli zainteresowanych można by uznać za apel. Ponieważ wszyscy na Akademii są pełni dobrej woli w tej sprawie i nikt nie jest zainteresowany w rozpowszechnianiu przeciwnych wieści, zapewne faktu tego nie odnajdziecie w annałach PsiAka. Jednak fakt pozostaje faktem. Apel się nie odbył, ponieważ po początkowych taktach Omm-harri-Tomm-krihari pod sufitem Sali z Wgłębieniem pojawił się kolejny napis, który swe przybycie z nicości obwieścił suchym trzaskiem oraz smrodem musztardowo-siarczano-muszkatowo-fuzlowo-mlekowo-skatolowym. Profesor Mrok oniemiał. Profesor Fairsighter chwycił się za serce. Profesor Geriat zasłonił oczy obiema rękami, żeby tego nie widzieć. Pani docent Andrea Soller z Inercji zaczęła piszczeć, jakby to była co najmniej mysz, a nie kilka liter skleconych w zdanie, a mistrz Kayano odruchowo przyjął pozycję urażonego samuraja. (Nie wiecie jak taka pozycja wygląda? Ja też). Gdyby miał miecz pod ręką, a wróg był widzialny, to z pewnością posiekałby go na kotlety. Dual jak oszalały wyskoczył z Wgłębienia, uczniowie rozbiegli się po drabiny, a karminowołososiovowy napis drżał przez chwilę, po czym zastygł nieruchomy i groźny. Sto razy groźniejszy od tamtego pierwszego, choć trzy słowa, jakie sobą przedstawiał, składały się na zdanie równie bezsensowne jak to poprzednie. INDRA POKORNY SZATANEM – głosił. Jan oniemiały wgapił się w to niesamowite zjawisko, uświadamiając sobie, że o magii

bezprzrządowej nie ma w podręczniku Impostera ani słowa, a w świetle wywodów tej wspaniałej, szczegółowej księgi coś takiego jak tu, wydawało się absolutnie niemożliwe.

Dual natychmiast przystąpił do pracy, gdy tylko przystawiono mu drabinę. Razem z Ulgiem Apollo przydźwigali olbrzymich rozmiarów opalowy przyrząd. Jan pomyślał w tym momencie, iż warto by zajrzeć do innych podręczników, ponieważ u Impostera nie ma ani słowa o likwidowaniu iluzji niepożądanych, a najwyraźniej istnieją jakieś antyumklajdery czy antyfalendery i właśnie jeden z nich miał przed oczami. Antyumklajder, jak go Jan w myślach nazywał, mierzył ponad metr długości i miał średnicę jak 300-milimetrowe działo. Przystawili lufę przyrządu do pierwszej litery, nadęli się, napięli, nabzdyczyli... I znów tylko syk oraz jasny dymek, który się z tego wszystkiego raczył wydobyć, zamanifestował bezradność PsiAkowego Wydziału Iluzji wobec zaistniałego zjawiska. Zrobił się szum i ruch, zdenerwowany Mrok kazał się uczniom rozejść i odwołał dalszy ciąg apelu. Cshorty zwołał grupę osób wtajemniczonych i wyznaczył spotkanie w kwaterze głównej za pół godziny: – Obecność obowiązkowa – rzucił za nimi. Hanah nieznacznym gestem wskazała Janowi Kayano, który pilnie śledził każdy ruch Cshorty’ego, Apolla i Meteora Atemoka – nie spuszczał ich wręcz z oka. Mistrz Kayano zachowywał się zdaniem Jana naprawdę podejrzanie. Ale prawdziwe szaleństwo wybuchło dopiero, gdy pierwsi uczniowie opuszczali salę. Kiedy tylko znaleźli się za drzwiami, doleciały z wąskiego przedpokoju okrzyki zdziwienia i przerażenia. Mistrz Kayano pierwszy ruszył w tamtą stronę, roztrącając tych, co mu stanęli na drodze. Jan i Hanah przepychali się zaraz za nim i gdy w końcu dobiegli, także nie potrafili się powstrzymać od okrzyku. Idealna, nieco

pomniejszona kopia napisu INDRA POKORNY SZATANEM zdołała podsufitową część korytarza prowadzącego do głównego holu G-13, zwanego także G-0. Dual, kiedy to zobaczył, tylko oparł się z ciężkim westchnieniem o ścianę. Janowi zrobiło się go bardzo żal, bo miał wrażenie, że profesor miałby się ochotę zapaść pod ziemię albo rozplakać, ale pierwsze jest niemożliwe, a drugiego mu czynić nie wypada. Wkrótce nadciągnął Mrok ze swoimi uspokajającymi tekstami. Może nawet udałoby mu się doprowadzić sytuację do jakiejś takiej normy, gdyby nie to, że ktoś wyjrzał do holu i gruchnęła kolejna zła nowina. W holu dopiero stworzono imponującą replikę, istne arcydzieło. Każda litera musiała mieć grubo ponad dziesięć metrów długości. Teraz już nie było mowy, by przeciwstawić się dezorganizacji. Uczniowie rozpierzchli się po budynku. Zaglądali do każdego pokoju, do najgłupszych klitek, a nawet do ściennych szaf i zewsząd rozlegały się te same okrzyki, jedni podawali drugim wieść, że tutaj też jest, i tu także, i tam, i tu, i tu, i tutaj, a również tam, i tam, i tam, i tu, tu, tu, tu też!!! Wtedy niepostrzeżenie podszedł do Hanah i Jana mistrz Kayano i powiedział, co następuje:

– „Kiedy nadciąga wielka woda – zacytował – małe bobry i skunksy szukają dużych bobrów i skunksów, duże bobry i skunksy szukają lwów i słoni, a lwy i słonie szukają jeszcze silniejszych sprzymierzeńców, a wszelkie zwierzęta z boru trzymają się razem, zjednoczone stają się jednym i ta pięść rozwinięta jak sztandar, jedna choć wielopalcza, zatrzymuje fale, przekracza wielką wodę, jakby to była kałuża”... Nie uważacie, że tak byłoby lepiej? – I odszedł, nie czekając odpowiedzi. Oboje zrozumieli ten cytat jednoznacznie, choć Jan nie miał pojęcia, skąd on pochodzi. Sprawa Kayano stała się jasna od jednego zdania.

– Skąd on wziął ten tekst? – zapytał Jan.

– To heksagram 365 z Apokryfu MultuM ArutanaturA. Woda nad Labiryntem. Najcięższe zagrożenie. Jeśli patrzeć poziomo, jest po nim tylko 366. Cisza nad Ciszą, czyli Unicestwienie, zaś przed nim – Koniec Drogi, 364, Obręcz nad Drzewem. Za to kiedy spojrzeć w głąb, to pod nim jest znak numeru 358 – Podstęp, czyli Plazma pod Ogniem. Mistrz Kayano powiedział nam zatem, że...

– ...że trzeba nawiązać współpracę z Senatem – dopowiedział Jan. – Tylko co on miał na myśli mówiąc, że lew i słoń sprzymierzają się z kimś silniejszym od siebie?

Hanah wzruszyła ramionami.

Tym razem ich tajne zgromadzenie rozwiązało się nadszpiewanie szybko. Wszyscy byli zbyt zaszokowani i gubili się do tego stopnia w domysłach, że prędko przyszło do kłótni, a potem zaległo grobowe milczenie pełne urazy. Wysłuchano więc rewelacji Hanah i Jana o Kładniku, oglądnięto jeszcze raz program HV przeciw PsiAkowi, podyskutowano trochę na temat cytatu Kayano i odłożono wygłaszanie wstępnych hipotez do jutra, bowiem należało wcześniej rozpracować dzisiejsze nowe fakty. Znowuż wszyscy mieli zajęcie. Cshorty'emu tak się spieszyło do nowego napisu, jakby się bał, że raptem mu zniknie. Grupa Molloy miała grupkę napastliwych mieszkańców do obwąchania, a Kinky Vikink z Sixem i Ulgiem kolejnych podejrzanych reporterów.

– Jedno jest jasne, moi drodzy – powiedział będący jedną nogą za drzwiami Cshorty. – Gra się toczy o wielką stawkę. O wszystko albo nic! Nie możemy traktować tego tak lekko jak do tej pory. Trzeba się będzie jutro zastanowić, czy jednak nie porozumieć się z Senatem.

– . W akcji

Następnego ranka Jan musiał się niestety stawić w G-10. Wydział Astrologii, gdzie przewodził doktor Tomas Nicus, który zwykł się chwalić swym udokumentowanym pochodzeniem, w prostej linii od słynnego francuskiego astrologa XX wieku M. Legranda. Czy to prawda, czy nie, trudno powiedzieć, bowiem nikt jego drzewa genealogicznego nie sprawdzał, zaś doktor sam się z dokumentami żadnymi nie afiszował. Jedno jest pewne, ta linia nie mogła być zbyt prosta, skoro się nazywał Nicus, a nie Legrand. G-10: Astrologia – znak Libry, czyli Wagi, symbol Koguta, stała gwiazda Antares, planeta Uran, liczba 10, karta Koła Fortuny i Sądu, pozycja – opozycja, kierunek wschodni, kolor niebieski, kamień – Szafir, żywioł wodny, a także: znak Khan, Córka, multystyczny Labirynt, Dziwień-Kupała i Dziewana, i wróżba Tra oraz sefirota Malkhut. To właśnie astrologia wymyśliła to wszystko.

Doktor Elżbieta Dee nie chwaliła się niczym, była w ogóle małowówna i zamknięta w sobie. Wyglądała na nieco egzaltowaną, przesadnie obwieszona wszelkimi możliwymi amuletami i opisana od stóp do głów tajemnymi znakami. Doktor Elżbieta Dee przy całej swej egzaltacji nigdy nie miała kłopotów z samotnością, nigdy też nie próbowano bawić się jej kosztem albo jej ośmieszać. Królowała nad motłochem jak Elizabeth Taylor, jej pierwotna imienniczka z odległych, niepamiętnych mroków historii. W istocie E. Taylor stała się nie tyle prototypem i wzorem do naśladowania dla E. Dee, co genotypem, a więc wzorem nie do zastąpienia. O ile geny E. Taylor były niewolnikami w służbie E. Dee, o tyle ta druga była niewolniczym naśladowcą pierwszej. Długie czarne włosy

starannie zaczesane, proste, podwinięte do środka na wysokości ramion, nieco tapirowane, wielkie demoniczne fiołkowe oczy podkreślone jak u E. Taylor identycznym makijażem. Nie był to typ kobiety zbyt często spotykany w tamtych czasach. Tym bardziej robił tak piorunujące wrażenie, że człowiek zapominał w jej obecności o tych dziesiątkach śmiesznych amuletów, głupich liter zdobiących jej ramiona oraz policzki, idiotycznych chiromantycznych znakach, woreczkach z gorczycą, słoiczkach z lubczykiem, itp.; nawet bardzo cierpliwy kronikarz musiałby się w końcu znudzić samym tylko wyliczaniem owych przedmiotów, nie mówiąc gdyby go zmuszono do opisanie ich historycznego rodowodu i towarzyszącej temu tradycji.

Tak więc to Elżbieta Dee-Taylor egzaminowała tego dnia Jana. Jan jak wiadomo zbyt był ostatnio zajęty przenikaniem tajników Iluzji. Od lotu transplanetykiem z Jowisza, gdy liźnął nieco podstawowych astrologicznych reguł, nie miał nawet podręcznika w ręku. Nie mówiąc o tym, że za grosz nie posiadał w tym kierunku wyobraźni i nawet głupiego, czterowersowego horoskopu nie potrafiłby zinterpretować poprawnie. Na szczęście badanie polegało na czymś zupełnie innym.

Pani Dee przyniosła zestaw dwudziestu czterech horoskopów, które były niekompletne, i dwadzieścia cztery życiorysy, także niekompletne, tak iż niekompletności tworzyły w życiorysie charakterologiczną lukę daną za pomocą symboli, zaś to, czego brakło w symbolach horoskopu, przedstawione zostało w życiorysie delikwenta. Rzecz jasna zadanie miało charakter wielce uproszczony i ograniczało się do konieczności określenia kilku głównych cech w każdym z przypadków. Jan nie mógł sobie wymarzyć korzystniejszej sytuacji. Takie postawienie problemu pozwalało bowiem na swobodną grę wyobraźni i spekulację. Bez

trudu można było wykoncypować, co, na przykład dla pisarza, może oznaczać opozycja Wenus i Saturna w jego znaku albo dla polityka koincydencja Jowisza z Marsem. Tak więc Jan za pomocą intuicji, która mu pomogła zatuszować brak zdolności w tym niezbyt precyzyjnie pomyślanym eksperymencie, uporał się w trzy godziny z papką pani E. Dee i miał nadzieję, że będzie wolny. Demoniczna pani doktor nie zamierzała jednak tak łatwo wypuszczać go ze swych pazurków. Dlatego też musiał spędzić w G-10 kolejne dwie godziny, zapoznając się ze wspaniałą biblioteką, dumą oraz osobistą zasługą pani Dee. Biblioteka rzeczywiście była imponująca. Prócz dzieł najnowszych znajdowały się w niej białe kruki ocalałe cudem z tyłu pożóg i zawieruch dziejowych, że wydawało się to niewiarygodnym zrzędzeniem losu mogącym śmiało konkurować z wydarzeniami w Kanie Galilejskiej. Pani Dee przemierzała ponurą przestrzeń zapchaną regałami, prowadząc Jana od „Corpus hermeticum” Marsilio Ficino przez „Tetrabiblos” Ptolomeusza i jej parafrazę w wykonaniu Proklusa, przez manuskrypty innych Chaldejczyków, dzieła Schwallera de Lubicz, „Introductorium in Astronomiam” Abu Machar ar-Balkhiego aż do zapisków odręcznych Williama Lilly. Szczególnie długo zabawili przy regale z fragmentami „De occulta philosophia” Heinricha Corneliusa Agrippy von Nettesheim, dotyczącymi spraw astrologicznych.

Przez cały dłużyący się nieziemsko czas zwiedzania Jan musiał wydobywać z siebie achy i ochy, uchy i echy, bo nie wypadało uczynić nic innego, gdy piękna kobieta pokazywała mu wszystko, co miała najlepszego, co uważała za autentyczny powód do chwały. Wreszcie udało mu się wymknąć. Głowa mu napęczniała od nazwisk i tytułów, a tu zaraz natknął się

na Arię Cesnatti (gorzej być nie mogło), która zaczęła go nudzić swym monologiem o nudzie, zamęczać tekstami o swym zmęczeniu, zubożać narzekaniem na powszechną obojętność, znieczulać gadaniem o znieczulicy, po to, by na końcu wspomnieć mimochodem w potoku bezwartościowych, mało odkrywczych sądów, że Lobsang Ryud-sto powiesił na tablicy wynik jego egzaminu, a Fok Full stoi tam, pokazuje go wszystkim palcem i naśmiewa się, żartuje sobie z Jana, dowcipkuje nad jego zdolnościami, zamiast pomyśleć o swoich własnych brakach. Ona, Aria, zupełnie Foka Fulla nie rozumie, jest taki zazdrosny i taki prymitywny, i taki nieokrzesany, a wydaje mu się, że piękny, mądry i nadobny, i zachowuje się jak pawian, a myśli, że królewicz z niego, i gada jak chłop z ciemnych lat początków cywilizacji, a śni mu się, że to oracje krasomówcze, jak można – mówiła, paplała, kłapała bez przestanku – taki rozziw w sobie akceptować, tak się samemu sobie nie przyglądać. ONA by nigdy takiego błędu nie zrobiła, do takiego nieporozumienia nie dopuściła, ona zawsze się kontroluje i... i... – Tutaj Jan jej zdecydowanie przerwał szturchnięciem, żeby wreszcie wtrącić swoje trzy grosze, bo inaczej by się tego nie dobił, taką to perfekcyjną samokontrolę uprawiała Aria Cesnatti.

– Zdałem czy nie?! – zapytał w napięciu i ścisnął ją za łokieć aż do bólu, bo mu się zdawało, że pewnie strasznie źle poszło, skoro Fok Full się z wyniku egzaminu natrzęsa.

– I tak, i nie – powiedziała sycząco. – A teraz puść mnie, bo to boli.

– Przepraszam – wybąkał, biegnąc już w stronę G-4. Aria wzruszyła ramionami i wydeła usta z wyniosłością mającą sugerować dezaprobatę, ale tak naprawdę była zła tylko z tego powodu, że znów jej się Jan wymknął, a ona zagadana

z własnymi myślami nie zauważyła tego w porę.

On tymczasem stał już pod tablicą. Wisiał tam wynik. Fok Full sobie poszedł, i w ogóle wszyscy się porozchodzili, i rzeczywiście było tak, jak powiedziała Aria: zdał i nie zdał. Został wydany werdykt salomonowy: „Kandydat Jan San uzyskał znaczące przewyższenie procentowe trafności w obu testach, jednak nie potwierdziło ono zdolności telepatycznych na poziomie nadającym się do dalszego doskonalenia, chociaż wskazało niedwuznacznie, iż kandydat posiada psitalenty innego, niemożliwego metodami telepatycznej analizy do zidentyfikowania, rodzaju. W związku z tym kandydat Jan San nie zostaje przyjęty na Wydział Telepatii”[\[9\]](#) – tu następował podpis Telly Phonevalasa. Ta wiadomość wcale go nie zmartwiła. Nie. Tylko nim wstrząsnęła. Wcale się nią nie przejął. Nie. Tylko odechciało mu się czegokolwiek. Zupełnie go nie dotknęła. Nie. Tylko go przygniotła tak, że nie mógł się podnieść ze schodów, na których przysiadł, by ją przetrawić. W żaden sposób nie obniżyła jego nastroju i poczucia własnej wartości. Nie. Tylko go przydusiła tak, że nie mógł złapać tchu. Broń Boże nie wpędziła go w stan depresji! Tylko go przytłamsiła tak, że żadna myśl przez dwadzieścia minut nie zdołała zakiełkować w jego umyśle, nie mówiąc już o jakiejś myśli rozsądnej. Na szczęście przechodzili w pobliżu Ulg, Six i Step Cshorty. Zaciągnęli Jana do Kryształowej Groty, gdzie parę głębszych szesnastek pozwoliło mu spojrzeć na problem z właściwej perspektywy. Dołożyli mu jeszcze kilka dymków mafafy i poczuł się rzeczywiście dobrze. Widział jasno i rozumiał, że przecież nie jest telepatą, a intuicjonalem, a do egzaminu na wydziale Intuicji jeszcze kilka innych porażek będzie musiał zapewne przełknąć. Więc przestał się dzięki interwencji przyjaciół martwić,

przejmować oraz czuć dotknięty i ponizony we własnej wartości. Prawie w normie dotarł na zapowiadany dziś na godzinę piętnastą zlot wszystkich grup u stóp fontanny Ifrytów.

– Zaczniemy od omówienia dzisiejszych wyników dochodzenia poszczególnych grup... Zresztą jeśli już któraś grupa będzie przy głosie, to lepiej niech mówi wszystko, co ma do powiedzenia, stracimy tym sposobem mniej czasu – powiedział Cshorty, opierając się na alabastrowej podmurówce fontanny. – Niech każda grupa wyznaczy swego przedstawiciela... Proszę... – Kto?... Ty jesteś?... Dobrze, Molloy... Możesz zaczynać.

– Nie mamy nic ciekawego do powiedzenia, dlatego lepiej, jak będziemy zaczynać – zaczęła Molloy słabym głosem i wstała, żeby ją wszyscy lepiej widzieli; strąciła przy tym zeszyt, który jej leżał na kolanach i o którym kompletnie zapomniała. – Przepraszam – wystękała i podnosząc zeszyt, zdzieliła łokciem Dona Derdana siedzącego tuż obok niej. – Przepraszam – powiedziała, odchrząknęła i kontynuowała dalej wśród przyciszonych chichotów. – Jak wicie, nie udało nam się wpaść na trop człowieka, który pomstował na PsiAk do kamery w czasie Godziny Karminu. Nie pozostawił po sobie najmniejszego śladu. Nie został zapamiętany przez nikogo, nawet przez androidy w pobliżu miejsca, gdzie się dorwał do mikrofonu. Panowało tam wtedy spore zamieszanie, więc nie ma się czemu dziwić. Jeżeli chodzi o ludzi, którzy wypowiadali się we wczorajszym programie, to ani sieć BKCL NZGD, ani AKSB nie udostępniła nam ich nazwisk. Tylko dzięki Arii Cesnatti, która odczytała jednego z roboreporterów podczas rozmowy, udało nam się zdobyć adres jednej z nich. Jak wam wiadomo, infory udzielają wiadomości o osobach na podstawie hologramu tylko za Uprawnieniem, czyli

praktycznie Oddziałom Specjalnym, albo za zgodą tych osób po podaniu nazwiska przez pytającego. Podałam swoje nazwisko i tym sposobem uzyskaliście niespodziewanie kontakt z drugą osobą. To właściwie już wszystko. Nazwiska delikwentów brzmią Bohemias Vavasor i Hera Tanger. Pani Tanger rozmawiała z nami krótko i stanowczo potwierdziła swój sąd. To fanatyczka OM, Obrony Moralności. Jeśli chodzi o Bohemiasa Vavasora, to w ogóle nie mieszka na stałe w Krakatos. Jest zameldowany w hotelu „World is Cold” i to właśnie jego dane uzyskaliście z odczytu telepatycznego Arii. W ogóle nie chciał z nami rozmawiać. Był bardzo zdenerwowany. Vivaldo Seth śledził go aż do bram klubu Krzewicieli Kultury Staroceltyckiej, gdzie wstęp mają tylko członkowie ze stałymi kartami bądź zaproszeni imiennie goście. Nie udało się przedostać do klubu. Jest nieustannie pilnowany przez androidy i czuwacze. Podejrzewam, że pan Vavasor został przekupiony, że zapłacono mu za wyrażenie oburzenia przed kamerami HV. – Molloy usiadła, usiadła na torebce, którą przed chwilą tam położyła. Wstała, powtórnie strącając okulary Don Derdanowi, przeprosiła, usiadła ponownie i umilkła. Wstał Six Dan.

– Powiem krótko – oświadczył, potrząsając kogucim czubem. – Nic. To znaczy tyle co poprzednim razem. Może tylko to, że drugi program przygotowała ta sama ekipa.

– To już coś – stwierdził Cshorty. – Kto teraz?... Nie ma chętnego?... Wobec tego ja wam powiem, cośmy odkryli z napisami. Też mam tego niewiele... Napisy, które pojawiły się wczoraj, znajdują się we wszystkich, ale to dosłownie wszystkich pomieszczeniach G-0. Nawet w toaletach i komórkach z rupieciami. Próbowaliśmy każdej metody z tych, jakie znamy. Oro Tantral stosował także inercję, na wypadek gdyby napisy

miały pochodzenie psychokinetyczne. Nic nie wskóraliśmy. To niepojęte. Napisy są niewrażliwe na odczynniki chemiczne, twarde jak z żelaza, umocowane, jakby je zespawano, ześrubowano, ale z czym? Z powietrzem?! Na to wygląda. Z tego, co wiem, w naszych podręcznikach nie podaje się żadnej metody dającej choćby w przybliżeniu podobne efekty. Możliwe, że są jakieś tajne sposoby znane naszym mistrzom, ale prawdopodobnie nie. Pośrednim dowodem jest tu całkowita bezradność profesora Duala i reszty wykładowców z Iluzji. Umkerbardery i cerajsnery nie skutkują. Jak wszyscy widzieliście, jedyny efekt ich pełnej mocy to syk i smuga dymu. To wszystko. Proszę teraz... Hanah Lamur.

– Po pierwsze, jak już mówiliśmy wczoraj, jest sprawa mistrza Kayano.

– Daj spokój – obruszył się Full. – Nigdy nie uwierzę, że ma coś wspólnego z całą tą aferą.

– Poczekaj! – spiorunowała go wzrokiem. Jan nie potrafił sobie wyobrazić, że ci dwoje mogliby być małżeństwem. Wbrew niemożliwościom jego wyobraźni był to jednak fakt. Przynajmniej jasnowidcza niechęć Foka Fulla do Jana jako przeczutego konkurenta, cienia na firmamencie jego gładkich stosunków z Hanah, jakoś się wyjaśniła. – Właśnie chciałam wam powiedzieć, że wczoraj po pojawieniu się napisu o szatanie mistrz Kayano podszedł do nas, byłam z Janem San, i zacytował nam 365 heksagram z „MultuM ArutanaturA”. Nie było okazji wczoraj wieczór do roztrząsania tej sprawy, więc mówię teraz. Znaście ten heksagram?

– Znamy, znamy – włączyła się Molloy. – Streszczaj się, bo będziemy siedzieć do wieczora.

– Jasne jestem zatem, że Kayano śledził naszą działalność

na zlecenie Senatu. Niedwuznacznie dał do zrozumienia, że nie powinniśmy działać na własną rękę. Poza tym sprawa Kładnika i Sancheza. Zostawiłam wam telewiadomość o Kładniku. Mam nadzieję, że do każdego dotarła, zatem nie będę się tu powtarzała. Dostyc na tym, że jak ustaliliśmy, Kładnik zniknął z miejsca swego zamieszkania. Zbieżność adresów tych dwóch ludzi, którzy napadali na PsiAk z całą premedytacją w HV, oraz fakt, że Kładnik wprowadził nas w błąd udając, że nie poznaje Sancheza na hologramie, i to, że potem obaj zniknęli, świadczy, iż im samym albo komuś, kto ich wynajął, zależało bardzo na tym, by nikt ich nie nachodził. Z tych danych można wysnuć wniosek, że obaj ci panowie musieli sporo wiedzieć na temat kulis przedsięwzięcia. Pozostali mieszkańcy segmentu przy Róży Wiatrów 2 także robią dwuznaczne wrażenie. Nie rozpoznali na przykład albo udawali, że nie rozpoznają, Eda Sancheza na zdjęciu. Zamierzamy baczniej się przyjrzeć temu segmentowi. Na razie nie mamy nic więcej.

Teraz głos zabrał Fok Full:

– Zdaje się, że i my doszliśmy do tego samego, co wszyscy, to znaczy donikąd. Drepczemy w miejscu mimo pozornych sukcesów. Analizowaliśmy na przykład treść obu napisów, szukając jakichś szerszych odniesień, starając się je przełożyć na konkrety, ponieważ istnieje możliwość, że pod symbolami kryje się konkretne, prozaiczne znaczenie. Pierwsze hasło: NOC UKORONOWANA NATCHNIENIEM – brzmi jak linijka wiersza i z daleka trąci staroeuropejszczyzną. Przewertowaliśmy zatem cały kurs przedrewolucyjnej poezji europejskiej. Nie znaleźliśmy nic takiego. Przeszliśmy zatem do ery porewolucyjnej, grzebiąc pośród eklektyków i poststylistów. Także nic. Nasunęły się tedy dwa wyjścia: albo tekst został wymyślony teraz, niedawno, i jako

symbol nie ma znaczenia, jest jedynie szyfrem, a cały sens kryje się w liczbie słów, układzie samogłosek, doborze spółgłosek lub czymś podobnym. Druga możliwość, to że autor, którego słów użyto, nie był poetą, a użył ich w zwykłym prozatorskim utworze. W obydwu wypadkach należało zastosować program komputerowy. Jeśli chodzi o szyfr złożony z sześciu słów i bez żadnego klucza, komputapleks musiał być bezradny. Realizacja pierwszego programu od włączenia go w sieć po końcową odpowiedź: UZUPEŁNIĆ DANE – trwała 30 sekund. W drugim programie powiodło nam się lepiej, chociaż tylko częściowo. Infor po przejściu przez wszystkie lokalne szczeble biblioteczne dotarł do centralnej pamięci planetarnej i tam natrafił na ślad. Odnalazł bowiem tekst niejakiego Hirscha Błagi w języku niemieckim. Sytuacja skomplikowała się o tyle, że musieliśmy dołączyć jeszcze program lingwistyczny, bowiem okazało się, iż Hirsch Błaga pisywał w schyłkowym okresie Różnych Języków i był niemieckim, dziś powiedzielibyśmy euazyjskim, historykiem literatury i socjologiem. Urodził się w 2013 roku w Norymberdze, obecnie Norym, a zmarł w 2078 roku nowej ery w Kra. Już zrobiło się ciepłej. Jego związek z Kra, późniejszym Krakatos, obiecywał sensację. I sensacja jest, tylko czy coś z niej wynika? Nie podejmuję się interpretacji. Hirsch Błaga jako socjolog zajmował się szczególnie teorią kiczu i jego percepcją w masowej świadomości. Kicz cieszył się w tamtym okresie olbrzymią popularnością, był akceptowany przez 90% populacji, zaś wartościowa sztuka zepchnięta na margines, funkcjonująca w wąskim gronie ekspertów bądź zamkniętym hermetycznie getcie autorów, dogorywała zapomniana i niechciana.

– Niesamowite – krzyknęła Aria Cesnatti. – Nic o tym nie wiedziałam!

– Zjawisko to jest historycznie udokumentowane. Są hipotezy, iż było jedną z pochodnych zanieczyszczenia środowiska. W każdym razie narastało równoległe w podobnych przedziałach wartości co zanieczyszczenie – powiedział Jan.

– Mówię wam, że to przez tlenki ołowiu, które się znajdowały w ich benzynie! Oni wszystkie urządzenia napędzali benzyną! – powiedział Meteor Atemok.

– A ja wam mówię, że to skutek naruszenia wewnętrznej równowagi okolicy ucha środkowego i odpowiednich ośrodków w mózgu na skutek hałasu i drgań – powiedziała Kinky, która skończyła medycynę. – Ich świat podrygiwał i wibrował jak gigantycznych rozmiarów młot pneumatyczny. Nie na darmo to piekielne urządzenie zostało uznane za symbol Szatana Technologii przez świętych natchnionych Unii.

– Pozwólcie mu mówić, bo czas leci! – upomniała ich Molloy, która siedziała jak na szpilkach.

– Czy ty masz dzisiaj randkę, Molloy, czy co? – zapytała Aria niewinnie.

– Ja? Ależ skąd?! – Molloy Sathanna zaczerwieniła się po cebulki włosów.

– Dajcie spokój – włączył się zapobiegawczo Cshorty. – Nie będziemy marnować czasu na wasze kłótnie.

– Naaajbaardzieeej maaarnuuują naasz czaaaaas nieeepotrzebneeee uuuuwaaagiiii o maaaarnowaaaaniu czasuuuu – wypowiedział się rozwlekle Oro Tantrał, marnując kupę czasu.

– Chcecie posłuchać, co mam do powiedzenia, czy nie?! – wkurzył się Full. – Bo idę do domu, jak babkę kocham! Banda nieokrzęsana!!!

– Sam jesteś nieokrzęsany!!! – wrzasnęła Aria.

– Spokój!!! – Cshorty miał najsilniejszy głos z tej trójki, więc zaległa cisza. – Proszę, kontynuuj – powiedział do Foka.

– Zatem, tenże Hirsch Błaga napisał pracę pod tytułem „Zbiór przykładów kiczowatych przerośni, które szczególnie upodobały sobie masy”. W tym właśnie dziele, wydanym w roku 2049 przez wydawnictwo „Postęp – Wiedza – Nauka”, na stronie 6857 w tomie XXXIX znajduje się cytat, który brzmi dokładnie tak:

*Noc ukoronowana natchnieniem
przynosi zagładę snom
Przysięga wierności nad ranem
jest jak złoty włos upadłej dziewicy.*

Jest to strofka zamieszczona, jak głosi przypis autora, w powieści pisarza, który mieszkał w Kra w latach 1952–2028 nowej ery. W pracy Hirscha Błagi wymieniony został tylko z inicjałów – Cz. B., a cytat pochodzi z utworu wydanego w roku 1987 w języku polskim pod tytułem „Uczeń czarnoksiężników”.

[\[10\]](#)

Tytuł „Uczeń czarnoksiężników” był tak znaczący, że podnieceni ruszyliśmy ostro na poszukiwania tej powieści. Tutaj spotkał nas cios, który spowodował, iż utknęliśmy w martwym punkcie. Ani jeden egzemplarz książki nie przetrwał Kryzysu Ekologicznego i Wielkiej Rewolucji Ekologiczno-Humanistycznej. Autor ten według Hirscha Błagi cieszył się sporą popularnością wśród licznych warstw społecznych w tamtym okresie. Jak wiecie, w samej rewolucji był taki przykry moment, pomijany wstydliwym milczeniem, bowiem w istocie haniebny jak najczarniejsze chwile w historii cywilizacji, kiedy chcąc wyrównać zadawnione krzywdy jednym, wyrządzano je nie tylko drugim, lecz całej kulturze. Wtedy to utwory awangardowe,

dawniej przez nikogo nie czytane, windowano na piedestał, czyniąc z nich lektury obowiązkowe, zaś dziełka takie jak kryminały, powieści science fiction, utwory erotyczne, opowieści przygodowe, sensacyjne i awanturnicze palono na stosach niczym czarownice, co swymi magicznymi zaklęciami przez wieki mamły ludzkość, odwodząc ją od myślenia o sprawach poważnych i ważnych.

Być może gdzieś jeszcze znajduje się pojedynczy egzemplarz powieści. W każdym razie nic o nim nie wiadomo pamięci centralnej. Jeśli chodzi o drugi napis, wczorajszy, to na razie dopiero wstępnie rozszyfrowaliśmy jego symboliczny sens. Okazuje się, iż Indra był jednym z bogów hinduistycznych, religii wyrosłej na półwyspie indyjskim (obecnie Ind) w azyjskiej części Euazu, na bazie słowiano-indo-irańskiej Wedy. Najstarszą Wedę nazywano Ryg-Wedą, co znaczy Weda Ziarna (ryg – żyto, albo reż – ryż). Z tego, co udało nam się wydobyć z pamięci centralnej, wynika jednak, iż nie był on bogiem pokornym, a na pewno nie miał nic wspólnego z szatanem. Słowo „szatan” pochodzi z terminologii chrześcijańskiej, a więc z innego kręgu kulturowego. W zdaniu zawarte są więc wielorakie sprzeczności. Na płaszczyźnie rodowodowej występuje sprzeczność między hinduistycznym rodowodem pierwszego członu zdania a jego chrześcijańskim odniesieniem w drugiej części. Na płaszczyźnie atrybutów, czyli prawdy historyczno-mitologicznej między przypisaną cechą pokory a faktycznymi cechami tej władczej, potężnej postaci. Po weryfikacji zerującej za pomocą wektora Sclerossa otrzymaliśmy sens: Bóg jest Szatanem. Z naszego punktu widzenia nie ma to rozstrzygnięcie żadnej praktycznej wartości. Być może uzyska ją, gdy odszukamy powieść, która może okazać się kluczem do całej zagadki. Kto wie, czy zdanie

nie odnosi się do konkretnego epizodu z bytu mitologicznego Indry. Aby tego dojść, trzeba przewertować kilka grubych tomów tekstów sanskryckich. Myślę, że do jutra uda nam się wyjaśnić więcej.

– Czas na małe podsumowanie – powiedział Cshorty, kiedy Full skończył swój wywód. – Odbijamy się jak plastikowe piłeczki od twardego muru. Każda z grup po pozornych sukcesach dociera do nieprzekraczalnej bariery. Albo brak nam przenikliwości, by zgłębić to, co już jest, albo to, co jest, to za mało, aby dało się cokolwiek wywnioskować. Osiągnięcia grupy Molloy są bezwartościowe, dopóki pan Vavasor jest nieosiągalny, grupy Hanah z tego samego powodu, mojej także przynajmniej do momentu, gdy się uda uszczknąć choćby kawałek jednej literki i poddać go cyklowi badań na wielkich mikroskopach, w komorach wysokich ciśnień, cyklotronach itp. Najdalej zaszedł Fok, tylko czy coś z tych historyczno-lingwistycznych rozważań wyniknie konstruktywnego, skoro nie ma żadnego egzemplarza „Ucznia czarnoksiężników”? Wątpię. Co robić dalej?... Może mi ktoś podpowie, bo naprawdę ręce człowiekowi opadają.

– Ja wiem! – odezwała się Kinky. – Trzeba walczyć! Musimy być aktywni, a nie pasywni. Atakować!

– Waaalczyyyyć? Cooo tooo znaaaczyyy? Ataaaakooować? – Oro Tantral rozwleczonym w czasie ruchem przecierał grzbiet inercyjnej „pluskiewki”[\[11\]](#). – Tyy oszszalaaałaaaś!!! – wymemlał z siebie i zamilkł.

– Nie. Nie oszalałam! – Kinky wstała i zaczęła krążyć pośród zebranych. – Jeżeli nie potrafimy dzięki analizie sięgnąć prawdziwych inspiratorów i odkryć ich intencji, to powinniśmy ich sprowokować. Zmusić do takiego działania, by się nieopatrznie odsłonili!

– O Booże! – powiedział Tantral i zmoczywszy chusteczkę do nosa w misie fontanny, ostentacyjnie przyłożył ją sobie do czoła.

– Ale jak to osiągnąć? – zapytał Don Derdan.

– Trzeba rozpętać propagandową kampanię przeciw stacji telewizyjnej, która oczernia PsiAk!

– Akcję?! – zapytało jednocześnie kilka głosów.

– Właśnie. Proponuję na początek takie hasło do działu ogłoszeń i reklam jutrzejszych dzienników HV: BaKCyL NieZGoDy!

– Jak powiedziałaś?... Niezłe! – Inclusio Neo zaśmiał się cicho.

– Cha, cha, cha!!! A to ci!!! – wyryczała zachwycona Catzy Herma. – Aleś wymyśliła!

– W zasadzie... – zastanowił się Cshorty. – Mogłoby być. Tak. Bez żadnego podpisu, ale z podaniem nazwiska zamawiającej osoby do wiadomości inforu... Akceptuję! A co ty na to, Fok?!

– Jest dobrze, tylko nie ma nic wspólnego z naszym zadaniem. Rozdrobnimy się jeszcze bardziej, a wątpię, żeby to uratowało Akademię.

– Głosujmy – zażądała Kinky.

Głosowanie wypadło na jej korzyść.

– Co poza tym? – zapytał bezradnie Cshorty. Wyglądało na to, że naprawdę brakło mu konceptu. Łatwo się było zgubić w tym gąszczu poszlak i urwanych ścieżek, które przypominały labirynt.

– Trzeba nawiązać współpracę z Senatem. Mistrz Kayano tego po nas oczekiwał – powiedziała Hanah. – Senat może nam udzielić wiadomości, które pomogą rozwikłać zagadkę. W końcu na pewno nie jesteśmy lepiej niż oni zorientowani. Dobrze by było zidentyfikować największych przeciwników PsiAka. Czy

pomyśleliśmy o działaniach w tym kierunku?

– Myślałem o tym – powiedział Cshorty. – Ale odrzuciłem ten kierunek, bo potrzebny był dostęp do Archiwum PsiAka, a zezwolenie musiałby wydać Senat. Trzeba przejrzeć materiały z ostatnich trzystu, dwustu lat. Takiego zezwolenia Senat by nam nie wydał.

– Chyba że zostanie poinformowany i potem poproszony o zgodę – powiedział Jan.

– A co, jeśli nam zabronią? Zastopują nas – odezwała się Molloy i strąciła nieopatrznie torebkę z kolan do wody. Wstała i potrąciwszy łokciem Don Derdana, włożyła rękę aż po ramię w sadzawkę, by wyłowić swój skarb. Zapomniała tylko podwinąć rękawy. Udało jej się wydobyć torbę i zaczęła wyrzucać jej zawartość na ziemię. Wszystkie drobiazgi ociekały kroplami barwionej na zielono wody.

– Zawsze możemy działać tak jak teraz. Tego nam nikt nie zabroni – stwierdził ze spokojem Atemok.

– Głosujmy. Czas już to kończyć – powiedziała Molloy i zabrała się za wykręcanie mokrego rękawa.

Głosowano 12:6 za współpracą z Senatem.

– Razem ze mną – zakomenderował Cshorty – pójdzie Hanah Lamur, Jan San i Molloy Sathanna.

– Ja?! – zdziwiła się Molloy. – Ja nie mogę... a kiedy?

– Zaraz. Oni zdaje się obradują w tej chwili w G-0.

– Zaraz?! – Molloy zerknęła na zegarek. – Zaraz nie mogę! – Zbierała gorączkowo drobiazgi do wilgotnej torby. – Spieszę się. Mam randkę!

Gubiąc zeszyty przy akompaniamencie pospólnego śmiechu, pobiegła w stronę przystanku tekarów.

– Ooootooo coo jeest naajważniejsze w żyyciuu

kooobieeety!

Niestety tego samego rodzaju głosowanie w Senacie, który dokładnie wysłuchał przybyłej delegacji i jeszcze na dodatek wypytał o wiele szczegółów (ze specjalnym zainteresowaniem rozważając słowa Foka Fulla), wypadło dokładnie odwrotnie. Dwunastu profesorów głosowało przeciw dopuszczeniu uczniów do jakichkolwiek działań, sześciu zaś wstrzymało się od głosu. Ku rozpaczy Jana mistrz Kayano był również przeciw i walnie przyczynił się do przechylenia tej szali, argumentując zawzięcie i z niezbitą logiką, iż uczniowie nie powinni się mieszać w coś, co może się okazać bardzo niebezpieczne oraz odrywa ich od zajęć. Jan, Cshorty i Fok, a także Hanah, wszyscy jak jeden mąż wyszli wściekli na korytarz. Fok tak mocno strzelił drzwiami, że zakrawało to na więcej niż bezczelność, zwykłe chamstwo, ale nie potrafił się opanować, tak był rozgoryczony. Każde z nich, gdyby miało czym strzelić, postąpiłoby identycznie. To grono zgrzybiałych starców zupełnie zatraciło chyba poczucie rzeczywistości?!!!

– Banda sklerotyków! – wycedził Full i rąbnął pięścią w ścianę.

– No cóż – Hanah wzruszyła ramionami z pozorną beztroską, ale łzy złości napływały jej do oczu. – Jeszcze raz się okazało, że starym nie można ufać.

– Jeszcze jeden dowód na ich skostnienie. Wapno, zgredy, cholesteryny – powiedział Jan. – U nas 12:6 u nich 6:12. Pięknie.

– Próchno. Martwiaki. Drętworka. Nic z tego nie będzie. Wykończą ich i nas z nimi. Nikt nie zipnie.

Właśnie gdy tak sobie wzajemnie podbijali bębenek, by zupełnie nie upaść na duchu, drzwi się za nimi otwarły i wypadł na korytarz mistrz Kayano.

– Czekaście, chłopcy! – krzyczał z daleka. Jan miał ochotę zacząć uciekać na widok tego przebrzydłego lisa o podwójnej

twarży, potrójnym sercu i poczwórnym umyśle. Nie zatrzymali się, lecz mimo to Kayano dopędził ich po chwili zasapany. – Tylko mnie nie bijcie – zaczął z chytrym uśmieszkiem. – Musicie zrozumieć, że Senat nie może wam oficjalnie dać żadnego glejtu. Z drugiej strony chciałby mieć nad wami kontrolę i dostęp do zdobytych przez was wiadomości. Senat musiał wam zabronić jakiejkolwiek działalności. Wy jednak nie musicie się tym tak bardzo przejmować. Zapewniam was, że kary dyscyplinarne dla przekraczających to zarządzenie nie zostaną wymierzone wcześniej, nim cała afera się zakończy.

– I co nam to daje? – zapytał Jan, nie widząc żadnego sensu w słowach mistrza.

– Ruszajcie do akcji! – Kayano uśmiechnął się szeroko.

– Akcji? Jakiej akcji? – zdziwił się Cshorty. – Bez dostępu do wiedzy Senatu, do Archiwum, będziemy się tylko kręcić w kółko.

– Ja wam tę wiedzę udostępnię!

– Co?!!! – wykrzyknęli wszyscy czworo. Nie mogli uwierzyć! Zaraz potem rzucili się na mistrza Kayano i tylko cudem pod ciężarem tej rozentuzjasmowanej czwórki utrzymał się na nogach.

– Obszerniejsze wyjaśnienia nastąpią przy innej okazji. Mam nadzieję, że wydarzenia nie będą się rozgrywać aż tak szybko, żeby jej nie było. Teraz dwie rzeczy najważniejsze. Fok i Cshorty – zwrócił się do tych dwu. – Tutaj jest klucz do Archiwum – wyciągnął zza pazuchy diamentowy klucz do wrót PsiAkowego „sezamu”. – Natychmiast przystąpcie do układania programu komputerowego. Zbierzcie z ostatnich stu lat wszelkie wypowiedzi przeciw naszej uczelni we wszystkich możliwych wewnątrzplanetarnych i zewnętrznych środkach przekazu.

Natomiast wy – tu wskazał na Jana i Hanah – musicie dobrać jeszcze dwie osoby dla bezpieczeństwa i od dzisiaj pilnie obserwować segment numer 2 przy Róży Wiatrów. Najlepiej byłoby wynająć tam mieszkanie. Zdaje się, że jest wolne na tym samym piętrze, któremu trzeba się przyjrzeć. To po Kładniku. Tak byłoby najidealniej. Musicie działać dyskretnie, bo nasz przeciwnik może się okazać rzeczywiście niebezpieczny. Naszym zdaniem tam właśnie mieści się ich punkt kontaktowy. Nie mamy pewności, w którym z lokali.

– Dlaczego San, a nie ja? – Fok Full wściekle zacisnął usta.

– Ty jesteś lepiej zorientowany w innych sprawach. Będziesz przydatny przy opracowaniu programu i powinieneś kontynuować poszukiwania literacko-lingwistyczne. Jest tyle ważnych rzeczy do zrobienia, że chyba i grona, i uczniów nam zabraknie, żeby ze wszystkim zdążyć na czas.

– To bez sensu, żeby tam właśnie umieszczali punkt kontaktowy i nawet nie zastrzegli adresu w inforze – oponował nie pogodzony z decyzją Full.

– To nie jest prosta rozgrywka obliczona na zniszczenie PsiAka – tłumaczył mu cierpliwie Kayano. – Jest to gra, której intencją jest ośmieszyć nas i skompromitować. Przeciwnik zostawia celowo ślady, licząc na to, że ich nie zauważymy. Ma zamiar wykazać, że sława ziemskich psitalentów to nieuzasadniony przywilej i bzdura. Wierz mi, że mamy podstawy sądzić, iż takie umieszczenie ich punktu kontaktowego to tylko pozorny bezsens, jedna z ich sztuczek... Teraz nie mam już czasu – mistrz zawrócił w stronę sali obrad. – Przekażcie wiadomość innym i natychmiast bierzcie się do roboty. Tylko pamiętajcie – dorzucił z daleka. – Nie spuszczać ich z oka i nigdzie nigdy nie powoływać się na zezwolenie Senatu!!!

Tego samego wieczoru Jan i Hanah Lamur wynajęli apartament numer 104 po panu Kładniku. Przemiał android w okienku na parterze wręczył im klucze i życzył miłego pobytu. W godzinę później Hanah i Jan przyjęli pierwszych gości, którzy przybyli, by oblać mieszkanie. Byli to Ulg Apollo oraz Kinky Vikink.

P. Semabirynt jaźni

Tego wieczora nie wydarzyło się nic szczególnego. Przez małą kamerę, umieszczoną niemal niewidocznie nad drzwiami, obserwowali na zmianę korytarz. Właściwie to było dziwne, że przez cały wieczór nikt do żadnego z mieszkań nie wchodził ani też z nich nie wychodził. Postanowili się zmieniać co dwie godziny. O północy zaczyna Ulg, po nim Jan, dalej Kinky. Od szóstej do ósmej rano Hanah. Dwie lokatorki poznali wcześniej, one właśnie dały im sprzeczne rysopisy Eda Sancheza. Hanah i Jan musieli ich teraz unikać jak ognia. Mieszkały pod numerem 102 i 103. Tajemnicą byli pozostali lokatorzy mieszkań 101 oraz 105. Infor powiedział im, że wszystkie mieszkania na klatce są wynajęte. Nie chciał jednak podać nazwisk, a tym bardziej żadnych intymniejszych szczegółów, jak choćby ich zawody czy miejsca pracy. Zasada poszanowania tajemnicy osobistej pozostawała tu nieubłagana. Program mieszkalny i tak wiedział o swych lokatorach wszystko, więc nie istniało ryzyko, że sąsiedztwo będzie nieodpowiednie, a argument prostej ciekawości był zdecydowanie niewystarczający, by przekazywać takie dane komukolwiek bez zgody strony zainteresowanej.

– Jeśli lokatorzy będą chcieli nawiązać z państwem kontakt, to od nich dowiedzie się tego, co uznają wam za stosowne o sobie powiedzieć – rzekł konsjerż i wyłączył się. Również przez noc nikt się nie zjawił. Wyglądało na to, że wszyscy lokatorzy umówili się na piknik za miastem, tylko że do weekendu było jeszcze daleko.

Kolejny dyżur Jana wypadał między dziesiątą a dwunastą

w południe, ale zamienił się z Kinky Vikink, ponieważ w ferworze zapomniano go jakoś zwolnić od jutrzejszego egzaminu. Tym razem miał to być wydział Iluzji, a testować zamierzał go sam profesor Dual. Właściwie można było z góry uznać swą porażkę. Jan nie miał jednak zwyczaju oddawać punktów bez walki. Kiedy tylko pojawił się na Akademii, za pośrednictwem niezastąpionej Arii dotarła do niego spodziewana, acz niemiła wiadomość, że nie przyjęto go na wydział Hipnozy. Wyniki, jakie osiągnął, schodziły grubo poniżej jakiegokolwiek normy. Kompletny antytalent. Tak właśnie brzmiał werdykt: „Kandydat Jan San być może posiada hipnotyczne *anty*zdolności, co powinien wykryć egzamin na Wydziale Inercji, natomiast na pewno nie posiada zdolności w zakresie hipnozy i na tutejszy wydział przyjęty zostać nie może”. Figurował tam oczywiście podpis samego dziekana Sij Utta. Kiedy Jan szedł do podległego sefirocie Binah z kabalistycznego Drzewa Życia budynku G-3, miał przez chwilę nadzieję, że przy jego egzaminie znajdzie się profesor Hokus, ale zaraz sobie przypomniał, że jest on chory. Hokusa nie widziano od paru dni i wciąż powtarzano wkoło, że to już chyba jego koniec. Z ciężkim sercem przekroczył próg chryzolitowego Pałacu Iluzji[12]. Dual siedział przy złotym biurku na chryzolitowym fotelu, z sufitu zwisały girlandy bursztynów nanizane na cienkie niteczki. Wystrój wnętrza sprawił, że G-3 prezentował się najokazalej. Zwłaszcza duża ilość złożonych sprzętów ślących złociste refleksy, żółtawe i pomarańczowe poblaski, słoneczne chodniki oraz zasłony, nev’opartowe pulsujące emblematy hologramy naszej gwiazdy dziennej oraz skąpanego w jej blasku Merkurego, opiekuńczej planety G-3, budziły w człowieku zupełnie atawistyczne uczucie pożądania i oczarowania wspaniałością.

– Nie będę pana zbyt męczył – powiedział Dual. – Znamy obaj trudną sytuację i wiem, że nie w głowie wam teraz nauka albo egzaminy. Niemniej plan jest planem. Trzeba się trzymać planu. Pan pozwoli, to mój asystent – wskazał na kudłatą, rozczochraną kobietkę mierzącą z półtora metra, o hebanowej

skórze. – Meia Pigg. Dzisiaj wróciła z kongresu w Pantungu. Możemy zaczynać?

Jan skinął głową i rozsiadł się wygodnie naprzeciw Duala. Pani Pigg otworzyła duże pudło, które stało pod ścianą, i wyjęła zeń małe pudełko, a z niego jeszcze mniejszą kasetę. Postawiła ją przed Janem i zdjęła pokrywkę. Wewnątrz znajdowało się sześć metalicznie pobłyskujących sześcianów.

– Proszę wskazać pośród tych bryłek stali tę, w której jest domieszka kobaltu – powiedział Dual.

„Kobalt powinien dawać niebieskawy odcień” – pomyślał Jan. Każda z brył była w jakimś stopniu niebieskawa. Jedna z nich wyróżniała się szczególnie. Rozumując logicznie, doszedł do wniosku, bez żadnych cudów typu psi lub chi, że to nie może być ona, idealnie się bowiem nadawała na pułapkę. Po namyśle odrzucił także dwie inne z widocznymi rysami na powierzchni, wydały mu się zbyt miękkie – choć kto wie, czy słusznie. Pozostały trzy. Jedna z nich wyglądała na czystą stal. Powierzchnię miała zupełnie gładką i tylko cień nieznaczny błękitu. Wskazał właśnie ją.

– Nieźle – powiedział Dual. – Całkiem nieźle.

Na tej samej zasadzie musiał jeszcze rozpoznać trzydzieści innych gatunków metali, 25 minerałów, kilkanaście gatunków drewna, 50 zbliżonych odmian pianxidu, 100 pleksitonów, 150 osmitów i 200 gravinitów. Wreszcie na stół wyjechała porcelanowa zastawa złożona z identycznych deserowych talerzyków w liczbie około stu, wśród których Dual kazał mu odszukać jedyny chiński, dwa miśnieńskie i sześć firmy „Epiag–Pirken–Hammer Marienbad” z 1920 roku nowej ery. „Niech go gęś kopnie z takim lekkim egzaminem!” – wymyślał w duchu Dualowi i wybierał na chybił trafił talerzyki, wcale już

nie myśląc i nie starając się zdobyć żadnego punktu, byle tylko dobrnąć do mety tego koszmarnego maratonu.

– Dobrze – podsumował profesor po tej ostatniej próbie i Jan odetchnął, mając nadzieję, że wreszcie dadzą mu spokój. Pani Meia Pigg pakowała talerzyki do kasetki, którą zamierzała włożyć do pudełka, by potem pudełko schować w wielkim pudle pod ścianą. – Teraz zadam panu kilka pytań, takich dla relaksu, na rozluźnienie przed następnym etapem – rzekł Dual, wyciągając dwa umklajdery w kolorach czarnym i białym. Jan westchnął i poprawił się w fotelu.

– Co to jest? – Dual wskazał na czarną laseczkę.

– Umklajder – powiedział bez wahania Jan i od razu dostrzegł na twarzy Duala skurcz, który trwał ułamek sekundy, ale mógł oznaczać tylko jedno, że Jan palnął głupstwo.

– Niech pan się dobrze zastanowi.

– Jeżeli nie umklajder – rzekł zbity z tropu – to pewnie falender.

Tym razem Dual skrzywił się tak, jakby wypił na raz szklanekę skoncentrowanego soku cytrynowego.

– Umklajder? Falender? – Dual gestykulował przesadnie. – Skąd pan bierze te bzdurne nazwy?

– Przecież nie zaprzeczy pan chyba, że to są przyrządy do wytwarzania iluzji?! – Jan podniósł głos zdenerwowany dziwacznym nieporozumieniem.

– Świetnie! Właśnie. To się zgadza. Owszem. Bardzo dobrze. Nie wie pan, jak one się nazywają? Nie musi pan. W porządku. To pytanie nie jest wcale ważne i nie ma pan obowiązku wiedzieć...

– Ależ wiem i właśnie przed chwilą to panu powiedziałem?!

Profesor i Meia Pigg wymienili znaczące spojrzenia.

– A na jakiej zasadzie pana zdaniem działa taki, jak pan to nazywa, „umklajder”? – zapytał Dual z nutą ironii.

– Rozkładu albo syntezy infracial ze „zwykłymi” ciałami.

Dual wraz z asystentką stali przez chwilę nieruchomo, a potem nagle jak na komendę zaczęli chichotać, śmiać się, rechotać, aż trzymając się za brzuchy pokładali się po kątach. Jan obserwował z konsternacją ten atak wesołości, który trwał chyba ponad miarę. Wreszcie Dual usiadł, a raczej zwalił się wyczerpany przewlekłym śmiechem na chryzolitowy fotel i jął ocierać łzy chusteczką.

– Gdzie... gdzie pan wyczytał te głupstwa? – zapytał, siłą powstrzymując się przed kolejnym spazmatycznym nawrotem.

– Gdzie? Jak to gdzie! – Jan podniósł głos niespodziewanie dla samego siebie. Sytuacja była nad wyraz irytująca. – Czytałem o tym w pracy Lügen Impostera! Uważa pan, że to bzdura?!

– Ether Lügen Impostera?!

– Tak!!!

Tym razem zdawało się, że atak śmiechu uśmierci wijące się w konwulsjach, ryczące, rżące, tryskające łzami i wierzgające wszystkimi kończynami ciała profesora oraz jego filigranowej pomocnicy. Jan zerwał się z fotela jak oparzony. Miał ochotę dopaść ich oboje i zacząć bić, gryźć, szarpać, żeby ich natychmiast wyrwać z tego szaleńczego amoku. Zamiast tego stał tylko na środku, krzesło upadło do tyłu, głowę miał czerwoną, usta wykręcone w grymasie, a dłonie zaciśnięte w pięści i wyglądał jeszcze głupiej niż przed chwilą. W końcu tamci dwoje, pokazując sobie na wypródki jego minę wyciągniętymi niegrzecznie paluchami, zamiast przestać popadli w jeszcze większą histerię. Z ich gardeł wylewała się już tylko naprzemienna czkawka jako żywo przypominająca chichot

zimnego silnika, który nie może zapalić, a nieustannie jest pobudzany kopniakami startera. Bóg wie, czy nie skończyłoby się to jakimś kataklizmem w postaci śmiertelnego zejścia ze śmiechu, gdyby nie dźwięk wifonu, który natychmiast postawił na nogi sumienną asystentkę. Wkrótce i Dual się opanował i przybrał minę zasadniczą. Wiadomość była bzdurna, nieważna, nie wykraczająca poza krąg prywatnych spraw pani Pigg, ale sam fon spełnił rolę ważną, być może historyczną z wielu względów. Po pierwsze uratował najprawdopodobniej życie tych dwojga opętanych, tarzających się po ziemi istot, po drugie, ratując im życie wpłynął na bieg przyszłych losów wydziału Iluzji. Wpłynął nań podwójnie, bowiem gdy Dual tylko na tyle przyszedł do siebie, by wydobyć z krtani słowo, powiedział:

– Panie San. Zrezygnujemy z dalszego ciągu. Jest on zupełnie zbędny. Przyjmuję pana. Zdał pan egzamin. Zdał go pan, ponieważ przedstawił mi najbardziej iluzjonistyczną teorię działania magicznych pałeczek, o jakiej kiedykolwiek słyszano – znów zachichotał, a pani Pigg zawtórowała mu mysim piskiem. – Co prawda nie jest to wydział Iluzjonistyki, tylko Iluzji, ale i my tutaj mamy poczucie humoru. Dawno się tak nie śmiałem. Chyba od dzieciństwa.

– Jak to? – Jan ustawił porządnie przewrócone krzesło, ale nie siadał. Czuł, że wszystko się w nim gotuje. Werdykt Duala wcale go nie zadowalał ani też nie rozbawił. Jan nie wykazywał zbyt dużego poczucia humoru w przeciwieństwie do Duala. – Więc Lügen Imposter według pana kłamie?! Nic z tej książki, uważa pan, nie jest prawdą?! Nie było Inno Johnstone’a? Nie było Stalona Meira?! Anagnon to wymysł, ciałometal bzdura?!!!

– Owszem, owszem. To wszystko było i jest, tylko że niewiele

ma wspólnego z iluzją. Iluzja, panie San, to przede wszystkim kwantowa fizyka, działania na poziomie podstawowym, w jądrach atomowych. Pan wie, jaką energię musi wytwarzać pałeczka, by uformowanie choćby czasowej iluzji stało się możliwe?! Wie pan, co to umkerbarder? Nie wie pan. Rozcinacz. A cerajsner?! Też nie? Rozpraszacz. Rozumie pan?! Rozcinacz albo rozpraszacz atomów!!!

Jan stał jak sparaliżowany, nie był w stanie uczynić najmniejszego ruchu choćby małym palcem w bucie, szczęki zwarł mu nerwowy skurcz. Więc wszystko, co przeczytał, było bzdurą! Jakimś koszmarnym żartem?! Kto mu ten żart wyrządził? Kto go naraził na ośmieszenie?!!! Po co? W jakim celu?! Za co?! Dlaczego?!!!

– Czy pan się dobrze czuje? Nic panu nie jest? – spytał Dual, obserwując zmienioną twarz Jana, która nabrała cech maski, zupełnie jak u ludzi porażonych maskaronizmem. – Ktoś taki jak Ether Lügen Imposter w ogóle nie istniał... Jeżeli chodzi panu o formę, w jakiej... w jakiej my tu pana... tego... przyjęliśmy, to musi nam pan wybaczyć, dawno czegoś takiego... – przerwał mu wewnętrzny chichot, lecz tylko na sekundę. – W każdym razie zapewniam pana, że kieruję się także wynikami poprzednich testów. Miał pan około 90% trafności, to jest dużo...

Dual gadał nieustannie dosyć zaskoczony i trochę przestraszony przemianami, jakie obserwował w stojącym naprzeciw młodzieńcu, ale Jan go już nie słyszał; cały pogrążył się w rozmyślaniach. Gorączkowo szukał tego kogoś, kto mu podsunął tę książkę, mając na celu ośmieszenie go, poniżenie, szkodę! To fakt, że sam prosił infor o książkę. Infor?! Czy ktoś się włamał w program inforu?! Kto? Fok Full?! Takie włamanie jest chyba niemożliwe! A może sam infor?! Przecież to infor

dydaktyczny, który sam z siebie gada i nawet potrafi się obrazić!!! Zemsta inforu?! To śmieszne!!! A jednak. Infor. Infor. Infor? Infor! Infor! Infor!! Infor!!! Infor! Ten cholerny infor! Infor zrobił z niego błazna!

Jan zerwał się i trzema susami dopadł drzwi. Dual nawet nie zdążył otworzyć ust, by go powstrzymać. Już biegł po złotawych schodach w dół, już pędził alejką, już wpadał do swojego mieszkania, już stał na środku holowizyjnego pokoju pod smukłym ryjkiem inforu!

– Jesteś tam?! – zapytał z pogrózką w głosie.

– Melduje się pański infor – zaskrzeczał infor. – Infor dydaktyczny!

Tylko tego mu było teraz potrzeba.

– Ty świnió! – wybuchnął. – Ty paskudny, podstępny obwiesiu! Ty procekronowa bryjo! Elektryczny matole! Jak śmiałeś?!!!

– Ależ, panie San? – bronił się infor. – Panie San, doprawdy, dlaczego mnie pan obraża?

– Ty elektryczny darmozjadzie!!! Pluskwo podstępna!!! Ty łgarzu, kakusiu na ciekłych kryształach!!! Bezmózga legumino!!!

– Panie San, panie San?!!!

– Będziesz mnie uspokajał, bzdurny automacie?!

– Ostrzegam pana. Nie pozwolę się obrażać! Zapiszę panu czwarty krzyżyk!

– Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić ten krzyżyk?!!! – ryknął Jan ugodzony do żywego. – Włóż go sobie w to miejsce, gdzie cię podłączają do kontaktu!

– Panie San! Ostrzegałem pana. Ma pan ten krzyżyk, skoro tak panu na nim zależy!

– Cccoooo?!!! – Jan złapał krzesło i wspiął się po nim do sufitu, skąd wyrastał kielich. Zawisł na nim całym ciężarem i razem z nim spadł na podłogę. Posypał się tynk, a Jan począł skakać po urządzeniu z opętańczą premedytacją. Rozległ się tylko chrzęst plastiku i łamanych kondensatorów.

– Panie San! – odezwał się tym razem zza regału ze stojącym nań viderem infor. – Niech pan natychmiast zaprzestanie niszczenia przedmiotów, które nie są pana własnością!

Jan rzucił się w tym kierunku, odsunął stolik i półkę, złapał za gniazdko i wyszarpał je ze ściany razem z całym drucianymi bebeczami. Pobiegł do kuchni po laserowy przecinak.

– Panie San! Jeżeli pan odetnie to gniazdko – bełkotał, kiedy Jan przetrząsał szuflady – będę panu musiał zapisać kolejny krzyżyk! Ostrzegam pana po raz ostatni! Niszczenie społecznego mienia nie może uchodzić bezkarnie.

– Ja ci zaraz dam krzyżyk?!!! Śmiałeś wystawić mnie na pośmiewisko?!!! Ty gnido bezpłodna! Podrzuciłeś mi fałszywy podręcznik do iluzji?!!! Będiesz miał krzyżyk... na ostatnią drogę!

Znalazł nóż i już wbiegł z powrotem do pokoju.

– Ależ panie San, nic takiego nie zro... – kable zostały przecięte. Zaległa cisza, po czym z górnego piętra doleciał go znów bezczelny głos maszyny.

– Tak jak powiedziałem – grzmiało nad sufitem. – Ma pan kolejny krzyżyk! A teraz niech pan posłucha. Nic nie zrobiłem! To po prostu niemożliwe! Przecież jest pan rozsądnym człowiekiem! To jest technicznie nie do wykonania!!!

Jan podniósł z podłogi nóż i ruszył po schodach na górę.

– Niech pan już nie robi więcej szkód. Bardzo pana proszę?! – biadał infor. – To naprawdę zbyteczne! Ja nie mogę działać

przeciw panu, dopóki pan nie przekracza przepisów. Mówić mogę, owszem, ale nie działać! Nic nie zrobiłem!!!

Jan stał w pokoju gościnnym i rozglądał się, gdzie on tutaj może być schowany.

– Jeżeli pan żądał ode mnie czegoś, to zawsze wypełniałem polecenia! Tak samo było z tą książką!!!

– Śmiesz mi wmawiać, że to ja jej od ciebie żądałem?!!!

– Ależ tak było! To pan powiedział: „Proszę mi dać coś na temat umklajderów i falenderów”. Znalazłem tę książkę i dałem! To jedyna współczesna praca, jaka na ten temat istnieje.

Jan zatrzymał się. Zaniemówił. Nóż wypadł mu z ręki. Czym prędzej podszedł do otomany[13] i położył się na wznak. Czuł drzenie wszystkich mięśni. Napięte mięśnie rozluźniały się gwałtownie po tym nadzwyczajnym spięciu. Miał wrażenie, że śni! Wolałby, żeby tamto było snem. Rzeczywiście. Przypomniał sobie swoje słowa. Tak było. Prosił o książkę na temat umklajderów i falenderów.

– Praca Ethera Lügen Impostera – powiedział cicho uspokojony widząc jego zachowaniem infor – jest jedyną zajmującą się tym tematem współcześnie. W historii występują jeszcze dwie inne, ale one już nie istnieją. Jedna nazywała się „Poniedziałek zaczyna się w sobotę”, a druga „Uczeń czarnoksiężników”.

– Co?!!! Jak powiedziałaś?! „Uczeń czarnoksiężników”?!

– Obie są w bibliografii dzieła Impostera.

Jan pobiegł do sypialni. Złapał księgę i otworzył na samym końcu. Bibliografia składała się zaledwie z dwóch tytułów. Z tych właśnie dwóch tytułów!

– To prawda – wyszeptał. – Muszę cię przeprosić.

– Przyjmuję – powiedział miękko infor, jakby był trochę

naburmuszony, ale i przypoehlebiony. – Ale krzyżyków nie mogę wykreślić. Idą przez obwód poza moją kontrolą... No, może jeden bym mógł... Cofnę go, żeby pan nie myślał, że jestem pańskim wrogiem... Ten za obrazę cofam, nie czuję się obrażony.

– To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, ale mam gdzieś te krzyżyki. Lepiej mi powiedz, co wiesz o „Uczniu czarnoksiężników”!?

– Nic. Znam teorie tam wyłożone za pośrednictwem Lügena Impostera. On stwierdza w swojej księdze, że właśnie tam się te teorie po raz pierwszy pojawiły. Wiem, że taki utwór istniał i że żaden egzemplarz nie zachował się po nasze czasy.

– A kim był ten Ether Lügen Imposter?!

– Był i jest. To naukowiec. Specjalista od jasnowidzenia. W 1398 roku sformułował Pierwsze Prawo Komplikacji, w 1412 Teorię Lawiny Zdarzeń i Kręgu Logicznego Sytuacji, w 1439 zaś nadał Teorii Zdarzeń formułę geometryczną...

– Nazwisko!

– Isobar Fairsighter. Profesor na Wydziale... – ... Tak, tak, tak. Dziękuję ci – przerwał dydaktycznej końcówce centralnego mózgu PsiAka...

A więc Isobar Fairsighter również słyszał o „Uczniu czarnoksiężników”! Musiał chyba dotrzeć do jakiegoś prywatnego nie zarejestrowanego źródła poza centralną pamięcią?! Czyli że egzemplarz powieści gdzieś jest! Tylko czy Fairsighter zdaje sobie sprawę z wagi tej książki? Trzeba natychmiast powiadomić innych. Cshorty’ego albo Foka Fulla? Foka? Nie.

W okresie rewolucji wielu ludzi ukrywało swoje kolekcje, różne urządzenia, maszyny, całkiem pokaźnych rozmiarów nieraz. Po wiekach terroru, przechodząc z rąk do rąk, wypływały

w końcu na światło dzienne w bardziej sprzyjających okolicznościach. Wiele pozostawało jednak ciągle w rękach kolekcjonerów. Chyba książek bardziej niż czegokolwiek innego dotyczyła ta powszechna bibliofilska pasja. Stała się nie tylko hobby, ale rodzajem snobizmu oraz interesu przynoszącego wysokie prowizje pośrednikom w handlu białymi krukami.

Zawiadomi Cshorty'ego. Foka nie. Fok?! Może to on mu podsunął ten bzdurny pomysł z umklajderami? Jak to było? Skąd mu się wzięło w ogóle to słowo? Ktoś mu je musiał podpowiedzieć. Tak. Ten, kto to zrobił, był właściwym sprawcą dowcipu. On to wymyślił, obliczył, zastosował psychologiczny chwyt, który musiał przynieść efekt, tylko jeden, jedyny wybrany, pożądany. Przewidujący spryciarz! Sprytny łotr! Kto to był?! Um-klaj-der. Umklajder. Umklajder. UMKLAJDER. Rozważania przerwał mu sygnał połączenia. Dzwoniła Hanah Lamur.

– Jesteś już wolny?

– Wolny.

– Przyjeżdżaj jak najszybciej. Ruszyło się. Ulg Apollo śledzi kobietę z apartamentu 101.

– Ulg Apollo? Ulg Apollo!!! – wrzasnął. – To on! On go tak wrobił!!!

– Czego wrzeszczysz? To normalne. W końcu musiało się ruszyć, a tylko on był wolny. Ona go ciąga po całym mieście. Boję się, że się zorientowała, iż jest śledzona. Potrzebny jest ktoś do pomocy. Trzeba go zmienić.

– Do pomocy Ulgowi Apollo?

– Przecież mówię. Co się wygłupiasz! – powiedziała z pretensją.

– Już jadę. Bardzo chętnie pomogę Ulgowi Apollo! – wycedził

do słuchawki, wyobraziwszy sobie, jak skręca temu nędznikowi z chrzęstem jego delikatny kark. Przełączył się na wspólny kanał i wcisnął słuchawkę do ucha. – Jestem z nią na placu Grudnia – zagrzmiało mu w głowie. Jan instynktownie go przyciszył, bo taki ryk można było usłyszeć chyba nawet z parteru. Dziewczyny nie nadają się do zajęć wywiadowczych. Z byle powodu tracą głowę. Nic takiego się nie działo, a Hanah wszczęła panikę.

– Wsiada do tekaru. Idę za nią. Relacjonować na bieżąco?

– Jak chcesz.

Siedzieli skupieni wokół domowego HV. Od czasu do czasu Hanah albo Kinky zerkały kątem oka na ekran rejestrujący obraz pustego korytarza.

– To siódemka. Linia Okrężna – zameldował Ulg.

– Trzymaj się blisko niej – powiedział Jan w myślach, kierując swoje słowa do Ulga na ścieżkę enemo. Zapadła chwilowa cisza w eterze. Zaraz odezwała się Hanah.

– Przydałaby się nam mapa – powiedziała.

– Mapa? Obejdzie się – skwitował lakonicznie Jan. – Ale jak chcesz, włącz wizję i kliknij w komputapleksie lunarny GPS. Znam hasła dostępu.

– W ogóle to Kayano powinien nas zwolnić z zajęć – odezwała się Kinky. – Jutro mam egzamin intervega i nie mam pojęcia, jak go zdam. Ponoć bez jego znajomości niemożliwe jest zapoznanie się z vegańską szkołą jasnowidzenia. Wciąż te wymysły zgrzybiałych starców, jakby nie było translatorów!

– To takie trudne? – zapytał.

– Jak diabli. Sama nie wiem, czy śmiać się, czy płakać. Ten język brzmi jak karykatura naszego. Wszystkie słowa lecą jak u nas, tylko od tyłu. Ma inną gramatykę, ale te same słowa...

– Nie brzmi jak karykatura, tylko jest karykaturą. Vega

to przecież jedna ze Zbuntowanych Kolonii i oni zrobili to specjalnie – rzekła Hanah.

– Zaraz. Nie rozumiem. To znaczy, że jak tam brzmi na przykład wyraz broda?

– Abord.

– A noga?

– Agon.

– Brylant?

– Tnalyrb.

– Więc brylantowa noga byłoby... – zastanawiał się Jan...

– To trochę bardziej skomplikowane. Końcówki są też na początku zamiast na końcu, a jeszcze przed właściwym wyrazem umieszcza się znak mówiący, z czym mamy do czynienia, czy to przymiotnik, czasownik, przysłówek. Więc byłoby tu: p'a-tnalyrb agon.

– Ciekawe.

– Mnie wcale nie ciekawi rozszyfrowywanie ich hieroglifów. To bezczelne tak zbezcześcić interlinguę.

– Jesteśmy na skrzyżowaniu alei Sierpnia z bulwarem Czerwca. Coraz więcej ludzi. Jeżeli się zdecyduje tutaj gdzieś przesiąść, to łatwo mogę ją zgubić – odezwał się Ulg. Jego słowa sprowadziły Jana na ziemię, nie byli na niedzielnym spacerze. Komputapleks był zalogowany do lunarGPSa. Wstukał kody dostępu, które rzecz jasna były nielegalne, ale czasami idealne.

– Jaka jest dalsza trasa siódemki? – zapytał.

– Po Obwodnicy. Dalej ulicą Marca, Prospektem Października, w aleję Nadchodzącego Maja i z powrotem na plac Grudnia.

– Mamy was na lunarnym GPSie. Wezmę ixar i spróbuję was złapać. Pierwszy punkt to skrzyżowanie Czerwca z Październikiem. Przez cały czas kontakt przez ręczny inffon.

– Spiesz się.

Jan wstał. Sprawdził, czy ma żetony.

– Dalszy ciąg kursu z intervega zrobisz mi po powrocie – uśmiechnął się do Kinky. – Przerzuć mi wszystko przez enemo, żebym miał ogląd całości w każdej chwili.

– Okay. Uważaj na siebie. – Hanah podbiegła do niego i pocałowała niespodziewanie w policzek. Sprawilo mu to przyjemność. Atawizm to coś, co nie ma początku i końca. To jest coś takiego, co drzemie w tobie i kiedy myślisz, że już jesteś taki nieskończenie kulturalny i bez kompleksów i taki, no wiesz, nowoczesny, to wtedy wyłazi ze swej nory gdzieś głęboko w genach, gdzie spał przyczajony, pozwalając ci uwierzyć w te wszystkie bzdury o kulturze. Wtedy właśnie atawizm rozlewa ci miękkie ciepło naokoło serca, kiedy kobieta mówi po prostu: uważaj na siebie; jakbyś szedł nie na przystanek albo do sklepu, ale na niebezpieczne polowanie pośród ostępów odwiecznej dżungli. To krótkie zdanie, które padło z jej ust, spowodowało, że po dwa stopnie zbiegł na dół, od razu złapał ixar i lecąc, czuł się, jakby go niosły jego własne skrzydła. Wylądował na Prospekcie Października akurat w chwili, gdy tekar dojeżdżał do przystanku. Nie było pewności, czy to ten sam. W każdym razie miał numer siedem. Nie zdążył jeszcze rozważyć do końca tej kwestii, gdy Ulg Apollo wyskoczył prosto w jego objęcia. Kątem oka pokazał mu grubawą kobietę w eleganckiej sukni w gwiazdki, paski, kwadraty i kółka. Sukienka była naprawdę w dobrym guście i musiała pochodzić z drogiego salonu. Nie miała w sobie nic z taniej krzykliwości. Figury geometryczne różniły się strukturą od tła i pulsowały delikatnie, zmieniając odcienie, nawet nie odcienie, tylko stopień nasycenia stale tych samych barw. Jan przymknął na moment oczy i w lewym górnym rogu pola

widzenia włączył mu się ekran enemo z mapą ich trasy i namiarem GPSa na kobietę.

– Idziemy razem? – szepnął Ulg.

– Idziemy, ale osobno – powiedział Jan.

Kobieta absolutnie nie wyglądała na przedstawicielkę międzyplanetarnej mafii, kosmicznej triady ani tym bardziej podrzędnego gangu. Szli za nią trop w trop udając, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Jan nie udawał, rzeczywiście nie chciał mieć nic wspólnego z Ulgiem.

W tym czasie grupa Stepa Cshorty'ego, połączona z zespołem Foka Fulla, biedziła się nad programem, który by objął wszystkich przeciwników Akademii na przestrzeni ostatnich stu lat. Zadanie nie wyglądało prosto. Na szczęście dział dotyczący polemik i krytyki został w archiwum wyizolowany spośród dziesiątków innych szpargałów. O tyle zadanie było ułatwione. Trudności niestety znalazło się znacznie więcej. Po pierwsze te dziesiątki dokumentów, wycinków, kaset z HV, wideo, magnepterowych zapisów rozmów, mnemotów, lodiwów, plików komputerowych tylko częściowo zostały wprowadzone do pamięci uczelni i do tego rozproszone według zupełnie innego klucza, tak że sam infor nie potrafił dokonać segregacji. Po drugie duże kontrowersje od razu wzbudziły kryteria, które należy zastosować przy budowie programu. Nie wiadomo było, czy wybierać szczególnie zajadłych przeciwników, szczególnie wytrwałych, szczególnie celnych, czy też najdowcipniejszych. W końcu postanowiono wybrać kilka głównych punktów tego typu i wokół nich identyfikować w każdym przypadku pierwszą dziesiątkę przeciwników. Utworzyło się w ten sposób dwanaście kategorii. Pozostała teraz mrówcza praca polegająca na segregacji danych i wprowadzeniu ich do pamięci. Nie wolno było pominąć najmniejszego karteluska, ścinka folii, zarchiwizowanego kilobajтового pliku, najbzdurniejszej notatki prasowej bądź nieoficjalnej wypowiedzi, bo to groziło

przeoczeniem, które kładło całe przedsięwzięcie na obie łopatki. Przy najszczerzych chęciach i zaangażowaniu dużej grupy, jaką stanowili, nie należało się spodziewać zakończenia tej sprawy w ciągu jednego dnia.

Robota paliła im się w rękach i postępowali dosyć szybko naprzód. Całe archiwum wyglądało jak po trzęsieniu ziemi, tornadzie Yorry i erupcji Etny razem wziętych – tonęło w kurzu, zwojach nici mnemotycznych, setkach pokiełbaszonych kawałków folii, które walały się nawet po podłodze. Mistrz Kayano zaglądnął na chwilę parę razy, ale miał tylko tyle czasu, by rzucić jakąś uwagę na temat programu, wskazać, gdzie jest coś, co mogliby przeoczyć. Rzuciwszy uwagę, zaraz wypadał z powrotem, by pędzić na nieustające obrady Senatu, które wciąż toczyły się w auli G-0.

Po południu przyniósł tylko wiadomość, że należy się spodziewać kolejnego napisu, ale nie wiadomo ani jakiego, ani gdzie, ani kiedy. W każdym razie w związku z tym dzisiejszy apel zostaje w ogóle odwołany, a grupa Hanah Lamur, dyżurująca przy Róży Wiatrów, jest od jutra zwolniona z zajęć.

– Szszszszszczczęścíaaaarzee! – skomentował to Oro Tantral.

Jan i Ulg od godziny dyżurowali pod bramą wejściową do niewielkiego pseudorenesansowego domu przy ulicy Pogodnej Wiosny. Kobieta zniknęła właśnie tam. Ulg szedł za nią na ostatnie piętro. Kamienica była trzypiętrowa, zwieńczona spadzistym dachem. Wysokie okna świadczyły o przestronności znajdujących się w niej mieszkań. Okazało się, że na każdym piętrze są tylko dwa, zaś na ostatnim jedno. Kobieta weszła do wnętrza, nie okazując żadnych oznak zaniepokojenia. Wydawało się że nie podejrzewa, iż jest śledzona. Ulg widział z półpiętra, jak naciska dzwonek i ktoś otwiera jej drzwi. Na drzwiach widniała dużych rozmiarów tablica oznajmiająca, iż znajduje się tu „Staroceltyckie Towarzystwo Kulturalne”. Pod

spodem na mniejszej tabliczce umieszczono informację, że we wtorki i czwartki przyjmowani są między dziesiątą a osiemnastą nowi członkowie. Wynikało z tego, że dzisiaj były godziny przyjęć. Ulg zbiegł na dół do Jana. Sprawdzili jeszcze, czy nie ma jakiegoś innego wyjścia, i kiedy okazało się, że nie, stanęli z boku w dogodnym do dyskretnej obserwacji punkcie, jaki stanowiła przeszklona brama sąsiedniej kamienicy. Czekali cierpliwie, choć zaczynało ich to stróżowanie już nużyć.

– Może tam wejść? – zaproponował w pewnej chwili Ulg.

– Lepiej schowaj sobie swoje pomysły do kieszeni! – odpowiedział mu Jan, który teraz mając czas na refleksję, przypomniał sobie o urazie do Ulga.

– Coś się stało? Jakiś nerwowy jesteś. Cały czas zachowujesz się dziwnie, zauważyłem zaraz, jak wysiadłem z tekaru, że coś do mnie masz.

– Owszem, mam.

– Więc słucham.

– Nie czas teraz na kłótnie.

– Nie zamierzam się wcale z nikim kłócić. Wolałbym tylko wiedzieć, o co ci chodzi.

– Wiedzieć. Wiedzieć?! – przedrzeźniał go Jan. – Za taki kawał powinienem ci kark skrócić!

– Kawał? – Ulg zrobił wielkie oczy. – Jaki kawał? Chyba żartujesz. Nie przeszło mi nawet przez myśl, żeby ci robić kawały?!

– Jeszcze łzesz w żywe oczy. To szczyt bezczelności.

– Nie przypominam sobie nic takiego, czego musiałbym się wstydić.

– Albo masz krótką pamięć, albo jesteś bezwstydnym łotrem – powiedział chłodno Jan.

– Co się właściwie stało?!

– Nic specjalnego, przyjęli mnie na wydział Iluzji – powiedział

Jan ponuro.

– To raczej powinieneś się cieszyć, praktycznie jesteś już uczniem, a nie kandydatem.

– Oficjalny wynik będzie pojutrze i pewnie bym się cieszył, gdyby nie to, że Dual i Meia Pigg mieli z moich wywodów na temat umklajderów tyle zabawy, że o mało nie poumierali ze śmiechu. To ty mi podsunąłeś umklajdery! A teraz umywasz bezczelnie ręce!

– Ach!... więc o to jesteś zły!!! – Ulg patrzył na Jana, przez moment ważąc w myślach jego słowa, po czym zaczął się śmiać. Śmiał się jak głupi, zupełnie tak samo jak tamtych dwoje.

– To nie było dowcipne! – powiedział Jan. Ulg opanował się i zrobił bardzo poważną minę, choć było widać, że w środku drży jeszcze od wewnętrznej wesołości. – Przepraszam cię, stary – powiedział w końcu. – Ale nie zrobiłem tego celowo.

– Tylko jak?! – Jan wcale nie był udobruchany.

– Ja po prostu nazywam magiczne pałeczki tak jak Lügen Imposter. Czyż jego teoria nie jest zabawna? Czy nie jest to wspanialsze i dowcipniejsze niż ustawiczne nurzanie się w fizyce kwantowej i kilometrowych matematycznych wzorach?! Naprawdę wolę Impostera i jego umklajdery! Pałeczka na zawsze pozostanie dla mnie umklajderem, a nie jakimś rozcinaczem czy rozpraszaczem atomów.

Jan spojrzał podejrzliwie na Ulga Apollo, ale w twarzy tamtego nie znalazł ani cienia przebiegłej złośliwości. Jego szczere spojrzenie wyrażało wyłącznie zachwyt nad dziełem Fairsightera i nic poza tym.

– Mnie też się to spodobało. Kiedy Dual mi powiedział, że opowiadam bzdury, to zupełnie jakbym stracił kawałek własnego ciała, rękę albo nogę. Zdemolowałem infor w domu, bo jego

posądziłem w pierwszym odruchu o złośliwe podsunięcie mi tej książki...

– Powiem ci, że ostatnio odzywają się głosy, żeby dokładnie sprawdzić tę teorię. Kto wie, czy któregoś dnia nie okaże się ona równie realna jak wszystkie inne. Ciałometal, anagnon i cała kraina infraciepła to fakty, chociaż na razie tylko teoretyczne...

Umilkli.

Wpatrywali się w bramę obok, ale nikt nie wchodził ani nie wychodził. Ciemna czeluść, najeżona ozdobnymi festonami, ziała pustką. Zaczynało to być niepokojące. Jan spojrział na zegarek.

– Półtorej godziny – uprzedził go Ulg.

– Za długo. Trzeba coś zrobić. Zapukała, dzwoniła? Ktoś jej otworzył? Czy sama sobie otwierała kluczem? – Jan przymknął oczy. Na ekranie nie było widać żadnej zmiany położenia. Powinna być w środku.

– Dzwoniła – powiedział Ulg. – Dwa długie, krótki, dwa długie. Ktoś był w środku i jej otworzył. Weszła i tyle.

– Musimy iść to sprawdzić. Razem czy we dwóch?

– Proponuję we dwóch. Innego wejścia tu nie ma a...

– Dobra – przerwał mu Jan. – Tylko zawiadomijmy Hanah.

Połączyli się z Hanah, która zawiadomiła ich o zwolnieniu z zajęć, odwołaniu apelu i o tym, że program Cshorty’ego wieczorem będzie na komputerze.

„Wieczorem – pomyślał. – Do wieczora daleko. Na razie jest godzina szesnasta i dziesięć minut”.

– Wchodzimy tam – zakomunikował jej krótko. – Jeżeli nie będzie od nas sygnału za pół godziny, ściągnij tutaj Sixa albo kogokolwiek, mogą być nawet oddziały specjalne.

Rozłączył się i weszli na schody.

– Co im powiemy? – zapytał Ulg, gdy zbliżali się do trzeciego

piętra.

– Że chcemy zostać członkami Staroceltyckiego Towarzystwa Kulturalnego. Wydaje mi się, że jesteśmy na dobrym tropie.

– To doskonale pasuje do tego faceta Molloy... nie pamiętam, jak on się nazywał?

– Bohemias Vavator – Jan nacisnął dzwonek. Dwa długie – krótki – dwa długie. Po chwili odezwał się brzęczyk i drzwi odskoczyły samoczynnie na odległość kilku centymetrów.

– Ktoś je otworzył? – zapytał Jan z sarkazmem.

– Otwierają się same.

– Wydawało mi się... głowę bym dał, że tak.

Weszli do środka. Długi korytarz zastawiono starymi meblami, tak że prowadziła przezeń tylko kręta ścieżka. Na ścianie świecił się kinkiet z brudną umbrą z mlecznego szkła. Żarówka była tak słaba, że panował tu półmrok. Stare meble, nie, nie historyczne ani stylizowane, lecz po prostu zużyte, połamane, natłoczone po obu stronach korytarza, stwarzały przykre wrażenie duszności, powiększone dodatkowo zapachem stęchlizny. Zatrzymali się w progu niezdecydowani.

– No, ruszamy – zakomenderował Jan.

Uszli zaledwie kilka kroków, gdy drzwi za ich plecami zatrzęsły się nagle.

– Cholera! – syknął Jan. – Trzeba je było zablokować. – Jak zwykle był mądry po fakcie.

– Pchaj się do przodu – wyszeptał Ulg.

Na końcu korytarza znaleźli obite skórą drzwi. Był to raczej skóropodobny velvix popękany w wielu miejscach, nabijany cekinami, zniszczony. Dawno nie używano tego materiału. Jan pchnął drzwi, które ustąpiły niespodziewanie lekko jak na swą masę i otwarły się szeroko. Do mrocznego przedpokoju wpadł

snop dziennego światła. Widok, jaki się otworzył do wnętrza pokoju, nie nastrajał optymistycznie. Na środku podłogi wałały się plastikowe opakowania, pod ścianą stało odrapane biurko bez jednej nogi. Weszli dalej. Nastawieni na spotkanie z gromadą tajnych agentów, a przynajmniej w najgorszym wypadku z androidowym urzędnikiem i panią, która tu przed nimi weszła, a dotychczas nie wychodziła, przeżyli niemiłe rozczarowanie. Ogromne pomieszczenie, które najwyraźniej biegło wzdłuż całego korytarza przemierzonego przez nich przed momentem, było zupełnie puste.

– I gdzie ona jest? – pytanie miało charakter retoryczny. – Chyba głupio zrobiliśmy, pchając się tu razem – powiedział Ulg.

– To był twój pomysł. Mam ją cały czas na ekranie tutaj. Jakby się nie ruszała.

Przemierzyli pomieszczenie wzdłuż i wszerz. Okna wychodziły na podwórze. Było ich pięć. Pięć olbrzymich okien – dokładnie tyle zajmowała kamienica od frontu. Ale czy front musi odpowiadać tyłowi? Postanowił jeszcze raz je obejść. Co kawałek ostukiwał ściany. Odnalazł źle zamalowane miejsce po wyburzonej ścianie działowej, ale poza tym nic podejrzanego. Kobieta zniknęła.

– Zniknęła?! – krzyknął do Ulga, który badał zawartość pustej szuflady biurka.

– W każdym razie nie wychodziła. Jest na ekranie GPSa, może wyskubała sobie znacznik – ale to wymaga skalpela! Zauważyłeś, że okna są zakratowane, chociaż to trzecie wysokie piętro?

– Owszem. Jeżeli ktoś tak się zabezpiecza, to musi mieć coś cennego! – Kopnął plastikowy worek. – Albo coś do ukrycia. W każdym razie teraz już nic tu nie ma. Nie mamy czego szukać. Zrobiła nas na szaro.

– A kto nas wpuścił? – zapytał Ulg.

– Kto? – Jan ruszył ku drzwiom. – Pewnie fotokomórka. Trzeba to sprawdzić.

Wyszli z pokoju w chwili, gdy za oknem zaczęło się ściemniać. Nad miasto nadciągały grube czarne chmury zapowiadające deszcz.

– Będzie lało – zauważył melancholijnie Ulg Apollo.

– A może jest w którejś z szaf? – Jan zatrzymał się przed wielkim meblem i wgapił się weń, jakby się spodziewał, że za dębowymi drzwiami czai się stado agentów. Przyskoczył do szafy i szarpnął. Drzwi oderwały się od zawiasów i byłyby go niechybnie przygniotły, gdyby nie interwencja Ulga Apollo.

– Nie znajdziemy tu nikogo – stwierdził. – Trzeba się było uczyć ze starych filmów. Popełniliśmy dwa błędy, jeden po drugim.

– Jakie? – Jan zaglądał we wszystkie zakamarki pomiędzy meblami, otwierał drzwiczki co większych biurek, wczołgiwał się pod stoły.

– Najpierw uwierzyliśmy w nieomylność GPSa i nikt nie został na dole pod bramą, potem nikt nie został przy drzwiach. Chodźmy stąd, to nie ma sensu.

– Racja – stwierdził Jan. – Zastawiła pułapkę. Kiedy odszedłeś, zeszła do któregoś z mieszkań niżej. Jednak musiała nas widzieć, cały czas uciekała przed nami świadomie. Jak tu weszliśmy, wtedy spokojnie się oddaliła. Założę się, że piętro niżej znajdziemy wydłubany znacznik. – Jan otrzepał ręce i ubranie z kurzu oraz tynku, który chrząścił pod nogami. Skierowali się do drzwi, obrzucając puste mieszkanie ostatnim spojrzeniem. Kiedy Jan zamierzał właśnie nacisnąć klamkę... okazało się, że od środka żadnej klamki nie ma!

– Pułapka! – wycedził Jan. – Pułapka i to nie byle jaka. Nie ma klamki.

– Pokaż. – Ulg musiał się sam przekonać, uważnie zlustrował całe drzwi i ich okolicę.

– I co teraz?

– Spokojnie – powiedział Jan – może to coś prostego, może znajdziemy fotokomórkę? – Jeszcze raz opukali ścianę przy drzwiach, ale ani śladu instalacji nie było widać.

– Może być równie dobrze zewnętrzna – odezwał się z podłogi Ulg, który lustrował nadproże. Wstał. Patrzyli na zaporę, która przed nimi niespodziewanie wyrosła, i nie bardzo wiedzieli, co dalej.

– Porozmawiajmy z Hanah – zaproponował z braku lepszego konceptu Jan. Wywołał ją przez ręczny inffon. Dłuższy czas czekali na sygnał zwrotny. Bez rezultatu. Ponawiał próbę kilka razy. Nic. – Cóż tam się dzieje, u licha, nie ma ich?! – poczuł się niewyraźnie. Nie było to zdenerwowanie ani tym bardziej rozstrój, ale lekka panika. Przyszło mu nagle na myśl, że w czasie ich nieobecności, którą sprowokowano specjalnie, obie dziewczyny zostały zaatakowane, uprowadzone, i teraz obezwładnione nieznani sprawcy uwożą transplanetykiem do Zeusville. Zeusville? Dlaczego właśnie tam? Dlatego, że Zeusville powtarzało się za często, częściej, niżby to wynikało z rozkładu krzywej prawdopodobieństwa.

– Tylko bez paniki. – Ulg nerwowo strzelił palcami. – Spróbujmy się połączyć z automedem. To będzie dobry test. – Ulg wcisnął czerwony guzik na swej bransolecie i przez chwilę czekali na sygnał zwrotny. Sygnał niepokojąco długo nie nadchodził. I nie nadszedł w ogóle.

– Nieprawdopodobne! – krzyknął Jan. – Przecież automed

musi się zgłosić na wezwanie, a czerwony to zagrożenie życia?!!!

To była prawda. Zaraz po wciśnięciu czerwonego guzika powinien się być włączyć uspokajający głos nakazujący zachowanie pozycji leżącej, wykonywanie głębokich, regularnych wdechów i wydechów oraz recytujący całą szkołę pierwszej pomocy.

– Ekranowane – powiedział Ulg z westchnieniem. Popatrzył z nienawiścią na ściany pomieszczenia. Jan ujrzał je teraz zupełnie inaczej. Przestały być zwykłymi ścianami zdemolowanego lokalu, który nadaje się do remontu. Lokal również przestał być zwykłym lokalem. Mieszkanie przy Pogodnej Wiosny 64 na trzecim piętrze pseudorenesansowej kamieniczki było dla niego teraz nie tylko pułapką wykorzystaną przez jakąś kobietę, stało się dużo groźniejsze, stawało się wręcz przerażające, wyglądało na zbrojny fort, w którym można kogoś nawet zamordować bez wiedzy automatu!

– Przecież to jest zabronione! – powiedział Jan, rozglądając się po suficie i kątach, jakby się spodziewał, że czai się tam lufa jakiegoś promiennika.

– Jak widać, mają gdzieś takie zakazy. Może przez okna, po gzymsie?

– Zakratowane – stwierdził Jan. – Daliśmy się złapać jak myszy na kawałek sera. Pewnie w najśmielszych snach nie przypuszczali, że wpakujemy się im tutaj obaj. – Usiedli na zabytkowym stoliku pokrytym warstwą kurzu.

– Pozostaje czekać na dziewczyny. – Ulg pokręcił głową. – Dobrze by było przedstawić ten lokal specjalistom z Oddziałów.

– Jeżeli one w ogóle przyjdą. – Jan wpadł w nastrój pesymistyczny.

– Tak, tylko że co nam by to dało – Ulg pogrążony był

w swoich rozważaniach. – Na pewno całe to towarzystwo jest jedną wielką lipą. Wyprą się. Lokal wygląda na nie używany od dawna.

– Może rozwalić ścianę?! – kombinował Jan. – Tylko na tyle, żeby przebić tę izolację i nadać sygnał.

– Bez sensu – powiedział Ulg. – Te szyby w oknach wyglądają na zwykłe szkło, ale założę się, że ich nie rozbijesz i jak widać, nie przepuszczają fal radiowych. Wyobraź sobie, jakie muszą być ściany. Ile jeszcze czasu?

– Prawie pół godziny. Dwadzieścia dwie minuty.

– Poczekajmy.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, ale Jan nie mógł długo wytrzymać tej napiętej niepewności. Wstał i zaczął krążyć. Nagle zatrzymał się przed Ulgiem.

– Masz umklajder?

– Mam i co z tego?

– Nie ma tam we wsadzie jakiegoś infraciała, które by z drewnem dawało powietrze?!

– Bardzo ładne wyjście. Tylko zapomniałeś, Janie, że to wszystko nieprawda. Nie ma żadnego wsadu w moim umklajderze. Owszem, według Impostera jest takie ciało: infranikiel zamienia drewno dębowe w powietrze morskie, a drewno bukowe w powietrze górskie, ale jeżeli nawet byłaby to prawda, to na razie tylko teoretyczna.

– A co by się stało, gdyby to była substancja drewnopodobna? Plastik? Czy Lügen Imposter miałby radę na wszystko, na każdą okoliczność?

– Taaak – westchnął Ulg. – On znalazłby radę na najgorsze tarapaty. Plastik? Proszę bardzo: sok infraaloesowy rozpuści każdy plastik! Żelazobeton? Proszę: infraneonem przemienisz

go w beczkę lodowatego piwa! Drzwi pianidowe? Czemu nie: naciśnij guzik 126, a potem śmiało naprzód, tylko uwaga: przechodząc przez dziurę wstrzymaj oddech, bo powietrze, które powstanie, będzie się składać z tlenu z domieszką gazu rozweselającego!

– Swoją drogą Fairsighter ma wyobraźnię!

– On twierdzi, że to wszystko prawda.

– Prawda? Myślisz, że czytał tego „Ucznia czarnoksiężników”? Infor mi powiedział, że Imposter powołuje się na tę książkę w bibliografii. Sprawdziłem. Zgadza się.

– Nic o tym nie słyszałem. On mówi o swojej książce niechętnie. Twierdzi, że nie mógł się podpisać własnym nazwiskiem, bo idee nie są jego własne. Pochodzą z przeszłości.

– Więc jednak musiał ją mieć! – Jan znów zaczął krążyć po korytarzu.

– Twierdzi, że napisał „Od Inno Johnstone’a do współczesnego umklajdera” dzięki prekognicji.

– Nie bardzo rozumiem zasady prekognicji.

– To jasnowidzenie do tyłu. Pewnie nie miał tej książki teraz, tylko wyczytał to z niej, cofając się.

– Podróżował w czasie?!

– W pewnym sensie. Prekognicja to podróż w czasie do tyłu, tyle że nie całej osoby, a jedynie jej astralu, ektoplazmy.

Zamilkli. Czas włókł się niemiłosiernie powoli. Jan zerknął na inffon. Jeszcze dziesięć minut. Czy w ogóle przyjdą, to jest pytanie! Bezruch był zupełnie wbrew jego naturze. Kombinował nieustannie. Jego umysł, nawet wbrew woli sparaliżowanej niesamowitością sytuacji, nie ustawał w pracy. Przyszło mu nagle na myśl, że przecież prawdziwy „umklajder” mógłby się okazać nawet skuteczniejszy niż umklajder Impostera, skoro

burzy jądra atomów!

– Jeżeli twój umklajder rozrywa atomy i je przekształca, to chyba możesz zdemolować te drzwi – powiedział nagle.

– Czyś ty oszalał?! Myślisz, że noszę w kieszeni bombę termojądrową?! To są zupełnie inne procesy. Swobodna, powolna rotacja! Wiesz, co to powolna rotacja?

– Nie, ale mamy tyle czasu, że możesz mi to wyłożyć lepiej, niż to zrobi w przyszłym semestrze Dual.

– Właściwie to nieważne. Nie będę cię zanudzał. Wiedz w każdym razie, że przez iluzję nawet mysz się nie prześlizgnie. To jest tylko naruszenie równowagi naturalnej i wprowadzenie w jej miejsce innej, chwilowej równowagi sztucznej, zastępczej. Jak by ci to unaocnić?... – zastanawiał się. – To jest tak, jakbyś koło ze sprężystego drutu zgiął w ósemkę. Nie ma już koła, nie ma zera, jest ósemka. Zero równa się osiem, oto pełna iluzja. Ale odejmij tylko umklajder i wszystko powraca natychmiast do normy.

– Rozumiem, ale zero ma inny kształt. Obok tego miejsca, gdzie brzuszki ósemki zbiegają się w jeden punkt, tworzy się przesmyk, wolne pole! – powiedział Jan.

– Patrzysz na to niewłaściwie. Niewłaściwie, bo geometrycznie. Trzeba patrzeć matematycznie. Byłoby to piękne, cudowna myśl, tylko że w przyrodzie nie ma takich cudów. Tam nie ma pustki. Za to jest napięcie elektromagnetyczne. Tak zwany blok plazmatyczny. Plazma po prostu.

– I nie da się przez nią... tego? – Jan wykonał ruch, jakby się prześlizgiwał przez dziurkę od klucza.

– Nie da się. To jest twardsze od stali i ma duże napięcie elektryczne. Lepiej nie dotykać, chociaż jest niewidzialne. Widać

to dobrze już w promieniach X, a najlepiej w gamma. Kiedyś ci pokażę, jeżeli oczywiście kiedyś stąd wyjdziemy.

Tym razem jego westchnienie było cięższe niż najcięższy głaz.

– Wychodzi na to, że nie możesz tych drzwi zamienić w królową śnieżkę? – stwierdził Jan.

– Nie. – Ulg zaśmiał się. – Mogę utworzyć tu przejrzysty, parocentymetrowej średnicy wizjer tak jak w Komorze Wiecznie Lewitujących. Nic więcej.

– Mam gdzieś takie iluzje. – Wykrzywił się zawiedziony Jan. Znów umilkli. Każdy myślał o czymś innym. Jan o książce Impostera, która była tak piękna, że człowiek wolał ją niż szarość życia. Dual miał rację. Najbardziej iluzjonistyczna teoria iluzji. Ulg myślał zaś tylko o tym, czy ich odnajdą wcześniej, niż zdechną z głodu, czy też pomoc, jak kiedyś do zagłodzonych krajów świata, przyjdzie za późno.

– Chyba nigdy tu nie przyjdą – powiedział Jan, jakby czytając w jego myślach i w tej sekundzie rozległ się brzęk i drzwi odskoczyły, a w szparze ukazało się niebieskie przerażone oko Hanah Lamur. Stały tam obie. Hanah i Kinky.

– Jesteście!!! – wykrzyknęli wszyscy czworo.

– Miałam duszę na ramieniu, jak dotykałam tego dzwonka – powiedziała Hanah, kiedy już schodzili po schodach.

– Nie docenili nas – stwierdził Jan z satysfakcją. – Bałem się, że zaraz po nas uruchomiona zostanie blokada. Komputer mógł zmienić kod po naszym przejściu. Coś takiego bezbłędnie by nas wykończyło.

– Obawiam się, że doskonale o nas wiedzą i że wcale nie chcieli nam zrobić krzywdy – powiedziała Hanah.

– Ostrzeżenie? – powiedział Ulg.

– Coś w tym rodzaju.

– Chyba masz rację – stwierdził Jan. – Rozszyfrowali nas i z całego tego śledzenia nic nie wyjdzie. Trzeba zawiadomić Kayano.

Kiedy wyszli na zewnątrz, było prawie zupełnie ciemno. Latarnie zapalały się automatycznie jedna po drugiej, by rozproszyć mrok, jaki kładła olbrzymia chmura.

– Co to, koniec świata? – zapytał żartobliwie Jan.

Zerwał się wiatr. Nieliczni przechodnie trwożliwie spoglądali w górę i czmychali do wnętrza kamienic bądź pojazdów, byle nie pozostać na zewnątrz, kiedy lunie.

– Trzeba się skryć, bo za chwilę pourywa nam głowy – rzuciła Kinky.

Hanah stała wpatrzona w chmurę.

– Coś ci się w niej nie podoba? – zapytał Ulg. – Lepiej wezwę straż.

– Chyba zapytam inforu – powiedziała zamyślona Hanah – czy planowano na wpół do piątej burzę albo deszcz.

Infor kategorycznie zaprzeczył. Instytut Meteorologii w Aklaviku nie planował burzy, deszczu, gradobicia ani śnieżyicy. Powiedział też, że chmura nadeszła od północnego wschodu. Teraz wszyscy czworo przyjrżeli jej się bardziej podejrzliwie. Czarny całun, który nadciągał nad miasto, nie różnił się jednak niczym szczególnym od tysięcy podobnych chmur, które widzieli w ciągu swego życia. Nie można było wykluczyć, że jest to niekontrolowane zjawisko atmosferyczne. Aklavik nie wszystko potrafił zaplanować, a nawet często nie udawało mu się pewnych zdarzeń przewidzieć. Skuteczność prognoz wynosiła 85%, zaś inscenizacji meteorologicznych 45%. Do ideału było więc daleko.

– Myślisz, że to znowu ich sprawka? – zapytał Jana Ulg, który

śledził z obawą skłębioną czerń.

– Obawiam się... – powiedział Jan, ale nie musiał już kończyć. W jednej sekundzie z chmury lunęła lawina czerwieni. Nie była jednolita, zmasowana, podobna do tamtej mgły. To było coś innego. Wkrótce pierwsze języki szkarłatu dotknęły ziemi. Szkarłatne płatki?

– A niech to! – powiedział Jan ze zdziwieniem. – Czerwony śnieg!

Obserwowali żeglujące w dół szkarłatne ławice szarpane wiatrem.

– To nie śnieg – stwierdziła wkrótce Kinky.

Krawędź chmury zawadziła o miejsce, w którym stali, i po chwili wiedzieli już dokładnie. Ulica Pogodnej Wiosny w parę sekund pokryła się czerwonymi prostokącikami, skrawkami barwnego papieru. Jan schylił się i podniósł jeden z nich. Widniał tam równym czarnym drukiem trzysłowny napis: TANIEC SMOKA SAMOTNOŚCI. Stali, gapiąc się na setki spływających w nierównych podrygach karteluszków. Ulica w kilka sekund zacerwieniła się, jakby spłynęła rumieńcem wstydu. Przechodnie, którzy jeszcze przed chwilą zmykali gdzie pieprz rośnie, teraz wracali na trotuary, schylali się, podnosili zapisane bzdurnym hasłem papierki, medytowali nad nimi, patrzyli w górę na niestworzony obłok, który siał bezlikiem śmiecia. Jedni pytali drugich, czy to jakaś akcja reklamowa, jeżeli tak, to co właściwie reklamuje. Wkrótce z domów wysypały się tłumy tych, co przyglądali się dotychczas scenie bez specjalnego zainteresowania bądź w ogóle o niczym nie wiedzieli. Natychmiast włączyły się do akcji oczyszczarki, które bezbłędnie zidentyfikowały zanieczyszczenia jako pochodną celulozy i maszerowały chodnikami, wyciągając ku każdej karteczce swe

odkurzające prążkowane ryje. Żłobiły nierówne, wąskie ścieżki czystości w bezmiarze czerwonego bałaganu. Ich praca była z góry skazana na niepowodzenie, bowiem chmura wydzielająca ze swego wnętrza coraz to nowe prostokąty, które tysiącami opadały na miasto jak jakaś makabryczna szarańcza.

– Dosolili nam – powiedział Ulg i oparł się o latarnię. – Sieć BKCL NZGD będzie mieć używanie.

– Od biedy można by to uznać za akcję reklamową – stwierdził Jan.

– Gorzej, jak Urząd Miasta wystawi rachunek za sprzątanie śmieci po tej reklamie niczego – powiedziała Hanah.

Właśnie zajechał ich strad i Kinky wskoczyła do środka, zaś Hanah i Ulg napychali kieszenie dowodami rzeczowymi. Jan ociągał się z wsiadaniem, kontemplując pejzaż przykryty szkarłatnym woalem, szkarłatne chodniki, dachy, markizy, szkarłatne kosze, zadaszenie nad lampami, drzewa, krzaki, szkarłatne ławki, wykusze i przybudówki, szkarłatne pojazdy i kręcących się pomiędzy tym wszystkim szkarłatnych ludzi.

Nagle...

– Ulg! – Jan złapał Apolla za rękaw. Ten oderwał wzrok od płyt chodnika i spojrzał na niego zdziwiony. – Patrz! Tam! – Oczy Ulga powędrowały za palcem Jana. Natychmiast zerwał się z klęczek.

– Wsiadamy! Szybko!!! – rzucił do Jana i Hanah. Wskoczyli błyskawicznie do wnętrza stradu. Jakies dwieście metrów przed nimi kobieta w pulsującej eleganckiej sukience śmigła pochyłona pośród czerwonej zamieci ku wnętrzu zielonego Verayhera zaparkowanego na rogu ulicy. Jeszcze krok i zniknęła w środku. Natychmiast pojazd ruszył i nim zdążyli swemu stradowi wydać dyspozycje, już był za zakrętem.

– Szybko – rzucił Jan, który usiadł na miejscu kierowcy. – Za tym zielonym Verayherem[14]!

– Za którym? – zapytał beznamiętnie robokierowca. – Nie widzę tu żadnego Verayhera.

– Nie dyskutuj z nim – denerwował się Apollo – bo zanim ruszymy, upłynie kwadrans. Odbierz mu sterowanie!

– Masz prawko? – zapytała Hanah. Jan skinął głową. – Więc ruszaj, niech diabli biorą elektronicznych pilotów!

Jan z pewnym wahaniem przełączył dźwignię. Co prawda miał prawo jazdy, czym w dzisiejszych czasach niewielu zdołałoby się pochwalić, miał także świadectwo Szybkiego Pilotażu Raketowego, czym prawie już nikt nie mógłby się poszczycić, ale do tej pory prowadził samodzielnie zaledwie trzy razy, z tego raz jeden w ruchu miejskim.

– Tylko nas nie wypraw do Bozi – powiedziała Hanah z udanym przestraczem.

– Nie żartuj sobie – powiedział Jan tak poważnie, że wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Ruszyli dosyć sprawnie, choć może za ostro, ich Maiders niemal oderwał się od jezdni. Na rogu skręcili na zbyt dużej prędkości, tak że mało nie wypadli na lewy pas. Szkarłatna zamieć przerzedziła się, widać rezerwuar obłoku nie był niewyczerpany. Jechali, prawie nie patrząc na rozdyktowane grupki zbulwersowanych mieszkańców Krakatos, którzy pokazywali sobie nawzajem karteluszkę, gestykulowali, coś tłumaczyli, przekonując się najwyraźniej do różnych koncepcji, pokazywali perspektywy usłanych śmieciem ulic, alei, bulwarów, placów i mostów.

Zielony wóz, który śledzili, ukazał się na wzniesieniu wprost przed nimi. Stracili spory kawałek. Jan przyspieszył. Na szczęście

znajdowali się na prostym odcinku tranzytowej drogi, z której w pobliżu nie było żadnego zjazdu. Jan jeszcze raz docisnął przyspieszacz i pruli powietrze lekko uniesieni nad powierzchnią drogi. Gnali na złamanie karku, uprawiając slalom między potężnymi transstradami towarowymi i na szczęście nielicznymi w tej okolicy małymi, prywatnymi pojazdami. Z pobieżnej obserwacji przez okno pędzącego Maidersa można było nawet bez puszczenia HV wywnioskować, że początkowe zaskoczenie i zdziwienie przeradza się w oburzenie. Ludzie nie zamierzali potraktować zdarzenia lekko, z poczuciem humoru, ani też nie zamierzali pozostać bierni. Tylko dzieci zdawały się być zadowolone. Od razu znalazły receptę na czerwone karteluski. Napychały sobie nimi kieszenie, zbierały papierki na wyścigi, kto pierwszy, kto więcej, bądź po prostu puszczały śmieci z dymem w miejscach wyznaczonych na ogniska świąteczne.

Wkrótce udało im się na tyle zbliżyć do Verayhera, że dzieliły go od nich tylko cztery pojazdy, ale znajdowali się coraz bliżej Centrum. Niedługo lawirowanie okaże się zbyt trudne dla człowieka, choćby nawet posiadał rajdowe umiejętności zawodowca. Na pierwszym węźle skręcili w prawo i potem znów w prawo. Trzymali się dzielnie ogona zielonej zwierzyny. Ulg zapisał numer rejestracyjny, ale po sprawdzeniu wyrzucił go przez okno, powiększając powszechne zaśmieszenie. Przestało już „padać” i wiatr zamiatał teraz z prawa na lewo, z lewa na prawo, z tyłu do przodu, z przodu do tyłu ławicami „tańczących smoków samotności”.

– Połącz się z Cshortym, Kinky – rzucił Jan przez ramię, nie spuszczać oczu z umykającego Verayhera. Właśnie wykonał drobną sztuczkę ze zmianą pasa i wepchał się przed ciężki

transportowiec domu mody „TYTYLKOTY”, który go niemal w całości zasłaniał. Jan rozpaczliwie usiłował wykonać podobny skok, ale strady za nimi były nieczułe na wszelkie znaki, prawo pozostawało po ich stronie i pruły przestrzeń nieustępliwie. Zbliżał się kolejny zakręt. Jan zatrąbił ostrzegawczo i ryzykując stłuczkę, wtłoczył się między Gullersa z playboyem o nieobecny spojrzeń a sportowy oliwkowo-szary Pheumal z roztrajkotaną parą. Pheumal przyhamował tak ostro, że tamci dwoje z rozpędu zakotłowali się w antybezszałkach. Zanim się zorientowali, komu powinni wygrażać, Jan już ponownie zmienił pas, bowiem zielony ogar wykonał następną ewolucję, zamierzając opuścić główną drogę wbrew czerwonym błyskom, którymi mienił się ostrzegawczo pas zjazdu. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi znalazł się tuż za tym rączym psiskiem merdającym mu przed nosem beczelnie swym ogonkiem. Jedynie Ulg tym razem ucierpiał. Grzebał właśnie gorączkowo w kieszeniach i nie mógł się przytrzymać. Walnął głową w oparcie fotela Hanah.

– Czego tam szukasz? – zapytała Hanah, nie odwracając się.

– Krążka magicznego – wymamrotał, rozcierając czoło.

– Cshorty?! Mówi Kinky! – powiedziała Kinky. – Co myślicie o szkarłatnej śnieżycy?! Dobrze mówię, no nie – mrugnęła do Ulga. – Na pewno tak ją właśnie ochrzczą ci padlinożercy z HV.

– Kinky?! Cieszę się. Tylko nie wiem, o czym mówisz?!

– O czym mówię?! Czyś ty oszalał, całe miasto już wie, a wy nic?! Wyjrzyj przez okno!

– Nie mogę. Powiedz, o co chodzi, albo się wyłącz!

– Wyjrzyj za okno, inaczej nie zrozumiesz!

– Nie baw się, Kinky, tylko podaj mu nasze współrzędne i wiadomość dla Kayano – upomniał ją Ulg, który na podkładce

z zeszytu rozkładał swój magiczny warsztat, to znaczy krążek i szpikulec z pałeczki magicznej.

Kinky podała wiadomość Cshorty'emu i znów zaczęła nalegać, żeby wyjrzał przez okno.

– Do diabła! – ryknął rozzłoszczony Cshorty. – Co ty sobie wyobrażasz, że my tu śpimy?! Daj mi święty spokój z tym oknem! W archiwum nie ma okna.

– To przerwijcie na chwilę i wyjdźcie na zewnątrz. Dobrze wam zrobi minuta relaksu wśród czerwieni – ciągnęła uparta Kinky. – Mówię ci, że warto. Połącz się z nami, jak wrócisz.

Jan znów dodał gazu. Skręcali w coraz węższe przecznice i kobieta w zielonym Verayherze, nawet jeśli nie wiedziała dotychczas, że jest śledzona (w co należało bardzo wątpić), teraz musiała się już o tym przekonać.

– Całe szczęście – powiedział Jan – że nie wybrała drogi do Centrum, bo tam by nas zgubiła w pięć minut.

– Obawiam się – odezwała się Hanah – że wcale nie chce nas jeszcze zgubić, i że wymyśliła coś znacznie zabawniejszego. Wiesz, dokąd prowadzi ta trasa?

– Nie.

– Do Semabiryntu Jaźni[\[15\]](#).

– Oni tam nic nie wiedzą, czy to nie dziwne? – paplała rozentuzjasmowana Kinky, którą ten pęd podniecił.

– Nic a nic!

Na jasne policzki wyszedł jej wiśniowy rumieniec, a oczy błyszczały.

– Czerwony, karminowy, bordowy, wiśniowy, różowy – mruzczał do siebie Ulg wypisując na okręgu litery alfabetu łacińskiego.

– Kiepsko – wysapał Jan, biorąc ze świstem stateczników ostry

wiraż.

– Co? Że nie wiedzą?! – zainteresowała się Kinky.

– Że jedzie do semabiryntu! – powiedział do siebie. – Zawsze starałem się go omijać. To nie jest zabawa dla mnie.

– Jakby o tym wiedzieli – stwierdziła Hanah. – Ja to nawet lubiłam kiedyś. Coraz bardziej interesująca rozrywka. – Poprawiła się w fotelu i zaczęła pilnie śledzić poprzedzający ich pojazd.

– Buraczkowy, amarantowy, ceglasty, zgniłoczerwony – szeptał Ulg Apollo, spoglądając za okno nieobecny wzrokiem.

Odezwał się sygnał połączenia, a rączy seledynowy chart wykonał kolejny zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, zanurzając się w ulicy Zygmunta Freuda.

– Jednak. Jeszcze miałem nadzieję, że gdzieś skręci – jęknął Jan. Ta ulica prowadziła tylko w jednym kierunku, wprost w bramy semabiryntu. Wyjazd z tego koszmaru znajdował się dokładnie na przedłużeniu i zwany był ulicą Otto Ranka, ale żeby się tam dostać, trzeba było przebrnąć przez galimatias semabiryntowych tuneli.

– Świetnie. To mi się podoba! – zachwyciła się Hanah. – Zabawimy się, spryciaro, i nie myśl, że ci się łatwo uda! – wykrzykiwała do niewidocznej nieznajomej.

– To ty, Cshorty? – odezwała się Kinky, odbierając połączenie.

– Ja! Gdzie, u diabła, jesteście?! Na Róży Wiatrów nikogo nie ma!

– Przecież podałam ci współrzędne. Pędzimy rozklekotanym Mairsem za rączym ogarem, który poszedł w las, słowem śledzimy jedną z naszych podopiecznych.

– Wszyscy?

– Wyjaśnimy to później.

– Słuchaj, Kinky, jeszcze raz nam przeszkodzisz, a zażądam nagany dla ciebie albo osobiście obetnę ci uszy i zrobię z nich galaretę.

– Czego ty chcesz?! Za to, że dzięki mnie zobaczyliście, co się dzieje, powinniście mnie raczej całować po rękach. Gdyby nie ja, tkwilibyście w beznadziejnej nieświadomości. Gdzie twoja rycerska dusza, Cshorty?! Zachowujesz się zupełnie, jakbym to ja specjalnie rozsypała te karteluszkę, żeby wam przerwać robotę!

– Mów jaśniej. Jakie karteluszkę?

Przez chwilę Kinky milczała, usiłując zrozumieć intensywnie, co się dzieje.

– Więc u was nie spadły szkarłatne karteluszkę z napisem „taniec smoka samotności”?!
– Karteluszkę z napisem?! A gdzie spadły?!?! Czy wy w ogóle jesteście w Krakatos?! A może gdzieś indziej na którejś z planet, najprędzej Mars, co?!?!

– Człowieku, całe miasto tonie w śmieciach. Miliony tego spadły z jakiejś chmury piętnaście minut temu!! To wy jesteście na jakiejś innej planecie! Oddelegujcie ludzi, żeby śledzili program HV!!!

– Ona ma rację, Cshorty – włączył się Jan. – Nagrywajcie program. Miasto jest zasypane tymi kartkami. To nowy atak.

– Chyba macie rację, że jestem na jakiejś innej planecie. A może w czasie równoległym. U nas nie ma ani jednego papierka! Teren Akademii jest czysty jak łąka!

– Co? – teraz po drugiej stronie miał miejsce wybuch zdziwienia.

– Rozumiem – powiedział Jan. – Teraz wszystkie podejrzenia skierują się na PsiAk. Co robi Senat?

– Obraduje.

– Zawiadam ich o nowych kłopotach. Wyłączam się, bo ta cholerna baba wpakowała nas właśnie w semabi... – połączenie nagle padło, bowiem semabirynt pochłonął fale.

Ostry łuk wprowadził ich w zupełnie inny świat. Dostrzegli jeszcze tylko wielkie litery ostrzeżenia: UWAŻAJ – JEŻELI NIE WYŁĄCZYŁEŚ AUTOPILOTA, ZOSTANIE ON WYŁĄCZONY SAMOCZYNNIE. W pełnym pędzie przejechali linię startu. Kolor drogi zmienił się na żółty. Przed nimi wyrosła rozdziawiona, wielometrowej wysokości gardziel z ostrymi stalowymi zębami, które opadły tuż za tyłem ich Maidersa, wydając przeciągły świst. Zostali odcięci od normalnego świata i dziennego światła. Teraz istniała tylko czerń i żółte pasmo drogi, i zielony Verayher tuż przed nimi. Po stu metrach znaleźli się na pierwszej platformie złożonej z wielkich liter M, A, R.

– Mar... – zastanawiała się Hanah. – Marynarz, Marsjanin, Marność, Margiel?

– Margiel i marność były z małej litery – powiedziała od niechcienia Kinky – ale czuję, że i tak ich zgubimy.

– Chyba musi znać dobrze semabirynt, skoro zdecydowała się tutaj nas zgubić? – Jan stracił całą pewność siebie, o ile w ogóle ją do tej pory posiadał.

Pięć tuneli oznaczonych różnymi kolorami rozchodziło się promieniście od tego placyku. Biały, czarny, niebieski, fioletowy i brunatny. Verayher bez wahania wjechał w czarny tunel. Absolutna ciemność widać była mu na rękę choćby i kosztem karnych punktów. Jan, nie zwlekając, ruszył w tym samym kierunku. Najważniejsze było nie stracić ich z oczu. Jeżeli będą popełniać te same błędy co przeciwnik, to wciąż będą razem niezależnie od tego, ile karnych pętli przyjdzie im przebyć i jakie katusze będą musieli przejść w czyścicach.

– Co robisz, głupi?! – Hanah usiłowała go powstrzymać, ale za późno. Przednie koła zjechały już z platformy i gdyby przyhamowali, automat popchnąłby ich do przodu, a gdyby wyłączyli silnik, próbując zablokować pas, to potoczyliby się na rolkach umieszczonych od spodu, ze stałą prędkością 40 km/h. Z semabiryntem nie było żartów. Ktoś mniej inteligentny mógłby stracić i parę tygodni, błakając się między sylabami i pojedynczymi literami. Mogło to trwać aż do wyłączenia urządzeń dla kolejnej zmiany programu i założę się, że nikt nie podałby im pomocnej dłoni. Wyjście zaś było tylko jedno. Trafiało się doń, wyłączając aktualnie obowiązujące hasło dnia zmieniane co dwadzieścia cztery godziny. I to pod warunkiem, że się do tego hasła najpierw dojechało. Każdy błąd oznaczał zjazd z prawidłowego szlaku, karne punkty i skierowanie na karną pętlę. Pętla zaś mogła się okazać „czyścem”, „wyżymaczką”, „halucynotropem”, „ścianą płaczu”, „rzeźnią urojeń”, „bramą raję” albo zupełnie nieznaną „atrakcją”. Trzeba było znosić te atrakcje po męsku i starać się jak najszybciej wrócić na trasę. W ich wypadku taka strata czasu oznaczać musiała zgubienie śledzonej kobiety. Jan włączył reflektor, zanurzając się w czerń. Ale lampy nie rozproszyły ciemności, tylko zmieniły jej barwę na niebieską, połyskującą perlistymi odbłaskami żółtego światła reflektorów. Cała droga pogrążona była w tej lepkiej mgłę, przez którą wzrok nie mógł się przebić dalej niż dwa metry naprzód. Musiał zwolnić i posuwali się jak żółwie aż do następnej platformy, na której nie było oczywiście już śladu po zielonym krążowniku szos.

– Pozostaje nam nie popełnić żadnego błędu – powiedziała Hanah. – Złapiemy ją wtedy przy wyjściu albo będziemy tuż za nią.

– Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś bezbłędnie przejechał semabirynt – odezwał się sceptycznie Jan. – Co teraz?

Na platformie widniał napis YNARZ, a więc jak na razie trafili dobrze.

– Możemy teraz wybrać dowolnie nowe słowo – Hanah mimo woli obgryzała paznokiec. – Wjazd miał kolor żółty, a tutaj mamy cztery drogi: jasnozieloną, żółtą, pomarańczową i ciemnozieloną.

– Żółta albo pomarańczowa – powiedziała Kinky.

– Makowy, szkarłatny, karminowy, ognisty – wymruczał Ulg.

– Co mówisz, Ulg, że czerwony?!

– Szybciej! – ponaglił Jan, patrząc na migające sekundy zawieszonoego nad nimi zegara. – Jeszcze dziesięć sekund i dostaniemy karę!

– Chodzi mi o coś innego, Kinky – włączył się nagle Ulg. – To ważniejsze niż jakaś tam baba w Verayherze... Następny napis będzie bordowy.

– Jaki napis. Tutaj? O czym on gada?!!! – zdenerwowała się Kinky.

– Jedź w żółty – zdecydowała Hanah. Ruszył z kopyta na dwie sekundy przed końcem czasu. Znaleźli się na złocistej jezdni i pędzili pośród migających na przemian pomarańczowych oraz żółtych masek totemicznych, które wybałuszały na ich strad zdziwione jarzące się oczy. – Pomarańczowa też była dobra – stwierdziła z satysfakcją Hanah. – Ale to dopiero początek.

– Mówię o tych napisach pojawiających się w akademii – wrócił uparcie do swego Ulg. – Macie wiecznopsis? Następny ukaże się w kolorze bordowym i zawiśnie nad całym miastem.

– I będzie się składał z trzech słów? – dodał z nutą złośliwości Jan.

– Tak – potwierdził Ulg. Kinky podała mu wiecznopsis.

– Jeżeli mi powiesz, co to będą za słowa, to cię ozłocę, a jeżeli nie?... Jeżeli nie, to się lepiej wyłącz i nie przeszkadzaj!

– Nie wiem, co to za słowa, ale myślę, że zaraz się dowiem.

– Myśl, gdzie jechać! – Kinky szarpnęła go gwałtownie za rękaw, jakby chciała, żeby się opamiętał. Dojeżdżali do kolejnej platformy. Widniały wzdłuż jej boku trzy kolejne litery: Z, Ł, A. Zatrzymali się i zegar zaczął odliczać tym razem trzydziestosekundowy czas do namysłu. Jeszcze raz pięć tuneli. Czerwony, biały, czarny, żółty i brunatny.

– Czarny odpada, bo to są sylaby rzeczownika, a teraz nie zapowiada się rzeczownik – myślała głośno Hanah.

– Żółty też – powiedział Jan – bo to jest łącznik między wolnymi wyrazami. – Popatrzyły na niego z uznaniem. Tylko Ulg nie odrywał się od magicznego koła. Jan spojrzał przez ramię, co on tam wyprawia. Kręcił krążkiem zamocowanym centrycznie na umklajderze i litery, które się zatrzymały dokładnie na północy wyznaczonej przez kompas jego bransolety inffonowej, zapisywał z boku na kartce. O,W,A, Ł,U,Ż,B,Y,E, Z,P,I.

– To jakiś bełkot! – wrzasnął zdenerwowany.

– Przestańże, Ulg. Mamy jeszcze piętnaście sekund!!!

– Zła..., zła..., złamał, złapał, złagodniały, złapany – mówiła Hanah. – Niezbyt wiele możliwości. Czasownik albo przymiotnik, orzeczenie albo określenie rodzaju.

– Blisko rzeczownika... – Kinky myślała tak intensywnie, że się jej aż zjeżyła blond grzywka. Kinky nie była zbyt inteligentna. Za to dysponowała niezłym psitalentem jasnowidzącym.

– Przydałby nam się lingwista – powiedziała Hanah.

Ulg tymczasem, nie zważając na panikę i zewnętrzną sytuację, dopisał kolejne litery: E,C,Z,E,N,S.

– Czas się kończy – Jan wcisnął gaz.

– Bierz brunatny! – krzyknęła Hanah i runęli w brunatny otwór z piskiem opon. Po pięćdziesięciu metrach zaledwie minęli automatyczny bar i mały parking, na którym stało kilka pojazdów. Nie dostrzegli jednak wśród nich stradu, którego szukali. Kilometr dalej i wyżej (bo wspinali się krętą spiralą) znaleźli koniec słowa, który brzmiał: P,A,Ł. Prowadziły od niego jedynie trzy wyjścia. Żółte, zielone oraz białe. Pech chciał, że pomylili się właśnie tu. Jan uważał, że powinni znaleźć teraz przyimek i trzeba jechać białą drogą, ale Hanah i Kinky uparły się, żeby jeszcze raz wybrać żółtą. Intuicja podpowiadała mu, że żółta nie może prowadzić gładko ku rozwiązaniu. Bezbłędna nieskończoność musiała się okazać pułapką.

Kiedy tylko wjechali na nią, wiedział już, że jest źle. Najpierw pojawiły się przezroczyste senne mary, potem wyjące widziadła i realne niemal postacie wyskakujące tuż przed maskę. Rozpierzchały się dopiero, gdy je przecinali, ukazując swą prawdziwą fantomatyczną naturę – głupio najeżdzać człowieka, nawet jeśli się wie, że Program czuwa i nie dopuściłby do czegoś podobnego. Potem podwoziem zaczęło trząść na wybojach, tunel się obniżył, tak że nie mogli się wznieść nad grunt, wreszcie kamyczki przemieniły się w coraz większe głazy, by w końcu zatrzymać ich. Musieli wysiąść, żeby odwalić wielki skalny odłamek, który tarasował drogę między ostrymi górskimi zboczami. Tylko Ulg nie wysiadł zbyt zajęty swymi literkami. Okazało się, że nie jest najgorzej, bo droga zawróciła na poprzednią platformę. Po chwili ujrzeli znów litery P,A,Ł i mogli ponownie ruszyć. Przy ryzyku mniejszym o 30% jeszcze raz próbowali szczęścia. Gorzej, gdyby ich tamta droga skierowała na zupełnie fałszywy szlak. Wtedy mogliby jechać godzinę lub dwie, łamiąc sobie głowy i po tym czasie dopiero się

zorientować, iż są z powrotem w jednym z punktów, w których już byli. Tym razem bezbłędnie trafili do następnego fragmentu, WIEW, ale czas stracony na polnej drodze był nie do odrobienia.

Kiedy po dalszych dwóch godzinach wydobyli się na drugim końcu z semabiryntu, nie znaleźli tam śladu po Verayherze, a infor, któremu podali dokładnie numery rejestracyjne i który stał tu specjalnie po to, by łączyć pogubione pary i rozłączone lingwistyczną przygodą towarzystwa, poinformował ich, że zwierzyna wymknęła się przeszło pół godziny przed nimi. Na dodatek bezczelna elegantka z Verayhera zostawiła im wiadomość, która brzmiała dość impertynencko: GOODBYE MY FRIENDS. Jedynie Ulg nie wykazał żadnych oznak złości czy zawodu. Spokojnie dopisał na samym końcu swojej karteczki trzy ostatnie literki. Były to litery tworzące archaiczną formę dzierżawczą: T,W,A.

Kiedy wrócili na Róży Wiatrów, czekał tam na nich mistrz Kayano. Jan zrozumiał, co zaszło. Nie mylił się. Cała eskapada za mieszkanką apartamentu 101 została ukartowana. W tym czasie zjawił się szkarłatny deszcz, a dwie pozostałe panie wystrzępiły sobie języki w HV i już zapewne znajdowały się, po nagraniu nienawistnego PsiAkowi teledysku, w drodze z Luny gdziekolwiek.

S. Bez dna

- Nie powinniście się o nic obwiniać – powiedział mistrz Kayano.
- Prawdę powiedziawszy wasze zadanie polegało na czym innym, niż wam się zdawało. Muszę was przeprosić, bo użyliśmy was nieco instrumentalnie. Głównie chodziło nam o to, by związać na waszych osobach uwagę przeciwnika.

– I co, udało się? – Jan nie mógł się pozbyć wrażenia, że Kayano nieustannie prowadzi jakąś podstępłą grę. Bez przerwy ich oszukiwał!

– Owszem. Choć nie do końca. W każdym razie teraz nasi jasnowidze mogli ustalić już więcej szczegółów. Możemy się stąd wyprowadzić. W katedrze Mroka doszli do wniosku, że apogeum już minęło. To znaczy apogeum wydarzeń. Przed nami apogeum konsekwencji.

– Czy to znaczy, że nie będzie więcej napisów?! – zmartwił się Ulg wgapiony ciągle w swą bezsensowną kartkę z literami. – Wydawało mi się, że powinien być co najmniej jeszcze jeden. W kolorze bordowym.

– Być może będzie – powiedział Kayano. – Ale to już bez znaczenia. Jeżeli do jutrzejszego południa nie uda nam się zidentyfikować przeciwnika, to i tak wszystko zostanie zaprzepaszczone. Osiągną swój cel. Urząd Miasta i Prezydent Krakatosu postawili nam przed godziną ultimatum. Jutro w południe musimy złożyć wyjaśnienia przed Radą Miejską. Zostanie przeciw nam wdrożone śledztwo. Niedługo, to znaczy o dwudziestej, profesor Mrok ma przyjąć inspektora Oddziałów Specjalnych. Żądają od nas udostępnienia materiałów na temat ostatnich eksperymentów.

– Ależ to narusza nietykalność uczelni?! – powiedziała zaskoczona Hanah.

– Ta nietykalność – powiedział jej ze smutkiem mistrz – tak naprawdę nigdy i nigdzie nie była szanowana. Jeżeli nie gwałcono jej oficjalnie, wdzierając się do sanktuariów nauki przemocą, to gwałcono ją inaczej, za pomocą nacisków finansowych i politycznych, inwigilacji, podsłuchu, podstępów.

– Zdawało mi się, że posunęliśmy się trochę naprzód

od Rewolucji Ekologiczno-Humanistycznej – stwierdził Apollo.

– Młodość jest mało wnikliwa, za to idealizuje łatwo rzeczywistość. Takie jej prawa, które wynikają z braku doświadczenia. Dorosłejecie teraz w przyspieszonym tempie, moje dzieci, i wkrótce z pewnymi faktami będziecie musieli się pogodzić.

– Nie ma mowy! – powiedział twardo Jan.

– Nigdy – stwierdziła Hanah.

– Nie pogodzimy się z czymś takim! – rzekł Ulg Apollo z ognistym błyskiem w oku.

– Ileż pokoleń mówiło przed wami te słowa – mistrz Kayano byłby się zapewne rozrzewnił, gdyby nie to, że brakowało na podobne sentymentalizmy czasu. – Chodźcie. Czas jechać. Zrobiliście swoje, i to zrobiliście dobrze. Możecie teraz odpocząć do jutra albo jeżeli macie ochotę, wzmocnić grupę Fulla i Cshorty’ego. Ich program jest bardzo ważny.

– Spodziewa się pan, że to oni w archiwach odnajdą sprawcę tych makabrycznych żartów?

– Nie. Ale mogą bardzo pomóc, eliminując pewne instytucje podejrzewane przez jasnowidzów i astrologów. Wciąż nie ma jasności co do źródeł obecnego ataku na PsiAk. Powoli liczba potencjalnych napastników się zmniejsza, ale wciąż jest ich za dużo i brak jakiegoś zdecydowanego dowodu, który by można zademonstrować światu.

Zebraли swoje rzeczy i wyszli na korytarz. Ulg zamknął drzwi. Dziwne było opuszczać to miejsce, to piętro, na którym do niedawna znajdowało się coś w rodzaju hotelu prowadzonego przez ich nieuchwytnego przeciwnika, miejsce, gdzie mieszkali ludzie wynajęci specjalnie do tego, by zniszczyć przyszłość Akademii. Ktoś, kto tak postanowił, musiał dysponować

nielichym funduszem. Sam zakres zjawisk, jakie starano się zaaranżować, by wywołać zamieszanie, imponował swoim rozmachem. Musiał budzić podziw i przestach, szacunek pomieszany z przerażeniem. Ale czyż istnieje na świecie i czy kiedykolwiek będzie istnieć choćby najpotężniejsze imperium, które pozostanie niezwyciężone? Czyż nie jest tak, że olbrzyma może pokonać i karzełek? Czyż Dawid nie zwyciężył Goliata? Przecież to fakt, że każdy Olbrzym olbrzymiejąc, rozrastając się, pęczniejąc, likwidując wrogów, obejmując we władanie coraz większe połacie, rozpręga się, rozpulchnia, gnuśniej pozbawiony przeciwnika, zużywa swe siły na bitwy z wrogiem urojonym, zastępczym z braku tego realnego? Czyż nie jest tak, że w końcu ze swej niebotycznej wysokości przestaje zauważać karzelki mikroby, które wnikają weń i powoli zarażają destrukcją? Czy rozrost nie ma granic? Wszechświat wyraźnie zaprzecza takiemu stwierdzeniu. Najsilniejsza gwiazda musi się wypalić, wybuchnąć lub zapaść w kolapsie. Największe imperium, kartel, konsorcjum bądź koncern, najsilniejsza władza podlega tym samym prawom co gwiazdy i najmniejsze atomy.

– Czy jest pan pewien, że tutaj nikt już nie mieszka? – zapytał Ulg Kayana, oddając klucze androidowi konsjerżowi, który kłaniał się nisko i życzył przyjemnego zamieszkania w innym cudownym miejscu.

– Sprawdziłem to, zanim przyszlście. Przynajmniej na razie jest pusto. Wszystkie trzy panie odleciały transplanetykiem o osiemnastej trzydzieści do Zeusville.

– Zeusville? – zastanowił się Jan. – Czy pana nie dziwi, że wszystkie nici prowadzą właśnie tam?

Mistrz Kayano, ich guru, góryta[\[16\]](#), nie odezwał się. Przywołał strad i pojechali na teren Akademii. Po piętnastu

minutach przecinali bezpieczne mury odgradzające ją od świata, mury, które okazały się za niskie, za mało warowne, by nie przepuścić potwarzy, pomówienia, ataku złości, zawiści i gniewu płynących z zewnętrznego świata.

W grupie Cshorty'ego nie było dla nich na dobrą sprawę miejsca. Każdy miał swoje zadanie i tylko zawadzali, płacząc się pod nogami zabieganych chłopców i dziewczyn przejętych swym posłannictwem, tonących w kilometrach informacji, nabijanych w obłądnym pośpiechu w kasetony hektarach folii, i wyrzucanych tonami z drukarek e-dokumentów. Fok Full zwłaszcza na widok Jana mało się ucieszył. Tylko Hanah był w stanie tolerować i to też nie za bardzo. Coraz bardziej podejrzewał Jana o romans ze swoją narzeczoną, i nie mylił się. W końcu był jednak jasnowidzem, choć kiepskim i niedouczonym. Catzy Herma powiedziała Janowi, że Fiola Tart chciała się z nim bardzo zobaczyć, jeżeli nie będzie się czuł zmęczony.

– Kto to jest? – zapytał.

– Pani docent od okultyzmu. Zdaje się, że ma ci ochotę zrobić jakiś test.

– Nigdzie nie pójde – powiedział, ale już po chwili, gdy bezsens kręcenia się po archiwum dał mu się we znaki, postanowił odwiedzić G-7 należący do wydziału spirytyzmu i okultyzmu. Jeszcze tylko umówił się z Kinky, Ulgiem, Hanah i Donem Derdanem, który podobnie jak oni plątał się bez zajęcia po zakurzonych pomieszczeniach archiwum.

– Za pół godziny, oglądanie kaset z HV, na których zarejestrowano ostatni atak.

G-7 był najbardziej ponurym z pałaców Akademii. Od zewnątrz bielusiańka jak pozostałe, wewnątrz minaretowa

kopuła budynku przypominała ponurą wieżę straceń, czarne wnętrza komina. Królestwo badań nad życiem po śmierci i doświadczeń z wywoływaniem duchów z zaświatów stanowiło mieszaninę czerni i szarości z małymi dodatkami bieli. Czerń „yin” przeważała znacznie nad bielą „yang”, a wszystko to poddane zostało filtrom zbudowanym na zasadzie mariażu bezbarwnej przezroczystości diamentowych kolumn z granatowymi posadzkami o głębokim szafirowofioletowym mrocznym odcieniu.

Jan wchodził w progi gmachu, czując głęboki respekt i lekkie ukłucia niepokoju. Nie potrafiłby określić źródła tych stanów. Czy była to świadomość bliskiego obcowania zatrudnionych tu ludzi z ciałami astralnymi, tajemnicą śmierci, czy tchnienie z Tamtego Świata, na którym każdy z nas w końcu musi się znaleźć i którego nikt z nas nie potrafi przeniknąć, poznać za życia, czy też podkreślona nawet murem gmachu magiczna więź ze starożytnością, z prehistorią cywilizacji zachowaną w kilku (maksimum kilkudziesięciu) strzępach i okruchach, lecz okruchach zawsze przesyconych rozważaniami na okultystyczne tematy? Nastroju dodawały niesamowite, staromodne portrety znanych mistrzów spirytyzmu z ubiegłych wieków, płaskie, szaro-czarno-białe, zrobione na modłę fotografii prymitywnej i zamknięte w potężnych granatowych ramach. Ich smutne, zamyślane twarze, głęboko zatroskane spojrzenia, ascetyczne rysy zdawały się mówić o wielkiej mądrości, mądrości zabarwionej niestety pesymistyczną pewnością końca każdej drogi. Wchodził na schody w asyście tych obecnych namacalnie, a przecież nieobecnych już od dawna mistrzów, pod czujnym okiem Roberta Allana Monroe, Einera Nielsena, Florence Cook, Jamesa Kidda, Carlisa Osisa, Bendta Hohenwolfa, Lindy Gazzera,

Pari Baru, Britana Gin Manyacka, mistrza zakonu Marynistów Czesława Czyńskiego, doktora Alexa Tonousa, Franka Kluskiego, wielkiego medium Christine Whiting, Myrthy Noel czy Ingo Swanna, Trentowskiego, Bogatskiej i dziesiątków innych. Zupełnie jak w jakiejś niesamowitej galerii sztuki fotorportretu, zagubiony wśród ciągnących się szeregami, zapewne aż po najwyższe piętra budynku, martwych twarzy. U szczytu tej drogi, w przestronnym holu na pierwszym piętrze, gdzie czekała na niego eteryczna docent Fiola Tart, rzucali swe zamglone spojrzenia dwaj najwięksi podobno i najbieglejsi w fachu bilokacji jogini hinduscy: Dadaja oraz Sri Sathy'a Sai Baba.

– Witam – powiedziała Fiola Tart. – Miałam nadzieję, że pan przyjdzie.

– Więc się pani nie zawiodła – powiedział.

– Nie chcę pana zbytnio męczyć. Ograniczyłabym się tylko do pomiaru pańskiego odu i gdyby pan zechciał, do drobnego doświadczenia, które nie zajmie dłużej niż dziesięć minut.

Rzeczywiście stało się, jak mówiła. Weszli do gabinetu pokrytego granatową tapetą w srebrne gwiazdki. Ten kiczowaty sztafaż nieco Jana rozśmieszył, ale docent Fiola Tart przywołała go zaraz do porządku, tłumacząc z powagą, że tego typu dekoracja ma znaczenie nie tylko dla nastroju, ale wręcz uaktywnia ciało astralne, czego dowiódł w swych doświadczeniach ponad wszelką wątpliwość Hermetus Rozenkreutz. W minutę Jan został oplątany elektrodami i drutami na fotelu, w którym go wygodnie położono. Pani docent zabrała się za pokrętła i przyciski na pulpicie odomierza.

– Dlaczego tak pani zależy na tym badaniu? – zainteresował się Jan.

– Mam swoje powody – powiedziała tajemniczo.

– Co to znaczy?

– Proszę się teraz nie odzywać, bo to zakłóca analizę czynników. – W świdrującej ciszy dźwięko- i energochłonnego pomieszczenia rozbrzmiewało teraz tylko regularne cykanie astrolokatora i pisk ektoplazmometrów. Po pięciu minutach pani docent nakazała mu wstać i poczęła zdejmować tę płataninę z jego ciała, odklejać przylepce, wyjmować igły i zrywać taśmy z czytników. Przyjrzała im się uważnie, po czym włożyła folie do teczki.

– I co? – zapytał, wkładając koszulę. – Jestem hipermedium wszech czasów?

– Nie – odpowiedziała poważnie, ignorując jego żartobliwy ton. – Ma pan tylko trochę wzmożoną emanację pola. Ponadprzeciętną, ale poniżej poziomu naszych zainteresowań.

– To znaczy, że rezygnujemy z doświadczenia? – chciał się jak najprędzej znaleźć w mieszkaniu Derdana i poznać relację z ostatnich wydarzeń.

– Nie rezygnujemy. Panu się gdzieś spieszy?

– Owszem.

– Niech się pan postara skupić. – Jej starcza twarz przybrała wyraz prosząco zatroskany. – Och, naprawdę, to tylko piętnaście minut. Widzi pan ten klosz? – wskazała na czarny walec umieszczony pośrodku okrągłego stolika, który zapewne wieczorami wirował, jak to sobie Jan natychmiast wyobraził.

– Widzę – podszedł bliżej urządzenia.

– Wewnątrz, na polu siłowym o obojętnym ładunku spoczywa piłeczka pingpongowa. Wejdzie pan do pomieszczenia obok, za ołowiany ekran i prześle pan tutaj swój perisprint, który przez ten mały otworek, o tu, wniknie do środka i poruszy piłkę. To wszystko. Piętnaście minut na koncentrację powinno

wystarczyć.

Jan przeszedł do pomieszczenia obok, gdzie za ekranem stał fotelik. Gdy zatrzasnęły się drzwi, natychmiast zaczął się skupiać. Granatowe ściany w gwiazdki poczęły mu falować przed oczami, to jaśnieć to ciemnieć, powiększać się, by zaraz potem zmaleć, i tak siedział, i wysilał się, by poruszyć piłęczkę, i nawet nie zauważył, że docent Fiola Tart jest już z powrotem.

– Bez sukcesu – powiedziała tylko. – Z pewnością nie jest pan Ingo Swannem.

Jan wstał. Koncentracja i wydatek energii okazały się zbyt dużą rozrzutnością.

Kiedy opuszczał gmach spirytystów, schodząc w dół tymi samymi schodami, odprowadzany przez milczącą wiekową Fiolę Tart, jego uwagę przykuł jeden z portretów odróżniający się od pozostałych jasnym tłem i niespotykanym ubiorem postaci. Mężczyzna miał na głowie czarną trójkątną czapkę i miał także wyłupiaste oczy, a dłoń wetkniętą za poję marynarki z epoletami.

– Zastanawia się pan nad nim? – zapytała pani docent, rozciągając usta w ostrożnym uśmiechu, jakby się bała, że bardziej gwałtowny ruch warg może spowodować nieodwracalne zmiany w jej pomarszczonej twarzy.

– Jakoś mi nie pasuje do tych wszystkich luminarzy spirytyzmu. Zwłaszcza ten strój i śmieszny kapelusz. Zdaje się, że profesor Muski ma podobny.

– Masz dobrą intuicję, Janie San – powiedziała. – Kto wie, czy ona właśnie nie jest twoim powołaniem. To portret Napoleona Wielkiego, a to ubranie to mundur.

– Właśnie! – ucieszył się Jan. – Mgliście coś sobie przypominam. Ale co on tutaj robi? O ile wiem ze swego kursu

historii, był wodzem, cesarzem, lecz nie okultystą.

– To wyraz czci dla człowieka, który zdobywając Hiszpanię, położył ostatecznie kres szaleństwu Inkwizycji. Było to ważne wydarzenie dla świata Czarnej i Białej Magii.

– Rozumiem – powiedział Jan. – Do widzenia.

– Dziękuję, że się pan pofatygował. – Tym razem uśmiechnęła się szerzej, choć wcale nie pozbawiło jej to wyglądu staroegipskiej mumii i bez trudu pozwalało uwierzyć, że żyje tysiąc, a może nawet już i pięć tysięcy lat.

– Dzisiejsze wydarzenia – mówił roboreporter po serii migawek z zaśmieconych ulic – przekonały dowodnie chyba nas wszystkich, że Akademia Psi jest gotowa przekroczyć wszelkie możliwe bariery, łącznie z granicą zwykłej ludzkiej uczciwości oraz elementarnej rozsądku, że nie istnieje dla jej duchowych przywódców żadne poczucie odpowiedzialności za zbiorowy los nas wszystkich, że nie zamierzają się oni przejmować reperkusjami swych szalonych eksperymentów, które szkodzą całemu miastu, wreszcie, iż uważają się za kompletnie bezkarnych i zawieszonych poza „normalnym” prawem. W swej bezczelności posunęli się dzisiaj tak daleko, że trudno zaiste znaleźć podobne historyczne przykłady. Nie wyobrażam sobie, by dalej możliwym było tolerowanie tego typu wybryków przez władze miasta. Rozmawiamy z kierowniczką departamentu nauki przy miejskiej radzie, panią nadprofesorem ekolog Dianą Lux. – (Odjazd kamery ujawnia wysztyftowaną blondynkę obsypaną drogimi kamieniami na odsłoniętym do trzech czwartych, a nawet siedmiu ósmych, wypukłym ponad zwykłą miarę biuście). – Co pani sądzi o perspektywach prawnych i możliwościach spełnienia postulatów mieszkańców? – zapytał ją reporter z błyskotliwym uśmiechem.

– Tym panom z Akademii zapewne wydaje się, że jeśli otrzymali kawałek gruntu w wieczyste użytkowanie, to mogą

sobie pozwolić na wszystko – powiedziała kobieta. Jan zaś bez trudu rozpoznał w niej lokatorkę pokoju numer 102 z ulicy Róży Wiatrów.

– A czyż tak nie jest?! Naruszanie spokoju i choćby najdziksze pomysły tych ludzi, zwłaszcza na terenach Akademii uchodzą im bezkarnie. Miasto nie ma nic do tego, co tam się dzieje, bo uczelnia jest nietykalna!

– To prawda. Uczelnia jest nietykalna i wolno im robić, co chcą, ale tylko na swoim terenie. Obydwie ostatnie akcje czy eksperymenty, jeśli tak je można nazwać, objęły jednak swym zakresem całe miasto, bądź jego dzielnice, zatem uprawnienia Akademii zostały wyraźnie przekroczone. Tym razem panowie z PsiAka, rektor, dziekani i ich doradcy przeliczyli się w swej pewności, iż każdy wyczyn ich uczelni przyjmowany będzie bez szemrania, najwyżej z aplauzem, lub przynajmniej w pokornym milczeniu. Zasięg wywołanych przez nich zjawisk jest taki, a straty materialne oraz inne szkody w postaci choćby narażenia ludzi na szok i utratę zdrowia są tak wielkie, że mamy pełną podstawę wystąpić o odebranie wieczystej dzierżawy Akademii Psi i żądać wszczęcia energicznych dochodzeń w celu ustalenia bezpośredniej i pośredniej odpowiedzialności za czyny, które są w świetle prawa karalne. Chodzi tu przykładowo właśnie o narażenie osób na utratę zdrowia i życia, zakłócenie porządku i spokoju, narażenie skarbu miasta na straty wynikające z zakłócenia porządku: jak zanieczyszczenie ulic, kolizje będące skutkiem działania akademików z PsiAka i tym podobne.

– Czy znaczy to, że możemy być pewni poparcia waszego departamentu dla energicznego wdrożenia postępowania?

– Składam uroczystą obietnicę, że odpowiedzialni pracownicy naszego departamentu zajmą się tą sprawą i nie spoczną, póki

Akademia Psi nie wyrówna miastu strat, a następnie nie zostanie usunięta poza jego granice administracyjne.

– Dziękuję pani bardzo – powiedział reporter i pani Diana Lux zniknęła z ekranu.

– Niestety, tak jak i poprzednio – kontynuował po chwili ze studia roboreporter – nie udało nam się porozmawiać z rektorem ani z co bardziej znaczącymi członkami Senatu Akademii Psi. Zadziwiająca jest arogancja i bezczelność tych ludzi. Do rozmowy z nami wydelegowali młodego, nieopierzonego przedstawiciela, który jest zastępcą członka nadzwyczajnego! Niech państwo zważą – nawet nie zwyczajnego – nie posiada też tytułu nawet docenta, nie mówiąc już o profesurze. Jest zaledwie mistrzem intuicji. Więc jego, doktora medytacji wschodnich, Okuro Kayano usiłowano wystawić nam jako tani łup. Posłuchajmy, co doktor Kayano miał do powiedzenia na temat ostatnich zajęć. – (Kamera skupiła się na rozległym terenie Akademii, potem zawęziła pole do gmachu G-0 i zrobiła zbliżenie na stopnie przed budynkiem, gdzie u boku mistrza Kayano stał przygotowany do akcji nasz ukochany reporter obrońca uciśnionych).

– Panie Kayano, niech pan nam powie, czy Akademia zamierza zapłacić odszkodowanie, którego żądają władze miasta za dzisiejsze sprzątanie i wczorajsze szkody?

– Nie wiedziałem, że Akademia wyrządziła jakiegokolwiek szkody komukolwiek i gdziekolwiek. Pan pierwszy mówi mi o czymś takim. Jeżeli otrzymamy takie żądanie od władz miasta, to się do niego ustosunkujemy – powiedział spokojnie mistrz.

– Więc pan twierdzi, jak rozumiem, że to nie Akademia wywołała wczorajszą Godzinę Karminowej Mgły i dzisiejszy Szkarłatny Śnieg?

– Tak twierdzę.

– Czy zatem uważa pan, że były to zjawiska naturalne? Czy materializująca się jak iluzja mgła była pana zdaniem dziełem przyrody? Czy uważa pan za możliwe, by od dziś zaczął padać śnieg w kształcie prostokątnych, czerwonych płatków i żeby te płatki były pokryte drukiem?

– Nie, nie uważam, chociaż słyszałem o doświadczeniach biometeochemicznych polegających na nadawaniu płatkom śniegu dowolnej formy, nie tylko prostokątnej, lecz sześcienniej czy nawet kulistej lub wręcz fantastycznie nieforemnej. Znamy też od bardzo dawna, jeszcze z czasów przedekologicznych, metody barwienia śniegu na dowolny kolor. Już w tamtych wiekach widywano śnieg czerwony, różowy, żółty.

– Ale żaden z nich nie był chyba papierowy?!

– Zgadza się, nie był. Dlatego wczorajszego i dzisiejszego zjawiska nie uznaję jednak za naturalne. Jednakże nie mogę go także uznać za iluzyjne, tak jak pan to określił.

– Na jakiej podstawie sądzi pan, że nie miało charakteru iluzyjnego? Nasi eksperci twierdzą, że miało ono charakter ponad wszelką wątpliwość iluzyjny.

– Czy ma pan może przy sobie taką karteczkę?... Którąś z tych, co dzisiaj spadły?

– Tak, mam. – Reporter wyciągnął z kieszeni kurtki czerwony karteluszek i wyraźnie do kamery pokazał napis: TANIEC SMOKA SAMOTNOŚCI.

– Widzi pan. Zatem jest. Gdyby była iluzją, już dawno by się zdematerializowała. Nie wiem, jakich macie w BKCL NZGD ekspertów, ale nie bardzo się chyba znają na iluzji.

– Dobrze. Przyjmijmy nawet pański punkt widzenia w tej sprawie, chociaż moglibyśmy się pokłócić. Wczorajszej mgły

jednak nie może pan uznać za nic innego!

– Zgadza się. Ale chciałbym, żeby mi pan przedstawił dowód, iż to Akademia Psi tę iluzję stworzyła. Nie powiem już, jak ogromnej energii takie przedsięwzięcie by wymagało, kogo byłoby stać na tak drogi żart, bo przecież w innych kategoriach nie sposób tego widowiska traktować, chyba... chyba że chodzi tu o coś innego, że komuś zależy...

Tutaj obraz z terenu Akademii się urywał i nie dokończona myśl mistrza Kayano zawisała w próżni. Usłużny reporter natychmiast wypełniał tę próżnię swoim szczebiotem:

– Niestety, zła jakość dalszej części materiału zmusiła nas do zakończenia na tym wywiadu z mistrzem Kayano, ale myślę, że to i tak nam wystarczy. Niech państwo zwrócą uwagę na bezczelność i doskonale samopoczucie tego luminarza psioniki, na jego pewność siebie! Jeśli tacy są wykładowcy, to jacy mają być uczniowie?! Przyjrzeni się państwo terenowi Akademii?! Było tam bardzo czysto, prawda?! Otóż to! Tylko na ich terenie nie spadła żadna, ani jedna, karteczka! Czy to jest przypadek?!

Kamera pokazała raz jeszcze zielone płaszczyzny trawy, budynki, zbliżenie schodów i uśmiechniętą twarz mistrza Kayano stojącego na schodach.

– A teraz – kontynuował niezmordowany reporter – nasza kolejna wizyta. Tym razem w Inspektoracie Regionalnym Oddziałów Specjalnych dla Dzielnicy Centralno-Południowej, gdzie rozmawiamy z prowadzącą dochodzenie panią inspektor Anną Pik. – Na ekranie ukazała się starszawa lokatorka spod numeru 103 na Róży Wiatrów. – Wysłuchała pani przed chwilą wypowiedzi przedstawiciela PsiAka, w której podważał on możliwość przeprowadzenia dowodu na to, iż PsiAk był

sprawcą zaistniałych iluzji. Czy rzeczywiście nie ma na to żadnych dowodów?

– Istotnie – powiedziała starsza pani z demonicznym makijażem uciekającym pulsującymi grubymi krechami po policzkach w tył głowy, ku uszom i na kark. – Brak jak na razie dowodów bezpośrednich. Być może po rewizji, jaką zamierzamy przeprowadzić, i po dokonaniu wglądu w dokumenty PsiAka uzyskamy taki dowód. Na razie dysponujemy wystarczającymi dowodami pośrednimi i poszlakowymi, by w świetle przepisów §282 punkt 1 i §274 punkt 1, 2, 3 o zwalczaniu zakłóceń psionicznych w obszarach chronionych oraz §§633 i 648 Kodeksu Wykroczeń o wykroczeniach związanych z nadużyciem posiadanych zdolności psionicznych, wszcząć postępowanie przeciw bezczelnym burzycielom ładu z Akademii i zmusić ich przed Trybunałem Wstępnym, by to oni dowiedli swej niewinności, a nie my im winy. Jest to jeden z przypadków szczególnych, dla rozwikływania których specjalnie powołano Trybunał Wstępny. Nasza interpretacja nie może zostać podważona, ponieważ opiera się na precedensie Sądu Najwyższego z roku 1628 w sprawie: Przedsiębiorstwo Hurtu i Obrotu Owocami i Warzywami Pozaplanetarnymi kontra Ridigier Fallacci – hipnotyzer, notabene absolwent PsiAka, o zabór owoców na szkodę tego pierwszego przy wykorzystaniu zdolności hipnotycznych w szacunkowej kwocie 64 transsolarów 645 lunów i 5 truksów.

– To znaczy, że działania zostały już przez was podjęte. Kiedy zatem będziemy mogli oglądać tych hochsztaplerów na ławach oskarżonych?

– Na razie staramy się o prokuratorski nakaz w związku

z domniemaniem ukrywania istotnych dowodów na terenie, który jest według prawa przed nami zamknięty. Jest to bardzo uciążliwa procedura, obwarowana tyloma kruczkami prawnymi, że trzeba anielskiej cierpliwości, by przez to przebrnąć, a godziny bieżą!

– Przestępca ma zatem czas ukryć dowody swojej winy?!

– Właśnie. Takie jest prawo, które dla mrzonek demokracji poświęca swą skuteczność i chcąc być sprawiedliwszym chroni zbrodnię, umożliwiając ukrycie prawdy miast ją wyświecić. Czas najwyższy, żeby społeczeństwo wreszcie zmądrzało i dla własnej wygody – zaczęła nagle nawoływać do widowni łagodna pani – zrezygnowało z tych wszystkich bezsensownych obwarowań, nakazów, papierków i wielostopniowych procedur! Przecież my chcemy działać dla dobra społeczeństwa, a ono nam związuje ręce!!!

– Niestety, są wciąż tacy, którzy tego nie rozumieją, prawda?!

– Niestety. Są to ludzie niepoważni, nieodpowiedzialni, wichrzyciele, którzy powinni się wreszcie opamiętać! Na co wam ta demokracja, na to tylko, żeby wszyscy po równo, egalitarnie otrzymywali przynależną im część strachu, niepewności jutra, zagrożenia?!!! Proponowałabym w kolejnym referendum przegłosować poszerzenie prerogatyw dla OS! – głos jej nagle złagodniał. – Wtedy każdy będzie się czuł o wiele bezpieczniej i będzie bardziej wolny, i...

– ...Ale wracając do tematu. Czy zatem nie możecie nic zrobić, zanim otrzymacie zezwolenie prokuratora na rewizję? Przecież to niewiarygodne.

– Niestety, prawdziwe! – Kobieta omal nie walnęła pięścią w stół ze złości. Oczy jej się zwęziły i wyglądała jak istne wcielenie szatana. – Zrobiliśmy jedynie, co było możliwe,

to znaczy odcięliśmy tereny Akademii od świata, obstawiliśmy wiodące do niej drogi lądowe i powietrzne oraz wprowadziliśmy kontrolę pojazdów. Nie uda wam się nic stamtąd wywieźć! – zatryumfowała na koniec prosto w oko kamery.

– I panie prokuratorze – zaapelował już ze studia ten sam co zwykle wszędobylski roboreporter. – Niech pan na miłość Boga dłużej nie zwleka!

Na tym kończyła się kasetka. Jak dla Jana zupełnie dosyć.

– Ciekawe – powiedział Don Derdan po dłuższej chwili – czy już mają jakieś wyniki w archiwum? Program miał być wprowadzony o ósmej.

– Połącz się z nimi, jak chcesz. Mnie głowa boli – powiedziała niechętna całemu światu Kinky. Don nie zdążył jeszcze nacisnąć sygnalizatora, gdy z dołu posłyszeli stukot obcasów. Do pokoju weszła Hanah. Wyglądała niespecjalnie, była blada jak ściana i Janowi zdawało się nawet, że ręce jej się lekko trzęsą. – Coś się stało, Hanah? – zapytał, zbliżając się do niej. Wziął jej dłonie w swoje i posadził ją na kanapie.

– Powiedziała Fokowi o nas – stwierdziła drżącym głosem.

– I co?

– Mam go dosyć! – westchnęła ciężko i oparła głowę na rękach. – Być tak zazdrosnym w naszych czasach. To naprawdę patologiczne!

– Napijesz się? – zapytał Ulg Apollo, który w milczeniu wpatrywał się do tej pory w ekran, jakby go pani policjant zahipnotyzowała za pomocą wymalowanego na twarzy tygrysięgo makijażu.

– 12 02 85 – powiedziała. Ulg podszedł do podajnika. Nacisnął klawisz „A”, ponieważ doszedł do wniosku, że minimum ćwierć litra tego płynu może dać pożądaną skuteczną dawkę.

– Masz ochotę obejrzeć kasety? Właśnie skończyliśmy – zapytał Jan.

– Nie, nie. Tylko nie to. Najchętniej położyłabym się do łóżka. Wiesz, on powiedział, że cię zamorduje!

– Chyba żartował? – odezwał się Jan z niepewnym uśmiechem.

– Chyba – powiedziała ponuro. – Chociaż to nie jest pewne.

– Mają tam jakieś wyniki? – zapytał Derdan, żeby trochę rozładować atmosferę.

– Podzielili to wszystko na dwanaście kategorii: merytorycznych, formalnych, nieustannych, czyli wiecznych, najwytrwalszych, najdokuczliwszych, najinteligentniejszych, najbezczelniejszych, najaktywniejszych, najhałaśliwszych, najmocniejszych, najodleglejszych (przestrzennie) i najbliższych (zawodowo). Na razie są wyniki z dwóch grup. Najwytrwalszym przeciwnikiem PsiAka jest Urząd Miasta – powiedziała Hanah. – A najdokuczliwszym Oddziały Specjalne. Mam tego dosyć. W ogóle mnie to nie interesuje. Jestem zmęczona. – Pociągnęła łyk piwa i zamyśliła się. Jan objął ją i przytulił, robiła wrażenie tak nieszczęśliwej, że oddałby wszystko, żeby ją pocieszyć.

– Jedno i drugie mogłoby pasować – zauważył Ulg Apollo. – Oddziały dążą do rozszerzenia swoich uprawnień, więc miały powód do urzędu prowokacji, na pewno też nie zabrakło im funduszków. A Urząd Miasta? Kto wie, czy nie ma przed wyborami powodów, żeby odwracać uwagę od problemów codzienności. Najczęściej tak się właśnie robi, kiedy się coś nie udaje, plany się walą, obietnice zostają na papierze. Wtedy trzeba szukać sprawcy całego zła.

– Bardzo pięknie, Ulg – powiedział Jan. – Tylko nie wiem, czy można ich uznać za sprawców, czy tylko usiłują przy tym

ognisku upiec swoją pieczeń...

– Chodźmy, Jan! – powiedziała niespodziewanie Hanah. – Mam dosyć tych rozmów o jednym i tym samym!

– Co cię ugryzło, czy Fok Full przesłonił ci już cały świat?! – zdenerwował się Ulg.

– Nie twój interes! – rzuciła wściekle i wybiegła z pokoju. Jan stał chwilę niezdecydowany, lecz w końcu pobiegł za nią.

Dogonił ją na ścieżce do swojego apartamentu.

– Myślałem, że mi uciekniesz – szepnął.

– Nie miałam wcale zamiaru. Tak naprawdę to poszło mi z Fokiem o dzisiejszą noc. Powiedziałam mu, że zamierzam ją spędzić z tobą.

– Więc chodźmy – Jan rozglądnął się, czy przypadkiem nie widać gdzieś Foka zaczajonego za jakimś krzakiem jałowca czy pnem pinii. Tylko lekki wiaterek szarpał gałęzie. Pobiegli i minutę później przekroczyli próg mieszkania Jana. Uczulił zamki na wszystkich obcych.

– Chodźmy na górę. Mam dziś ochotę popatrzeć na gwiazdy – szepnęła Hanah. – To będzie nasza ostatnia noc.

– Ostatnia?

– Obiecałam Fokowi.

– Obietnice w miłości się nie liczą...

– Moje się liczą. – Poglądziła go po policzku, oczy jej zapłonęły, robiła wrażenie kogoś, kto nagle odzyskał wszystkie siły. Wsiedli do windy, która nastawiona na niskie obroty powoli, po centymetrze unosiła ich na wysokość dziesiątego piętra. Z każdym odcinkiem wznoszącego ruchu odkrywał się przed ich oczami coraz inny fragment płaskowyzu: kopułka domu Ulga, obok sterczący samotny ołówek minaretu Don Derdana, apartamenty innych studentów, wielkie kontury budynków G,

biblioteka, fontanna Ifrytów, Mur i za jego płaszczyzną dwupasmowa szosa do miasta, za pasmem żywotników i wiecznie zielonego mandango, za parkiem ze starych grabów, wierzb i srebrnych świerków, pierwsze wille, potem w dolinie płaskie balonowe konstrukcje centrum produkcji realonów, a gdzieś na dnie, zatopione między wznoszącymi się na północnych wzgórzach igłowcami Stare Miasto z jego niegdyś monumentalnymi, a dziś maleńkimi pośród nowoczesnych kolosów wieżami. Był to widok nie tylko imponujący, ale z gatunku tych, które nastrajają człowieka romantycznie, wzbudzają ciepłe wspomnienia po latach, odciskają się w pamięci jako niezniszczalny wzorzec dla emocjonalnych odniesień.

– Pięknie – westchnął.

– Gdzie mieszkałeś przedtem, za pierwszym razem? – zapytała.

– W dawnych budynkach obserwatorium astronomicznego w Forcie Skale. Tam były akademiki psychologów.

– Widać je stąd?

– To po drugiej stronie Lasu Welskiego, wiesz Lasu Weli i Bogów Weli – Welesów. O tam – pokazał w kierunku czarnej plamy i sterczących nad nią na północnym zachodzie Kopców Kościuszki, Jana Pawła II i Piłsudskiego. – Tak naprawdę to Strażnicy Wiary Przyrody postawili te kopce jako dokładne kopie Kopca Welesa i jego synów Lelija Lela i Polela-Sowicy[17].

– Spryciarze. I to się działo w czasach, kiedy robiono wszystko, żeby starą wiarę zniszczyć. W XIX, XX i XXI wieku n.e.

Winda dojechała do celu i weszli do kopuły minaretu. Hanah od razu uruchomiła mechanizm otwierający szczelinę na niebo. Wyłączyła go przy trzech czwartych rozwarcia, tak że widzieli

samo niebo i lunę bijącą nań od miasta schowanego za poziomą płaszczyzną.

– Nie chcę oglądać miasta. Chciałabym, żeby dzisiaj miasto nie istniało. Ani ono, ani te wszystkie sprawy i ludzie. Wystarczą mi gwiazdy.

– Więc ja także mogę nie istnieć? – zapytał Jan.

– Nie, nie – przytuliła się do niego. – Przecież tylko dla ciebie tutaj przyszedłam. To ma być...

– Nie mów – położył jej szybko dłoń na ustach. – Nie chcę o tym myśleć. – Pocałował ją w czoło. Świetliste niebieskie oczy patrzyły na niego z tkliwością.

– Przytul mnie mocno – zażądała.

Objął ją i przyciągnął mocno do siebie. Stali, patrzyli i nie było ich. Kołysali się na nierealnych falach. Fale te nie istniały w żadnej przestrzeni widzialnej. Były niemierzalne dla aparatury fizycznej, wręcz poza jej językiem, a jednak wypełniały w całości, po brzegi, ich świat. Fale uczucia, fale namiętności, górowania i spadki napięć emocjonalnych charakterystycznych dla tej jednej chwili.

– Zostaniesz ze mną – stwierdził, odrywając się od jej gorących ust, jakby nie słyszał tego, co powiedziała wcześniej.

– Zostanę – wyszeptała, błędząc rękami po jego piersi i plecach.

– Na zawsze? – Spojrzał jej prosto w oczy. Odsunęła się jakby niepewna.

– Tylko dzisiaj – powiedziała cicho – ale na zawsze.

Pokiwał głową i podszedł do krawędzi balkonu, wąskiej barierki utworzonej przez rozwartą czaszę.

– Nie chcesz? – zapytała, podchodząc za nim. Stała obok i położyła mu na ramieniu rękę.

– Chcę, tylko...

– Tak musi być – powiedziała. – Jestem z nim zaręczona i kocham go. Kocham go i szaleję za tobą. Obiecywałam sobie, że się z tobą więcej nie spotkam, ale... rozumiesz mnie?!

– Rozumiem – powiedział Jan.

*– Noc ukoronowana natchnieniem
przynosi zagładę snom.
Przysięga wierności nad ranem
jest jak złoty włos upadłej dziewicy,
istnieje na miejscu zbrodni,
gdzieś w tym błocie,
ale nie sposób jej odszukać*

– Co ty mówisz?

– Nie wiem.

I w tym momencie jak za dotknięciem kosmicznych rozmiarów czarodziejskiej różdżki, jak z zaklęcia ekscentrycznej czarownicy na całym niebie rozlał się bordowy cień, który w parę sekund przybrał kształt wstęgi. Potem, jakby ktoś wyostrzył obraz za pomocą soczewki, wstążka szybująca nad miastem rozpadła się na poszczególne litery. Zadarli głowy do góry. Spojrzeli na południe i odwrócili się na północ. Napis biegł od horyzontu po horyzont. Idealnie na osi północ-południe. Wprost nad ich głowami wisiała gigantyczna, wciąż lekko falująca, jakby nie ustalona do końca litera „n”.

– O Boże – wyszeptali niemal równocześnie.

Jan złapał natychmiast lunetę i obracając ją niecierpliwie na cokole, skierował ku pierwszej literze pierwszego wyrazu. Sam nie wiedział, po co zrobił odczyt kątowy między tym punktem a najbliższym e-triangulem GPS. To samo zrobił

po drugiej stronie, tam gdzie napis się kończył. Odczyty podał końcówce samoliczącej. Hanah przez chwilę patrzyła jeszcze na niebo, odczytując trzywyrazowe zdanie: STANDARDOWE ATRAKCJE NARKOTYCZNE, po czym bez słowa usiadła w fotelu, plecami do nieba, twarzą do Jana, który tymczasem zapomniał o jej istnieniu. Zapisał zdanie na kartce. Pociął ją w kawałki, po czym rozpiął na ścianie litera po literze w starannych odstępach. Odszedł kilka kroków i wpatrzył się w swe dzieło zamyślony.

– Widzisz w tym zdaniu coś szczególnego? – zapytał.

– Nie! – powiedziała wściekłym tonem, którego zupełnie nie zauważył.

– Popatrz uważnie.

– Nic nie widzę i nie chcę widzieć! Mieliśmy być dzisiaj tylko my, a jest znowu ta cholerna sprawa!

– Ależ kochanie?

Hanah wstała, złapała wazonik z geranium i z całej siły cisnęła nim o podłogę. Odskoczył jak piłka w bok i gubiąc po drodze roślinę, zatrzymał się pod nogami Jana. Hanah wybiegła z wieży.

– Jeżeli nie chcesz, zrobię to później! – krzyknął za nią.

Zatrzymała się w korytarzu i odwróciła się do niego rozsierdzona:

– Możesz robić, co chcesz! A najlepiej rób to, co jest dla ciebie najważniejsze!!!

– Dla ciebie nie jest?

– Nie. Nie w ostatnią naszą noc. Więcej ich nie będzie! Wyrwałam ją Fokowi Fullowi z gardła, specjalnie dla ciebie! Z myślą o tobie...

– I chyba o sobie? – powiedział z przekąsem.

– Och!... Nie wiem... – wyszeptała i rozplakała się. – Jeżeli chcesz, to zostań w tej swojej wieży z liter i znaków, z kości słoniowej, z ambicji i ciekawości... – mówiła przez łzy. – Ja w każdym razie nie zamierzam tu z tobą tkwić. Idę spać!

Ruszyła w dół po schodach. Stał przez moment, bijąc się z myślami, nie potrafiąc się zdecydować ani na bieg za nią, ani na powrót do swego napisu. Namiętność przeważyła po krótkiej walce. Oczywiście namiętność do kobiety. Ta druga, namiętność do rozwikływania rebusów, musiała odejść na plan dalszy, młody organizm domagał się fizycznej ekstazy, ruchu i dynamicznego szaleństwa. Gdyby był kilka lat starszy, zapewne wybrałby ekstazę umysłu z jej nie mniej dynamicznym szaleństwem gonitwy myśli. Doszedł do wniosku, że rebus może poczekać kilka godzin albo nawet do rana. Świat się nie zawali. Zbiegł za nią i w połowie schodów objął jej delikatne ramiona. Dokonał właściwego wyboru, choć przez ten wybór świat mógł się rzeczywiście zawalić. Nie, nie cały, nie żeby od razu cały, nie bądźmy megalomanami, tylko świat Akademii.

Hanah spała. Oddychała regularnie i głęboko. Kształtne powieki zakrywały jej niebieskie oczy i czarne punkciki źrenic. Hanah nasycona rozkoszami ciała odpłynęła w niebyt. Jej regularne, białe ramię oplotło szyję Jana, jasne włosy spływały wzdłuż linii policzka na obojczyk. Teraz Hanah unosiła się na jeszcze innych falach, w objęciach obcego boga, boga snu, zaprzątnięta chimerycznymi obrazami, jakie tylko on może człowiekowi podarować. Jan za to spać nie mógł. Sen nie chciał nadejść. A może Jan nie chciał nadejścia snu. Myślał. Myślenie opanowało każdą komórkę jego kory i wprzęgło w swój kierat wszystkie zwoje nerwowe, a także gruczoły dokrewne. Zamknięte koło. Łuk bynajmniej nie tryumfalny. Coś potwornie męczącego jak atak kaszlu, sienny katar, wrzód żołądka, ciągły

problem mimo upływu wieków – po prostu bezsenność. Nie mógł przestać. Nie mógł przestać, ponieważ gruczoły pobudzały swym wydzielaniem mózg do aktywności. Nie mógł zasnąć, ponieważ nieustannie generujący nowe myśli mózg pobudzał do pracy gruczoły „dokrewne”. O czym myślał Jan San, miast „spoczywać w pokoju”, jak chcą moce naturalne, które każdy seksualny wysiłek nakazują odkupić porcją bezświadomego trwania? Szczyt rozkoszy sąsiaduje zwykle z dnem bezistnienia. Ekstaza – Maligna. Nieprzytomność – Szał. Katatonia – Euforia. Dualistyczne jedności, a właściwie triady – bo przecież myślNIK jest ich nie mniej ważnym składnikiem, jest symbolem półprzepuszczalnej błony, filtra i pasa transmisyjnego, bez którego jedność dualistyczna jest niemożliwa. Bo cóż to za jedność: katatonioeuforia, pięknobrzydota albo dobrozło. To tylko konstrukty teoretyczne, wymysły, a w najlepszym razie pozbawione dynamicznego napięcia nijakości. Zera! MyślNIK między nimi to jądro całej filozofii. O czym myślał Jan, osiągnąwszy zaspokojenie swych seksualnych namiętności? Oczywiście o napisach. Ożyły teraz po krótkiej pauzie (myślNIK) namiętności nienasycone. Drugi biegun jego dualnej psychofizycznej istoty. Pragnienie rozwikłania zagadki ożyło z tym większą siłą, że nawet nie zdążył nikogo zafonować, żeby się wygadać ze swymi podejrzeniami. Wstał. Sprawdził, czy Hanah śpi mocno, czy nie zbudził jej jakimś niedelikatnym ruchem, i pobiegł do kopuły. Narzucił szlafrok, bo początek lutego mimo pewnych zmian klimatycznych jest w tej strefie chłodny, zwłaszcza nocą. Wpatrzył się w olbrzymie, bordowe „n” wiszące nad jego głową niczym wyrzut i wyzwanie. Słowa. Słowa, wyrazy. Wyrazy, słowa. Zdania. Ułożone obok siebie na ścianie litery tworzyły kopię giganta rozpościerającego się na niebie. „STANDARDOWE ATRAKCJE NARKOTYCZNE”. Jedyne, co go w tym napisie zastanowiło, to były pierwsze litery poszczególnych słów. Myślał, że Hanah też zauważyła, ale ona nawet nie spojrzała wtedy na jego układankę. Pierwsze litery: s, a, n. San. Jan San? Przypadek? Być może, ale przypadek ten pozwolił mu zupełnie inaczej spojrzeć na sens haseł. Szybko

na oddzielnych kartonach napisał pozostałe trzy hasła. Pociął je i powiesił, zachowując kolejność pojawiania się, nad tym ostatnim. Starannie, równiutko tak, by początki poszczególnych wyrazów utworzyły czterolinijkowe szpalty. Najpierw szło pierwsze zdanie, potem drugie i trzecie, a na samym dole było czwarte. Co zobaczył? Podkreślił pierwsze litery w każdym z wyrazów.

Noc ukoronowana natchnieniem

Indra pokorny szatanem

Taniec smoka samotności

Standardowe atrakcje narkotyczne

Ostatnie słowo w poziomie brzmiało w sposób oczywisty. San. Mogło oznaczać właśnie jego osobę, ale na przykład po japońsku znaczyłoby „pan”. San-pan. Po japońsku? Dlaczego nie? A pozostałe?! Nie. Po japońsku są pozbawione znaczenia. W interlinilla znaczenie ma także tylko jego nazwisko. Nie. Nie tak. Westchnął. Odsunął się. A dlaczegóż tylko po ziemsku?! Przeklęty antropocentryzm! Więc może w którymś ze znanych mu języków z okolicy wschodnich rubieży? Przeczytał w kolejności poziome wyrazy utworzone z pierwszych liter: NUN, IPS, TSS, SAN. Po jakimu to może być? Znał piętnaście języków. Galmarydzki – nie. Fistyjski – nie. Interproxintta – nie. Drakońsko-omultański – już na pierwszy rzut oka widać, że nie. Przeczytał litery z góry na dół. NITS, UPSA, NSSN. Niestety nie był to ani przykryjski, folijski, wygondzki, degrengoladański, ani psimski. Połączył więc wyrazy w całości: NUNIPSTSSAN, NITSUPSANSSN. Nie pasowało do weryjskiego, myjskiego ani boyańskiego. Rozdzielił wyrazy w kombinacje innego rodzaju: NUNIPS TSSSAN, NITSUP SANSSN. Jeszcze jedno niepowodzenie. W żadnym ze znanych mu języków te słowa nic nie znaczyły.

Chociaż, zaraz?! Tak. Tutaj coś się wyłaniało: NITSUP wspaniale dawało zniekształcone słowo pustynia. Od biedy można było przyjąć to za jakąś nieścisłość związaną z dekodowaniem brzmienia w pozaziemskim szyfrze. Czyli pustynia? Pustynia Sanssn?

– Gdzie leży pustynia Sanssn? – zapytał inforu.

– Nie mam obowiązku odpowiadać po godzinie drugiej w nocy – wymądrzył się infor zamiast mu odpowiedzieć.

– Milcz, kanalio! To znaczy natychmiast odpowiadaj!

– Tylko nie kanalio.

– Ścierwo!

– Daję panu minus!

– Dawaj ile chcesz, tylko odpowiadaj! Nie mam czasu! Jeżeli natychmiast nie odpowiesz, jutro złożę na ciebie zażalenie!

– Dobrze. W drodze wyjątku odpowiem. Nie ma takiej pustyni.

– Nigdzie?

– Nigdzie, dokąd dotarła Metropolia i człowiekowaci.

A więc bezsens! Jan nerwowo potarł skronie. Jeszcze raz przyjrzał się literom i nagle stuknął się w czoło. Od czegoż ten elektryczny debil tu jest?!

– Powiedz mi, czy te napisy były analizowane przez komputer uczelni.

– Były.

– Masz wyniki?

– Przed godziną skończyła się pierwsza tura. Podać zestawienie?

– Dawaj.

Końcówka inforu wytrzepała na folii króciuteńki wydrucek. Jan przejrzał go pobieżnie i już wiedział, że z matematycznej

analizy komputerów nic nie wyniknie. Gubiły się w jakichś bezsensownych, być może i bardzo logicznych, lecz opartych na przypadkowości i teorii prawdopodobieństwa zestawieniach, które miały wyjaśnić gmatwały tylko sytuację. Cóż może wniesć statystyczny wykaz samogłosek bądź spółgłosek, przyporządkowanie liczby liter w poszczególnych hasłach literom różnych alfabetów, wyjście od kodu wyrazowego do analizy alfabetycznej i tym podobne bzdury, skoro nie ma klucza! Klucz! Trzeba koniecznie mieć klucz. Wybrał najbardziej nieprawdopodobne z trzyliterowych słów. Żeby jakakolwiek teoria miała sens, musi się sprawdzać w stosunku do każdego wyrazu.

– Powiedz mi – zapytał ponownie inforu. – Co oznacza wyraz TSS? Czy ma znaczenie w jakimkolwiek znanym języku?

– Chwileczkę. Muszę się połączyć z Centralną Pamięcią albo z komputerem lingwistycznym.

Przez moment trwała cisza tak grobowa i tak napięta, jakby za chwilę miał się narodzić powtórnie Wszechświat.

– Jest – powiedział infor, a Jan niemal podskoczył do sufitu. Serce biło mu tak gwałtownie, że aż się wystraszył jego łomotu.

– Mów. Szybciej!

– W jednym z narzeczy Zachodnich Rubieży, czyli naszej najbliższej okolicy, konkretnie w procyońsko-spruckim słowo TSS oznacza nieszczęście.

– Podam ci teraz inne wyrazy, a ty mi je przetłumacz na procyońsko-sprucki. NITS?

– NITS znaczy „to”.

– UPSA?

– Jest to rodzaj naczynia ofiarnego. Trudne słowo, kaganek, urna, stolec, kamień, misa.

– NSSN?

– Upadek. Rozbicie. Załamanie. Koniec. Katastrofa.

– Czyli zdanie brzmiałoby mniej więcej tak: To urny koniec.

Albo: To kaganek katastrofy?

– Można tak przetłumaczyć, ale komputer lingwistyczny przekazuje, że najbliższe byłoby: To jest misa rozbita.

– Rozbite naczynie ofiarne – powiedział Jan. – W zestawieniu z nieszczęściem, które oznaczało słowo TSS...

Zaczynało to brzmieć bardzo ciekawie.

– Przetłumacz jeszcze trzy słowa: NUN, IPS, SAN.

– NUN znaczy „jego”, zaimek męskoosobowy, forma dzierżawcza, trzecia osoba liczby pojedynczej. IPS jest czasem przyszłym od być – „pis” czyli będzie. Natomiast słowo SAN w tym języku nie istnieje.

– Nie istnieje? Jak to?

– Nie ma go. Nie funkcjonuje. Nie stosuje się takiej konfiguracji literowej w procyońsko-spruckim.

– Nie stosuje się?!

Cały misterny gmach oto nagle walił się na jego oczach. Czy to możliwe?! Tak pięknie, logicznie zazębiające się sensory nagle okazywały się pozbawione podstawy! Zdradziecki cios przychodził z zupełnie niespodziewanej strony, bo czyż ktoś mógłby przypuścić, że skoro funkcjonują tak nieprawdopodobnie zbitki jak t, s, s, albo n, s, s, n, to bardziej płynna i łatwiejsza do wymówienia s, a, n nie będzie mieć odpowiednika?!

– Sprawdź jeszcze raz! – zażądał. – To niemożliwe! Tamte są trudniejsze do wymówienia, a jednak coś znaczą!

– To stanowisko skrajnie antropocentryczne – powiedział beznamiętnie infor. – Komputer lingwistyczny stwierdza kategorycznie, że słowo SAN nie ma odpowiednika w narzeczu

procyońsko-spruckim.

Jan usiadł na podłodze. Chciało mu się wyć i ciskać przedmiotami, kopać i gryźć. Na szczęście nie miał w zasięgu kończyn niczego, co by się do ugryzienia lub kopnięcia albo poszarpania nadawało. Wstał. Poczował się straszliwie zmęczony. Niemal wyczerpany. Jeszcze raz rzucił okiem na nienawistne bordowe eN o średnicy kilometra, które wraz z innymi literami tworzącymi wstęgę napisu zajmowało na niebie obszar równy długością trzydziestu sześciu kilometrom. Nacisnął guzik. Kopuła z cichym brzęczeniem poczęła się zamykać. Cóż za bezsensowny labirynt bez dna. Przecież nie mógł przyjąć, że napisy odnoszą się do jego osoby. Cóż to za otchłań przepastna. Już, już zdaje ci się, że osiągnąłeś upragniony cel, że odkryłeś zagadkę i w ostatniej chwili wymyka ci się ona, jeszcze głębiej bezkresna, nieodgadniona, jeszcze mniej sensowna, niż była, gdyś na nią spojrział po raz pierwszy. Zwlókł się po schodach na dół. Zupełnie jak w semabiryncie. Dobierasz, dobierasz, wszystko z pozoru idzie dobrze, tylko że jego konstrukcja wyklucza bezbłędne przejście od pierwszego zamachu. „Urna rozbita”. „Jest rozbite naczynie ofiarne”, „to jest naczynie ofiarne rozbite”... ips nun, tss, upsa nssn... snuło mu się na zasadzie rozpędu po umęczonym umyśle, gdy cicho wsuwał się do łóżka obok smacznie pochrapującej, nie wiedzącej o niczym, szczęśliwej za nich oboje Hanah. Jego będzie nieszczęście... i na tym koniec. Zasnął jak kamień.

I. Przyjęty w Królestwo Intuicji.

Kiedy się obudził, Hanah właśnie się ubierała. Wąska liliowa tunika kryła jej drobne piersi i oblepiała zazdrośnie smukłe,

delikatne uda. Zasłaniała raz na zawsze przed jego wzrokiem jej rozkoszny kędzierzawy trójkąt. Hanah robiła wrażenie wypoczętej i zadowolonej.

– Która godzina? – zapytał.

– Dziesiąta – odpowiedzieli jednocześnie Hanah i infor.

– Trochę się martwię o Foka – powiedziała Hanah, zawiązując sandały. – Potraktowałam go zbyt ostro. Może niesprawiedliwie?

– Nic mu nie będzie.

– On wbrew pozorom jest bardzo wrażliwy. – Kręciła się po pokoju w poszukiwaniu swoich drobiazgów.

– To szczyt wszystkiego – burknął Jan niezadowolony. – Żeby kochanka po nocy z tobą zachwalała ci twojego rywala!

– Co cię ugryzło?! – zatrzymała się zaskoczona.

– Dzisiaj to się rozstrzygnie – powiedział ponuro.

– O dwunastej. Zamierzasz z tego powodu pokłócić się ze wszystkimi przyjaciółmi i pokąsać wszystkie psy w okolicy?

Jan ziewnął przeciągle.

– Dwunasta. Symboliczna cyfra...

– Pracowałeś jeszcze wczoraj. Wymyśliłeś coś ciekawego?

– Wydawało mi się, że spałaś.

Jan wstał. Zaczął się powoli i niechętnie ubierać.

– Nic takiego. Miałem rozwiązanie i... wymknęło mi się. Pierwsze litery wyrazów wszystkich haseł pionowo i poziomo dawały siedem wyrazów... siedem, cholera, fatum.

– I co? – Hanah przysiadła obok niego zainteresowana.

– Sześć z nich ma sens po procyońsku, a jeden nie ma żadnego i tyle. Układają się w dwa zdania. Tylko że drugiemu brak zakończenia i przez to sensu, czyli że nie jest zdaniem, prawda? Mamy więc jedno zdanie i jeden bezsens. Idealny remis. – Wciągnął szarawary i podkolanówki. – Kropka. Klops. Zero. Dno.

– Nie całkiem zero – powiedziała Hanah zamyślona. – Wiesz... nie wpadłam dotychczas na taką ewentualność! Chodźmy na górę. Wiszą tam jeszcze te literki, nie pozrywałeś ich w szale?
– Wiszą. Idź zobacz.

*

Jan wszedł do łazienki. Mył się długo i starannie. Strumienie wody i powietrza orzeźwiały go i sprawiały przyjemność. Dodał trochę zapachu piżma w delikatnym rozcieńczeniu i wsunął głowę w otwór airreviwalu. Inhalacja była boska. Wycierał twarz ręcznikiem i spoglądał na swe odbicie w lustrze. Wydawało mu się, że jedna źrenica chce sięgnąć z powierzchni lustra przez drugą na samo dno oka, żeby zobaczyć żółtą plamkę. Nie wiedział tylko, czy to prawdziwa usiłuje sięgnąć w głąb nierealnej, czy też odwrotnie, realna w głąb tej odbitej. Zresztą obie były równie realne lub nierealne. Jak semabirynt niemożliwy do przejechania od pierwszego zamachu. Powiesił ręcznik i włożył koszulę.

– Od pierwszego nie, ale od drugiego?

Szybko zakończył toaletę, nie zaszczyciwszy włosów nawet jednym muśnięciem, i pobiegł na górę. Hanah przekładała wyrazy na różne możliwe sposoby. Stał z boku i przypatrywał się jej. Wkrótce i jego wciągnęła ta zabawa. Tworzyły się nowe sensory. Niekoniecznie przecież musiało się brać początkowe litery. Mogły to być równie dobrze litery z samego środka, idealnie symetryczne rdzenie. Przez jakiś czas babrali się w papierkach, aż opadli na podłogę zniechęceni. Znów przygnębienie zaczynało brać górę. Gdy tylko wykluwało się coś bardziej sensownego, od razu pojawiał się wyjątek, uprzykrzona

reguła każdego języka, wyjątek, który burzy wszelki ład.

– A może tak być powinno? – powiedział Jan. – Każdy język ma wyjątki, więc jedno słowo może być przetłumaczone w innym języku? W końcu byłoby to zbyt łatwe, gdyby rozwiązanie podano nam elegancko jak śniadanie na tacy.

– Nawet gdyby tak było, to nie otrzymalibyśmy nic sensowniejszego ponad twoje wczorajsze osiągnięcia. Czy zdanie: To jest rozbita misa – jest mniej tajemnicze niż wszystkie pozostałe?!

– Ale gdyby było komentarzem do pozostałych...

– W takim układzie szukanie rozwiązania na drodze szyfru literowego jest bezsensowne i wracamy do koncepcji szyfru symboli.

Zamilkli, wpatrując się bezmyślnie w równe szpalty wiszącej na ścianie zagadki.

– Mam ochotę to zerwać i poprzewracać, wywrócić do góry nogami, zdeformować, poroztrącać, sklecić byle jak – powiedział półżartem – albo ułożyć z tego schody do nieba!

– Zdeformować? – Hanah wcale nie potraktowała jego słów jak żart. – To całkiem niezła myśl.

– Schody do nieba albo do piekła – powiedział i oparł się o ścianę. – Drażnią mnie te słowa w równym szyku. Nic z tego nie wynika poza samym szykiem.

– Jak wyglądają takie schody?

– Nie wiesz? Powiedzmy, że każde następne słowo jest wysunięte o jedną literę do przodu w szpalcie w stosunku do poprzedniego.

– I tak wszystkie szpalty? – zapytała bardzo poważnie.

– Jak chcesz. Wszystkie albo jedną. Obojętne.

Hanah wstała i ponownie podeszła do ściany.

– Daj spokój, żartowałem! – powstrzymywał ją Jan.
– Dlaczego? – już przestawiała litery. – I tak nie mamy nic do stracenia. Lubisz rozwiązywać krzyżówki?

– Nie.

– To jest często spotykana odmiana krzyżówki. Nazywa się logogryfem.

Jan wstał także i przyłączył się do niej. Zaczęli przekładać litery.

– Na czym polega taki logogryf?

– Wyrazy mają sens poziomo, tak jak w tym przypadku, ale też powinny mieć sens pionowo.

Kiedy skończyli, odeszli o parę kroków i spoglądali z nadzieją na swe nowe dzieło.

– Nic z tego – powiedział Jan. – Nie ma sensu.

Napisy przedstawiały się po tej operacji następująco:

Noc ukoronowana natchnieniem

Indra pokorny szatanem

Taniec smoka samotności

Standardowe atrakcje narkotyczne

– Chyba masz rację – stwierdziła Hanah. – W pierwszym wyrazie mamy najpierw aż cztery litery n, takie słowo na pewno nie istnieje w żadnym cywilizowanym narzeczu, potem ODID, CREA, w drugim wyrazie zaczyna się od UOOA, dalej niestety cztery litery k... nie, to nie ma sensu.

– Nie ma?! Zaczekaj! – Jan oderwał się od ściany i podbiegł do napisów z flamastrem. Nerwowym ruchem podkreślił znaki. Najpierw te cztery n w pierwszym pionowym wersie pierwszego słupka, potem w drugim pionowym wersie drugiego słupka, a na koniec cały trzeci pionowy wers trzeciego słupka.

– I co? – zapytał z dumą. – 1:1, 2:2, 3:3. Czy to może być przypadkowe?

– Nie wiem – powiedziała Hanah niepewnie. – To wygląda na system logiczny. Tylko co oznacza? N–N–N–N, K–K–K–K, T–T–T–T.

– Jakie ustawienie czterech haseł wyróżnia te litery z nich wszystkich. Infor? – zwrócił się do e-mózgu. – Zanalizuj to co widzisz i wyznacz przybliżone prawdopodobieństwo.

– 0,0000000002 – powiedział infor.

– Widzisz?! – wykrzyknął podniecony. – Ułóżmy teraz hasła osobno, w kolejności, w jakiej się pojawiały, kierując się ustawieniem tych trzech liter w jednym słupku.

Przystąpili natychmiast do dzieła. Po chwili obraz na ścianie zmienił się diametralnie:

Noc iNdra taNiec staNdardowe

uKoronowana poKorny smoKa atraKcje

naTchnieniem szaTanem samoTności narkoTyczne

– Brawo! – Hanah skakała do góry i klaskała w dłonie jak mała dziewczynka.

– Zwróć uwagę na regularne przesunięcie przed każdą z pożądanых liter w każdym wyrazie. Pierwszy słupek daje ciąg 0, 1, 2, drugi 1, 2, 3, trzeci 2, 3, 4, a czwarty 3, 4, 5. Jeżeli zsumujemy te przesunięcia, to otrzymamy ciąg 3–6–9–12.

– Mamy hasło! – krzyczała Hanah. – Hasło to NKT. NKT. Tylko co ono oznacza?

– Wolałbym wiedzieć, co znaczą te cztery cyfry.

– Te cztery cyfry to wyróżnione w multystycznej cirkoidzie kierunki świata i w ogóle wszystko najważniejsze, co zechcesz. To są linie na przykład Wody, Nieba, Ognia i Ziemi, to są znaki

Labiryntu, Smoka, Plazmy i Ciszy, to jest khan, czhien, li oraz khuen. Możemy tę listę ciągnąć w nieskończoność, przypomnij sobie chociażby opisy znaków i wróżb towarzyszących gmachom G-3, G-6, G-9 i G-12. Każda z tych linii oznacza to wszystko!

– Oznacza to więc także iluzję: i od niej się zaczęło, teleportację albo psychokinezę (G-6): być może technikę, w jakiej pojawiają się napisy, psilogię (G-9 Wydział Pól i Energii Psi) jako być może drogę, na której można napisy likwidować, oraz Poszukiwania w Rzeczywistości[18] jako drogę do likwidacji zagrożenia. Byłoby to pośrednim potwierdzeniem słuszności naszej własnej drogi. Ale czy to jest wszystko?

– Zostaje to NKT.

Jan począł nerwowo krążyć po pokoju.

– Co to może znaczyć? Co może znaczyć? Lub co jeszcze może znaczyć?

– Po procyońsku-spruck NKT coś znaczy? – zapytał infor.

– NKT to zemsta, wojna, walka, gniew.

– A jakie litery odpowiadają w ich alfabecie cyfrze 3, 6, 9, 12?

– Są to: a, k, s, b.

– Aksb? Podaj znaczenie?

– AKSB to śmierć, pohańbienie, ośmieszenie, upodlenie, utrata honoru.

– Teraz dopiero ich mamy!

– Nie bardzo. Co ma procyońsko-sprucki i te wynurzenia do nas? – zapytała Hanah. – Co innego, gdyby NKT znaczyło coś w naszym języku!...

– Ma znaczenie – wtrącił się niespodziewanie dydaktyczny infor. – Jest to skrót.

– Skrót? Jaki skrót?!!!

– NKT oznacza znaną agencję międzyplanetarną zwaną

Nadświatłą Korporacją Telepatyczną.

– Korporacja Telepatyczna?!?! – Jan rąbnął się otwartą dłonią w czoło tak, że aż zadzwoniło. – O Boże! Na co te całe komplikacje! To nie może być nic innego!

– Gdzie jest ich siedziba? – zapytała podniecona Hanah.

– Zeusville – Jowisz – powiedział spokojnie komputer, który nie ulega emocjom, choć Jan go o to posądzał.

– Mamy ich!!! – wrzasnęli razem i odtańczyli zupełnie dzikiego kankana połączonego ze spit-spatem, jakiego jeszcze świat nie widział.

– Czas się chyba opamiętać – powiedział Jan. – Myślisz, że ten ostatni napis jeszcze jest? – Uruchomili dźwignię i kopuła rozsunała się. Już przez minimalną szczelinę dostrzegli bordowy cień, a gdy poszerzyła się jeszcze trochę, gigantyczne eN posłało prosto w nich czerwony promień odbity od swej błyszczącej powierzchni. W świetle dnia litery wyglądały jak wykute, a właściwie odlane z najszlachetniejszego kruszcu.

– Ciekawe, czy Kayano jest jeszcze na terenie Akademii? – powiedziała Hanah.

– Trzeba go zawiadomić.

– Czy mistrz Kayano jest u siebie lub gdzieś w obrębie Muru?

– Nie. Już wyjechał do Urzędu Miasta razem z profesorem Mrokiem. Ma tam być także rektor Hokus.

– Boże! Która godzina?!

– 11.35 – powiedział infor.

– Zawiadom go fonicznie – odezwała się Hanah.

– Nie. Po pierwsze, o takim odkryciu chciałbym mu powiedzieć osobiście – rzekł Jan. – A po drugie, tłumaczyć mu to wszystko fonicznie, podczas gdy za niespełna pół godziny zaczyna się konferencja... Nie, nie. O tym sukcesie muszę

go powiadomić bezpośrednio, sam, to chyba lepsza rekomendacja niż wszystkie egzaminy razem wzięte! Myślisz, że mnie przyjmą na Akademię?

– Spróbowaliby nie. Cały PsiAk by zastrajkował – powiedziała dziewczyna.

– Dual będzie się miał z pyszna. Myślał, że może mnie przyjąć na zasadzie dowcipu. Odechce mu się śmiać!

Jan wyprężył się teatralnie, stając frontem do drzwi windy i wysunął w bok ramię, którego natychmiast uczepliła się Hanah.

– Winda! – powiedział takim tonem, jakby u stóp barokowego pałacu krzychał: Powóz! – a dama jego serca w białej balowej sukni mdlała w jego objęciach.

Winda jednak nie przybyła.

– Co się dzieje?! – zapytał wciąż uśmiechnięty, w tej samej pozie.

– To niestety niemożliwe – powiedział infor.

– Niemożliwe?! Ależ dlaczego? – wesołe tony przemieniły się w nagłą irytację. Oto służba, która skrupulatnie od samego urodzenia jego wysokości Człowieka wypełniała najmniejszą zachciankę, nagle odmawia posłuszeństwa!

– Za pięć ujemnych zachowań nakładam na pana karę jednej godziny aresztu.

– Co?!... Co ty bełkoczesz?!... Jakie pięć zachowań?! Jakiego aresztu?!

– Wczoraj wieczorem otrzymał pan po stronie minusów piątą krzyżyk. Zna pan regulamin, panie San.

– Ale od wczoraj już dawno minęła godzina!

– Czas biegnie od chwili, gdy po raz pierwszy wyrazi pan chęć opuszczenia swego apartamentu. Inaczej kara byłaby bezskuteczna.

– Ty kupo złomu! Czy nie rozumiesz, że nam się spieszy?!
Która godzina?

– 11.40.

– Więc nie rozumiesz, że za dwadzieścia minut może być już za późno?!

– Przepisy są przepisami.

– Matole, przecież teraz się decyduje los całej Akademii! Twojego pracodawcy, rozumiesz?! Ja mam klucz do tego losu, rozwiązałem zagadkę, zidentyfikowałem sprawcę prowokacji, mam dowody, a ty zamiast mi przyznać medal zamykasz drzwi na klucz i podpisujesz wyrok nie tylko na siebie, ale na cały PsiAk!

– Przepisy. Mam przepisy – upierał się tępo infor.

– Zaraz mnie szlag trafi!

– Połącz się fonicznie – odpowiedziała Hanah.

– Przykro mi – infor uprzedził rozkaz Jana. – Połączenia w czasie trwania aresztu są też odcięte. W intencji Programu nie ma to być czas miłych pogawędek i rozrywek. Zostały zablokowane również wszystkie urządzenia elektryczne, elektroniczne, procechronowe.

– O Panie, Panie! – krzyknął Jan. – Trzymajcie mnie! Trzymajcie, bo zaraz rozetrę to urządzenie na pył atomowy!

– Przestań. To nie ma sensu... On nie ustąpi... Coś trzeba wymyślić. I to szybko, jeżeli nie ma być za późno... Przez okno chyba wolno wyglądać? – zwróciła się do inforu z podstępny blyskiem w oku.

– Wolno – powiedział służbiście. – Byle powyżej drugiego piętra.

– Chodź! – Hanah pociągnęła Jana na dół. Wpadła do sypialni i zaczęła obdzierać lorlonowe koce z poszew. – Wiąż to w sznur!

– rzuciła. Związali dwie poszwy, dwa prześcieradła i do tego jeszcze dwa koce, razem sześć sztuk bielizny, co dawało prawie piętnaście metrów mocnego sznura.

– Wystarczy – powiedział Jan. – Idziemy.

Zeszli na trzecie piętro. Infor posłusznie otworzył okno. Zaczął protestować dopiero, kiedy Jan przywiązał jeden koniec suplastego powroza do regału z symulatorem i viderem, a drugi wypuścił przez otwarte okno na zewnątrz.

– Tego nie wolno robić! – wrzasnął. – To jest ucieczka z aresztu! To jest poważne naruszenie... To grozi relegacją!!!

Jan i Hanah nie zwracali jednak zupełnie uwagi na jego bezsensowne protesty i groźby. Jan założył na wszelki wypadek blokadę magnetyczną, gdyby inforowi przyszło do głowy zatrzaskać im przed nosem tę drogę, i zjechał bez kłopotu po prześcieradłach w dół.

Tyle rzeczy zmienia się na świecie, jego wygląd jest zupełnie inny z każdym wiekiem, niemal z każdym dziesięcioleciem, a jednak co najmniej drugie tyle pozostaje wciąż niezmiennych. Chyba dlatego, że człowiek sam w sobie prawie nie ewoluuje, a może po prostu są to rzeczy, które tak mocno wpisane zostały w jego archetyp, że umrą dopiero wtedy, gdy i on przestanie istnieć. Ten staromodny sposób ucieczki, jakim się teraz posłużyli, przetrwał parę tysiącleci, może i parędziesiąt (jeśli wliczyć podniebne podróże małp z drzewa na drzewo za pomocą lian) i nieodmiennie wzbudzał te same emocje i prymitywne satysfakcje ze sprawności własnych mięśni. Zapewne takie same odczucia towarzyszyć będą zjazdom po linie przez następne tysiąclecia. Jan, przytrzymując pęk prześcieradeł tak, by był sztywny i żeby Hanah mogła bezpiecznie opuścić się na ziemię, pomyślał, że jeśli tego typu satysfakcje kiedyś się skończą, będzie

to oznaczało koniec twórczego rozwoju ludzkości, koniec cywilizacji. Być może jego uproszczone przemyślenia nie grzeszyły głębią, ale w tamtym momencie, kiedy chronił przed upadkiem swoją samicę i torował jej drogę ucieczki, myśl ta była całkowicie usprawiedliwiona. Nie mógłby w ten sposób pomyśleć już w trzy sekundy później. Ledwo Hanah postawiła nogę na ziemi, gdy Jan usłyszał za swoimi plecami gruby głos Foka Fulla: – Broń się!

Jan odwrócił się i zobaczył, że jasnowiedz stoi w postawie bokerskiej z zaciśniętymi pięściami.

– Przestań, Fok! – Hanah rzuciła się w jego stronę, ale odtrącił ją tak gwałtownie, że omal nie upadła. – Fok, nie rób z siebie ostatniego wariata! Nie musisz grać przed nami swojej roli prymitywnego osiłka! Myślisz, że ktoś w to naprawdę uwierzy?!

– Ona ma rację – powiedział Jan. – Przecież zgodziłeś się na tę jej przygodę.

Fok Full opuścił ręce i rozluźnił pięści.

– A czy miałem jakiś wybór? Od pierwszego momentu, kiedyś się pokazał w Kryształowej Grocie, wiedziałem, że tak właśnie będzie.

– Zatem to wyrok losu.

– Ale to nie znaczy, że nie mogę ci przyłożyć! – jego pięść znów się odruchowo zacisnęła.

– Wiesz dobrze, Fok, że w ten sposób nie załatwia się spraw od setek lat. Poza tym bardzo się spieszę.

– W takim razie wyzywam cię na pojedynek! Wybór broni należy do ciebie.

– Zgoda – powiedział Jan. – Tylko nie teraz. Mamy piętnaście minut, żeby się dostać do Urzędu Miasta.

– Jan zidentyfikował naszego przeciwnika. Mamy niezbity

dowód. Wiemy, kto sprowokował te wszystkie historie! – paplała Hanah niepewna widać, czy te słowa wywierają na Foku odpowiedni skutek.

– Serio? Kto taki?!

– NKT. Nadświatlna Korporacja Telepatyczna.

– Skąd wiecie? W jaki sposób doszliście do tego? Macie pewność?! – zasypał ich gradem pytań Fok.

– Za dużo by mówić – stwierdził Jan. – Trzeba szybko wezwać ixar.

Hanah wywołała bazę komunikacji miejskiej i zamówiła pojazd.

– Piętnaście minut to dużo czasu – powiedział Fok Full. – Nie będzie kłopotu. Wiesz, że to by się zgadzało?! NKT znajdowało się na jednej z naszych list. Nie pamiętam, ale zdaje się, że wśród najdowcipniejszych albo najsprytniejszych... w każdym razie było, chociaż nie na czele listy.

– To dodatkowo potwierdza słuszność naszego rozwiązania.

– Dobra. Zatem zgadzam się na odroczenie pojedynku, ale tylko do chwili, gdy zawiadomisz mistrza Kayano o swoim odkryciu.

Nadleciał ixar i szybko wgramolili się do niego. Wystartowali ostro, nim jeszcze zdążyli zatrzaskać drzwiczki. Nie ulecieli jednak daleko. Jeszcze nie przecięli granicy Muru, gdy otoczyły ich trzy pojazdy Patrolu Powietrznego.

– Proszę lądować na terenie Akademii! Natychmiast lądować na terenie Akademii! – odezwał się kategoryczny rozkaz przez głośniki.

Zawrócili i wylądowali. Pojazdy patrolu oddaliły się, wracając na swe pozycje po drugiej stronie Muru.

– Nie wypuszczą nas – jęknął Jan. – Chyba wszystko

sprzysięgło się przeciw mnie.

– Jest tylko jeden sposób – powiedział Fok. – Trzeba wziąć Cshorty’ego. Musimy próbować przebić się na siłę. Cshorty ma nowego, sportowego Endeoforda i jest wystarczająco dobrym kierowcą.

– Ale w ten sposób nie zdążymy! Już straciliśmy dziesięć minut – odezwała się Hanah.

– Stracimy więcej, jeżeli jeszcze dłużej będziemy tu stać.

Połączyli się z Cshortym, który nie pytał wiele i zjawił się prawie natychmiast w swym nowiuteńkim, świeżo lakierowanym, białym jak śnieg Endeofordzie. Obok niego siedział uśmiechnięty Ulg Apollo. Mimo całej błyskawiczności Cshorty’ego następne dziesięć minut umknęło im. Na wszystkich kanałach zaczęła się już konferencja. HV był włączony, kiedy wsiadali, i na ekranie pojawiła się właśnie Kandelabrowa Sala Urzędu z błyszczącym jak płyta lodowiska długim stołem konferencyjnym, po którego obu krawędziach siedziały szeregi siwowłosych starców. Każdy miał mikrofon i terminal oraz bardzo srogą minę. Mina ta brała się nie z ich nieprzejednanej, wrogiej wszystkiemu co żywe postawy, lecz była wynikiem ucisku falbaniastych kołnierzyków z koronek będących nieodłączną częścią stroju każdego oficjela. Kilka miejsc wciąż pozostawało wolnych. Fotele te miały kolor czarny. Jan wywnioskował, że są to fotele dla oskarżonych, bo mimo całego blichtru konferencyjności, rozmowa miała mieć charakter w pewnym sensie zwyczajnego sądowego procesu. Rozległ się gong, błysnęły flesze, zaterkotały realonowe plastkamery, rozjarzyły się stereoskopowe wizjery, ruszyły z poszumem videry, magneptery HV i zwykłe reporterskie kasetowce. W progu sali pokazał się maleńki profesor Hokus, w którego

wymierzono wszystkie wyloty, otwory, tuby, rury, sitka, lufy, jakby naprawdę zamierzano go za ich pomocą rozstrzelać. Szedł wyprostowany z jabłkiem i berłem w ręku, w gronostajowej todze, w rogatywce z pawim piórem – wyglądał jak prawdziwy król z bajki. Zaraz za nim szli profesorowie Mrok, Dual i Muski, potem Peng Think, a na końcu dreptał mistrz Kayano. Podeszli do stołu i usiedli po krótkim zamieszaniu, bowiem okazało się, że dla mistrza Kayano zabrakło krzesła i musiał sobie stanąć z tyłu jako nadliczbowy oskarżony. Tymczasem Cshorty zatrzymał straż przy posterunku. Jeden rzut oka wystarczył, by się zorientować, jaką drogę ucieczki wybrać. Na szczęście przy posterunku nie stacjonowały zaporowce. Widać nikt się tutaj nie spodziewał, że znajdzie się odważny, który nie podporządkuje się rozkazowi. Takie postępowanie musiało z góry zostać uznane za czyste szaleństwo. Gdyby nie nadmierna pewność oddziałów specjalnych, nie mieliby żadnych szans. Zaporowce zaraz po przekroczeniu linii fotokomórek wzniosłyby na tyle wysokie pole siłowe, że nie udałoby im się go ani ominąć, ani przeskoczyć.

Umundurowany na czerwono robostrażnik Oddziałów Specjalnych dał znak, aby się zatrzymali. Cshorty zwolnił i przyhamował.

– Proszę wszystkich państwa o dane personalne. – Wymienili po kolei swe dane, podczas gdy strażnik kierował na każde z nich oko swego policyjnego inforu. Potem spojrział tylko na odczyt.

– Zgadza się – powiedział. – Wszyscy państwo z wyjątkiem Jana San jesteście uczniami Akademii. Dokąd jedziecie?

– Do Urzędu Miasta. Mamy bardzo ważne informacje, które mogą zmienić losy całej rozprawy! – powiedziała Hanah z najśłodszy uśmiechem, na jaki ją było stać.

– Proszę poczekać – powiedział i udał się niespiesznie w kierunku patrolowców drzemiących obok szlabanu.

– Musi zapytać szefa – skomentował Cshorty.

– Nie puszczą nas – stwierdził Fok. – Widzę to jasno.

Tymczasem przy patrolowcach toczyła się między robotami żywa rozmowa połączona z ostrą gestykulacją, a na ekranie główny oskarżyciel z ramienia Urzędu odczytywał długą listę zarzutów. Robostrażnik coś tłumaczył. Jeden z siedzących w patrolowcu energicznie gestykulował i zaprzeczał. Wreszcie strażnik oderwał się od swych rozmówców. Zawrócił w kierunku stradu studentów. Szedł powoli, jakby miał masę czasu. Jan tylko jednym okiem śledził to, co się działo na zewnątrz, bowiem pochłaniał go coraz bardziej obraz z HV. Profesor Hokus stał przed szeregiem sapiących, nienawistnych twarzy i wyglądał jak uczeń, który coś zbroił, podczas gdy długa lista nieprawości PsiAka i zaniedbań Senatu sączyła się bez końca z ust krzepkiego stróża sprawiedliwości.

– Proszę zawrócić – powiedział kategorycznym tonem strażnik.

– Ależ dlaczego? Przecież możecie zrobić rewizję, jeżeli macie ochotę. Nic nie wywozimy!!! – protestowała Hanah.

– Proszę zawrócić! Od początku rozprawy mamy rozkaz nikogo nie wypuszczać.

– Piętnaście minut temu rozprawa jeszcze się nie rozpoczęła, a także nas nie wypuszczono! Nasz ixar został zawrócony przed godziną dwunastą!

– Nic o tym nie wiem. To nie moja sprawa. Może pani złożyć zażalenie odpowiednim władzom. Teraz proszę zawracać.

– Ale...

– Zawracać! Koniec dyskusji! – strażnik sięgnął do guzika

alarmowego, a Jan złapał Hanah za łokieć, powstrzymując jej kolejną próbę. Cshorty włączył silnik. Zaczął cofać swego Endeoforda bardzo powoli. Nagle przełączył styki i maszyna z kopyta ruszyła do przodu. Natychmiast wcisnął przełącznik do oporu i wóz na paru metrach nabrał takiej prędkości, że łatwo przeskoczyli barierę w paski. Cshorty szarpnięciem drążka poderwał maszynę do niskiego lotu. Policjanci przez parę sekund trwali w osłupieniu, jakby nie mogli uwierzyć w to, co widzieli, i to była właśnie ta chwila, która dała im kilkusetmetrową przewagę. Teraz pozostawało tylko jechać tak, żeby jej do końca nie stracić. Cshorty włączył na stałe sygnał i rycząc, wzbijali z poboczy kurz z trudem wychwytywany przez ssące otwory czyszcicieli w krawężnikach. Runęli w skomplikowane układy komunikacyjne miasta wypełnione po brzegi dziesiątkami rodzajów i tysiącami pojedynczych egzemplarzy pojazdów, które tę sieć o godzinie dwunastej w południe wypełniały tak szczelnie, że automatyczni piloci radzili sobie tylko przy pełnym zaangażowaniu całej dostępnej im elektroniki i GPSów. Cshorty przy swej determinacji, dobrych chęciach, a nawet mistrzowskich umiejętnościach, nie miał szans. Udało im się jednak oddalić od prześladowców, którzy nie zaryzykowali wyłączenia automatów. W chwilę później ich Endeoford zawadził o powolnego, szerokiego Maidersa miejskiej komunikacji, po czym stanął dęba i wylądował na dachu na pasie zieleni między dwoma nurtami nieprzerwanie mknących przeciwbieżnych rzek stradów. Gdy wyleźli z nienaruszonego pojazdu, który przy tym wszystkim nie doznał nawet zadrapania, mieli tylko tyle czasu, by wezwać ixar. Pojawił się on prawie równocześnie z ixarami OS mającymi przejąć pościg, ale to prawie pozwoliło im jeszcze raz wymknąć się z pułapki.

O dwunastej czterdzieści pięć wylądowali przed gmachem Urzędu. Jan rzucił się ku bramie. Hanah i Fok z Apollem za nim. Cshorty został w wozie, by na chwilę chociaż powstrzymać policjantów. Jakoż i w parę sekund później lądowali oni z hukiem i wyciem, i w pierwszym odruchu rzucili się na niego. Tymczasem Jan, Fok, Apollo i Hanah pokonywali ostatnie stopnie przed Salą Kandelabrową.

– Dokąd?! – zatrzymał ich u samych drzwi android w stroju lokaja.

– Mamy ważne informacje – wyrzuciła z siebie zdyszana Hanah.

– Nie wolno. Toczy się rozprawa.

Jan myślał, że wszystko stracone. Tym razem już im się nie uda pokonać bariery. Chyba raz na tysiąc lat trafia się tak przemyślna konfiguracja przypadków, które powstrzymują człowieka, ustawicznie wchodząc mu w drogę. Najpierw infor go uwięził, potem Fok Full usiłował pobić, dalej Patrol Powietrzny zawrócił, strażnicy przy Murze nie chcieli wypuścić, wreszcie strad Cshorty'ego się przewrócił, a gdy już ze wszystkich sideł się pomyślnie wymknął, tuż przed progiem Sali, prawie u celu, wyrósł ten złocisty kolos, który nie pozwala im wejść! Czyż w ogóle można to jeszcze nazywać zbiegiem okoliczności?! To jest Tao, po prostu Tao, z którym nie sposób wygrać ani go przechytryć.

Przez drzwi dotarły do nich stłumione słowa zakończenia przemowy rektora Hokusa.

– ...W związku z powyższymi faktami postanowiłem w dniu dzisiejszym podać się do dymisji. Na oczach was wszystkich składam te oto insygnia w ręce senatorów Uczelni, którzy wybiorą mego następcę.

– Za późno! – wyszeptał Jan. – Za późno!

– Oddaję głos profesorowi Mrokowi – usłyszeli jeszcze Hokusa – który wyjaśni szanownym zebrany szczegóły naszych ustaleń i przedstawi dowody, którymi Akademia Psi rozporządza.

– Jeszcze nie wszystko stracone. Mrok jest przy głosie – powiedział Fok. – Trzeba spróbować.

Na schodach dał się słyszeć tupot policyjnych butów i podniesione głosy.

– Wchodzimy! – rzucił Ulg. Fok zrobił krok do przodu, lecz android zareagował natychmiast. Stał w szerokim rozkroku i rozkrzyżował ramiona.

– Nie wolno! – huknął basem. Fok jednak nie zamierzał ustępować. Zaciśnął pięść i z całej siły wyrzucił androida w szczękę. Robot zachwiał się i jak długi poleciał do tyłu, padając płasko na posadzkę. Uderzył z takim impetem o marmurową gładź kryształową głową, że odłączyła się ona od ciała i potoczyła korytarzem, bełkocząc i kłapiąc szczękami. Nie mieli czasu obserwować „marszu skaczącej głowy”, która zachowywała się tak, jakby zamierzała zawiadomić cały świat o krzywdzie, jakiej doznała. Za to policjantów to widowisko znowuż powstrzymało na sekundę, ponieważ nie mogli oderwać oczu od pomstującej czaszki wzywającej na pomoc każdego stróża porządku, jaki się znajdował w promieniu kilometra. Nasi bohaterowie tymczasem wtargnęli na salę, roztrącając reporterów skupionych przy drzwiach. Zrobiło się zamieszanie. Po chwili doszłusowali jeszcze także policjanci. Jan przebijał się przez tłumek, a za nim policjant, Hanah ruszyła w innym kierunku wzbudzając osobną, syczącą z oburzenia, falę, za nią również przeciskał się policjant. Profesor Mrok przerwał. Mistrz Kayano rzucił przerażone spojrzenie w kierunku Jana. Przewodniczący trybunału wstał.

– Co tam się dzieje?! – krzyknął w kierunku zamętu, pośród którego wyróżniały się szczególnie czerwone, wściekle wiosłujące mundury policjantów. – Co tutaj robi policja?! Niech policja natychmiast opuści to pomieszczenie!

Pogoń ustała. Zmieszani robopolicjanci cofali się w ukłonach do drzwi. Od razu było widać kto tu kim rządzi. Słowo Prezydenta było dla nich rozkazem. Wyjście z sali było tylko jedno, mogli więc nastawić inffony na alarm w razie, gdyby się do nich zbliżył któryś z poszukiwanych, i czekać spokojnie na zakończenie posiedzenia.

– Proszę kontynuować – zwrócił się do profesora Mroka przewodniczący.

– Będę się starał dowieść, że nasza Akademia i całe miasto padło ofiarą haniebnego spisku, który rzecz jasna był wymierzony wyłącznie w Akademię, ale siłą rzeczy musiał się obrócić także przeciw całej gigameracji, której mieszkańcy ucierpieli. Jak do tego doszło? Jak dojść mogło po tylu latach, po czterech wiekach zgodnego współżycia? Oto któregoś dnia zjawił się w mym gabinecie człowiek, który zaproponował Akademii współdziałanie w szaleńczym eksperymencie kreowania gigantycznych, trwałych iluzji „z niczego”. Było to dokładnie rok temu. Odmówiliśmy, kierując się odpowiedzialnością i nie przypuszczałem, że odważy się on jeszcze raz na nas nastawać. Tym bardziej nie przypuszczałem, że po zdecydowanej kolejnej odprawie, z jaką się spotkał cztery dni temu jego robowysłannik, posunie się jeszcze dalej i rozpęta walkę na śmierć i życie. Okazał się on jednak zwykłą mściwą bestią, która gotowa jest wykorzystać każdą okazję, by dokonać wielkiej mistyfikacji, wielkiej prowokacji, by rzucić na nas cień, nie licząc się ze skutkami swego działania. Nie chodzi tutaj jednak o jednego

człowieka. Rzec jasna reprezentował on całą organizację i występował w jej imieniu. Organizacja owa posunęła się jeszcze dalej, przekupując wielu państwowych urzędników. Nie moją sprawą jest ustalać, ilu ich było i jakie wzięli łapówki, tym zajmie się, myślę, OS, ale dla przykładu mogę tu wymienić kilku, o których wiemy i którzy zbiegli do Zeusville. Mam tu na myśli choćby pana Eda Sancheza z Ochrony Ekologicznej, panią inspektor Annę Pik z OS czy kierowniczkę sekcji nauki tutejszego Urzędu, panią Dianę Lux...

Tymczasem Jan zaczął znów się przepychać do przodu, a za nim Fok, Apollo i Hanah. Mistrz Kayano zauważył to i delikatnie wycofał się ze swego posterunku u głowy profesora Hokusy. Podszedł do Jana.

– Co się stało? – zapytał szeptem Kayano.

– Niech pan powstrzyma profesora Mroka – wyszeptał Jan podniecony. – Odkryliśmy prawdziwych sprawców prowokacji!

– Niemożliwe. Jak to się stało? Jesteś pewien?

– Wczoraj wieczorem częściowo, a dziś rano do końca rozszyfrowałem hasła, które się ukazywały na Akademii i w mieście. Nie ma chwili do stracenia, mistrzu!

– Rozumiem. I kto według ciebie jest tym prowokatorem?

– NKT – powiedział Jan. – Nadświatlna Korporacja Telepatyczna.

Kayano uśmiechnął się, jakby był bardzo zadowolony, ale wcale się nie ruszał ani nie podskoczył pod sufit, jak to sobie Jan wyobrażał, ani nie zaczął krzyczeć, przerywając rozprawę. Stał tylko, z zadowoleniem się uśmiechał i klepał Jana po ramieniu.

– Niech pan mu powie! – niecierpliwił się Jan. – Nie można dłużej czekać!

– Bądź cierpliwy – powiedział mistrz Kayano. – Nie denerwuj

się i nie gorączkuj, to pierwsza zasada. Jest jeszcze jedna. Poznasz ją, jak wysłuchasz profesora Mroka do końca. Nie przerywajmy mu, chłopcze, dobrze? – Jan spojrzął na mistrza zbity z tropu, lecz przytaknął. Czy mógł zrobić co innego?

– Nie będę trzymał dalej państwa w napięciu – kontynuował swe wywody profesor Mrok. – Powiem tylko, że przeciwnik rzucił nam swe wyzwanie z całą bezczelnością i z równą bezczelnością jeszcze się pod nim podpisał. Usiłował zadrwić nie tylko z Akademii Psi, ale również z władz tego miasta, z was wszystkich, podstawiając Akademię jako niewinną ofiarę pod wasz sąd i będąc pewnym waszego błędnego na nią wyroku. Gdyby nie ta dziecinna w gruncie rzeczy pewność siebie, gdyby nie buńczuczna nieostrożność w postaci podpisu złożonego pod przestępczym czynem, być może byłoby się to im powiodło. Na szczęście nie jest z nami jeszcze aż tak źle. Przejrzeliśmy w porę i mam nadzieję, że również to gremium złożone ze Szlachetnie Zasłużonych nie pozwoli się ośmieszyć, skazując Akademię na banicję.

– Dostyc tego gadania! – rozległo się z sali. – Skończ z tym!!! Podaj nazwę! Nazwa i dowody! Żądamy dowodów! Chyba je sobie wyciągnie z rękawa! – rozległ się śmiech, szum i wrzawa.

– Spokój! – ryknął przewodniczący. – Bo każę opróżnić salę. Proszę do rzeczy, profesorze Mrok.

– Zatem jeżeli żądacie państwo nazw, konkretów i dowodów, proszę! Oto są! – rzucił Mrok, odwracając się przodem do sali. – Tą organizacją jest Vegan Psionik Institut. Vegan Psionik Institut złożył nam ofertę takiej współpracy! To ich przedstawiciel był u mnie z wizytą cztery dni temu. To oni stworzyli Amarantowe Napisy, Karminowe Mgły, Szkarłatne Śnieżyce i wreszcie Bordowe Zdanie, jak poetycznie określa prasa i HV tę serię

kiepskich dowcipów.

Jan zamarł. Zmartwił z przerażenia. Jakże to?! Jak oni do tego doszli?! Przecież to nieprawda! Pomylili się! O Boże, ależ będzie kompromitacja! Już, już zamierzał krzyknąć, że to pomyłka, że nieprawda, że on rozwiązał i wie, ale spojrzał na mistrza Kayano, który przykładał wymownie palec do ust. Jan zamilkł, lecz przekonany był, że oto nieuchronnie grono staruszków doprowadziło PsiAk do ostatecznej klęski, a Tao w postaci tym razem mistrza Kayano w sposób ostateczny stanęło na drodze do ocalenia. Tymczasem z sali na nowo zabrzmiały okrzyki:

– Dosyć demagogii! Gdzie dowody!!! Dowodów! Dowodów! – i wkrótce cała sala skandowała gromko: Do–wo–dów! Do–wo–dów! Do–wo–dów!

Profesor Mrok rozpostarł teatralnym gestem ręce, żądając ciszy. Wrzawa umilkła.

– Dowody?! – zagrzmiął profesor Mrok. – Oto one! – wskazał długim kościstym palcem na ekran zawieszony z tyłu, na ścianie. Wszystkie bez wyjątku głowy obróciły się w tamtą stronę, a docent Peng Think uruchomił plik z rzutnika. Na ekranie pojawił się rząd odpowiednio ułożonych napisów:

1 Noc uKoronowana naTchnieniem

2 iNdra poKorny szaTanem

3 taNiec smoKa samoTności

4 staNdardowe atraKcje narkoTyczne

Przez salę przeszedł szmer.

– Co to jest NKT?! Co znaczy NKT!? NKT?! – wołano zewsząd.

– My też myśleliśmy początkowo, że chodzi o Nadświatłą Korporację Telepatyczną, która ma siedzibę na Jowiszu

w Zeusville. Zwłaszcza że tam właśnie zbiegli zamieszani w aferę urzędnicy wypowiadający się przeciw nam w BKCL NZGD. Jednakże to nie jest NKT, a raczej jest, ale ten skrót nie oznacza wcale Nadświatlnej Korporacji Telepatycznej. Nasz przeciwnik posunął się w swym sprytnym kamuflażu do wyrafinowanej perfidii. Postanowił przy okazji rozprawić się z jeszcze jedną konkurencyjną firmą psioniczną, która ma swą siedzibę w ramach Układu Solarnego, gdyby rzecz jasna przeniknięto przez pierwszy pierścień szyfru. W ten sposób rzucono by cień nie tylko na PsiAk, ale i na NKT, oraz skłócono by te dwie instytucje, które zaczęłyby się wzajemnie podejrzewać, a potem obróciły przeciw sobie. W tym momencie zapewne vegańscy agenci uzyskaliby znaczące wpływy i zaproponowali jeszcze raz współpracę przy temacie, o którym mówiłem wcześniej. Mogło się też ułożyć znacznie szczęśliwiej, PsiAk lub NKT mogły popaść w takie tarapaty, że zmuszone by były oddać się pod opiekę Vegan Psionik Institut. Ale obecny tutaj, były już rektor Hokus rozwikłał wraz z mistrzem Kayano ten gordyjski węzeł podstępów i kamuflażu... – Tu profesor zrobił znaczącą pauzę. Jan słuchał z otwartymi ustami. – Wszyscy wiemy – ciągnął profesor – że w języku vegańskim, intervega – wyrazy czytane są od tyłu. Brzmiały zaś identycznie jak nasze, bowiem jest to przecież była kolonia Metropolii, założona przez Ziemiaków, którzy w swej negacji ziemskiej kultury, ziemskich wartości, całej ziemskiej cywilizacji posunęli się z typowym dla siebie cynizmem do takiej właśnie deformacji i ośmieszającego przekształcenia naszego języka. Odwróćmy więc nazwę tej organizacji; Vegan Psionik Institut, a ujrzymy prawdziwego autora prowokacji.

W tym momencie na ekranie pojawiły się pod sobą dwa

napisy.

Vegan Psionik Institut
Nagev Kinoisp Tutitsni

i w innej konfiguracji:

Vegan Nagev
Psionik = Kinoisp
Institut Tutitsni

Przewodniczący rozprawy wstał. Flesze trzaskały jak oszalałe. Reporterzy, nie bacząc na dobre maniery, pchali się jeden przez drugiego, ku Hokusowi, Mrokowi i Kayano. Jan stał wrośnięty w posadzkę jak słup soli. Zrobił się nieopisany bałagan i harmider. W to wszystko wkroczyli umundurowani przedstawiciele Oddziałów Specjalnych. Ich dowódca zatrzymał się wprost przed Janem.

– Janie San – powiedział. – Aresztuję pana za wielokrotne przekroczenie przepisów i naruszenie prawa!

– Chwileczkę! – zawołał Kayano do robopolicjantów widząc, co się święci. Przepychał się przez tłumek, a za nim kamery na ramionach reporterów i mikrofony w ich rękach.

– Ten młody człowiek – powiedział Kayano wprost do obiektywów – który jest zaledwie kandydatem na ucznia, odkrył o własnych siłach skrót NKT i zidentyfikował go jako Nadświatlną Korporację Telepatyczną. Zabrakło mu wytrwałości i doświadczenia, by się posunąć dalej, ale jest to olbrzymi sukces. Przekroczył przepisy, by zdążyć zawiadomić o swoim odkryciu Urząd. Nie możecie go panowie teraz tak po prostu aresztować!

Od grupy dziennikarzy oderwał się także oblegany jak Konstantynopol profesor Hokus. Podszedł do Jana i podał mu na

oczach osłupiałego policjanta rękę, składając serdeczne gratulacje. Kamery rejestrowały każdy gest, każdy szczegół tego wydarzenia.

– Tym samym – powiedział profesor P. Hokus – z dniem dzisiejszym przyjmuję cię, Janie San, w Królestwo Wydziału Intuicji. I to od razu na trzeci rok!

Rozległy się brawa, a Hanah Lamur powiesiła mu się na szyi na ekranach HV całej ziemskiej sieci i złożyła sążnisty pocałunek. Skwitowały go nowe brawa i okrzyki.

– Chwileczkę – odezwał się wtedy zza jego pleców ponury głos Foka Fulla, o którym Jan kompletnie w tym zamieszaniu zapomniał. – Janie San! Stań do pojedynku! Wybierz broń!

Zapadła pełna konsternacji cisza.

– Zgoda – odezwał się Jan. – Niech tą bronią będzie Szarada.

(– Znam co najmniej jeszcze jedno, i kto wie czy nie prawdziwsze, rozwiązanie tej zagadki – powiedział do siebie już poza kadrem Ulg Apollo).

Tak oto zakończyła się ma szkolna przygoda i zostałem przyjęty od razu na trzeci rok Wydziału Intuicji. Dwa lata do Dużego Egzaminu miałem spędzić w opalowo-jaspisowych czeluściach budynku G-1 pod opieką Szczura, Kozioroźca, znaku Ken, Obręczy, Makosza i Mokozy, kart Maga i Śmierci, sefirody Kether oraz mistrza Kayano, który w tym czasie został docentem i supermistrzem. Dwa lata z tą samą zgraną paczką czarnobrodego Ulga Apollo, Stepa Cshorty, eterycznej Kinky, Molloy Sathanna, Catzy Herma, małżeństwa Hanah i Foka Lamurfull, a potem nawet małej Inniero Lamurfull, której zostałem ojcem chrzestnym[19]. Dwa lata szczebiotów Arii Cesnatti, ciemnych spojrzeń Don Derdana i tajemnych aluzji wywoływacza duchów Dominika Minga. Dwa lata z nieodstępującym mnie niemal na krok Eonem Kiczem, który

pojawił się natychmiast, następnego dnia, gdy tylko wyczytał z sieciowej prasy, że jest po wszystkim. Dwa lata w niewolniczym reżimie wytężonej pracy, w niewolniczym posłuszeństwie wobec dydaktycznego inforu, który wcale nie zrezygnował z wcielania w życie „Programu Naukowego” – nie odważyłem się go już kopać, lżyć ni poniewierać i nawet żał mi było, kiedy musiałem się z nim rozstać. Nigdy i nigdzie nie spotkałem już tak mądrego i przyjacielskiego inforu. Do każdego serca istnieje tajny klucz i jeśli się go znajdzie, wilkołak przemienia się w baranka. Po mej egzaminacyjnej przygodzie stałem się specjalistą od odnajdywania kluczy. W tym wypadku okazała się nim rzecz prozaiczna, lecz nieczęsto spotykana w czasach, gdyśmy przywykli traktować maszyny rozumne, jak w dawnych wiekach traktowano niewolników – łagodność i dobre słowo, nawet komplement. Nie miałem z mym inforem żadnych kłopotów od czasu, gdym to odkrył. Komputery dopiero zimą następnego roku zakończyły tak potrzebne Senatowi analizy horoskopu giganta. Wynikało z nich, że wszystko skończy się dobrze, zagadka znajdzie rozwiązanie po myśli Akademii, a przede mną wielka przyszłość. Tak. Nie pomyliłem się. Moja osoba, co prawda nie z nazwiska, znalazła się w tym horoskopie i poświęcono jej parę linijek. Komputery mówiły, a raczej gwiazdy za pośrednictwem komputerów mówiły, że pojawię się wraz z zagrożeniem, lecz nic z nim nie mając wspólnego, przyczynię się do rozwikłania zagadki. Jeżeli nie wierzycie, proszę bardzo, możecie sprawdzić w Archiwum PsiAka, w którego zakamarkach w pancernej szafie spoczywa ten dokument przeniesiony na wiecznotrwałą folię...

Urowadzenie Intuicjonała wszech czasów, na CO₂ Akt przedostatni

Odłożyłem pióro. Głowa mi ciążyła, sympatyczny atrament niemiłosiernie piekł w oczy, a w szczelinach mej więziennej chatki przeświecały pierwsze promienie brzasku. Wtedy wszedł Rei Furr cały roztrzęsiony i wpatrując się we mnie baranim wzrokiem, przysiadł na pieńku.

– Coś się stało, mój przyjacielu? – spytałem, trąc zaczerwienione spojówki.

– Źle jest – wysapał. – Oni się niecierpliwią. Jutro mają wysłać kogoś, kto by sprawdził twoje słowa. Podśluhałem ich przypadkiem. Zaraz tu przyjdą odebrać ci księgę.

– Cooo?

Jeszcze dobrze moje długie ze zdziwienia „cooo” nie zamarło w kącie lepianki, gdy już ktoś szarpał drzwiczki i domagał się otwarcia. Przybył Certarion ze świtą.

– Czas kończyć – powiedział, kiwając siwą głową. – Przygotuj się na jutro na egzekucję! Oddawaj papiery!

Zamierzałem bronić do ostatniego tchnienia mej księgi, przycisnąłem ją do wychudłej piersi jak najdroższe dzieciątko, światło mej ciemności, skarb życia (bo też każdą z tych rzeczy po trosze była), ale dwóch drabów o zielonych twarzach wpadło na mnie z impetem i wyrwało mi ją z osłabłych rąk, odpychając mnie w głąb, pod ścianę. Poczułem, że wyrwali mi kawał serca.

– Wielki Certarionie – jęknąłem, gdyż zdało mi się, że

wszystkie me plany oto legły w gruzach. – Przecież miałem mieć czas nieograniczony! Czy wiesz, że nawet jednej trzeciej swych bogactw nie spisał?!
– Łżesz.

– Przysięgam na wszystkie święte kamienie i sakramenty! – wykrzyknąłem, padłszy na kolana.

– Na Sardonit Święty Brumurala?

– Na Sardonit! – wzniosłem rozcapierzoną dłoń do góry.

– Na Nosean Wielkiego Miki?

– Na Nosean! – powiedziałem, bijąc czołem o ziemię.

– Na Skapolity Mejonickie i Marialickie?

– Na Skapolity! – wystawiłem język na brodę i oblizałem się zamaszyście jak przystało na marialickiego Mejonitę bądź mejonickiego Marialitę.

– Na Stichyt oraz Tomsonit Braciszków Zakonnych z Kamieniołomów Wderogindrolidzkich?!

– Na Stichyt i Tomsonit – powiedziałem, gryząc się w kciuk.

– Na Waryscyt Luki Talka?

– Na Waryscyt – powiedziałem, plując trzy razy przez lewe ramię.

– Na Hambergit Tuosjoniski?!

– Na Hambergit! – splunąłem po trzykroć przez prawe ramię.

– Na Pollucyt Nocny?

– Na Pollucyt... – szepnąłem sploniony.

– Na Wardyt Wardycki?

– Na Wardyt, niech mnie Gęś Biała! – krzyknąłem, salutując według obyczaju z Kryształowego Sześcianu Południwozenitalnego.

– Na Amblygonit, Odontolit, Datolit?!

– Panie, nie każesz mi chyba przysięgać na całą tablicę

kamieni szlachetnych według współczynników załamania światła i dwójłomności F. G. H. Smitha?!

– Na Prehnit, Danburyt, Sfen, fenaktil?! – ciągnął Certarion niezrażony.

– Na fenaktil, nie!

– A dlaczego?

– Bo to nie święty kamień, tylko ogłupiający narkotyk, pomyliłeś się, panie.

– Prawda. Zgoda. Pomyliłem się. Zatem cofam fenaktil. Ale za to przysięgnij na Cynkit Brata Burry’ego.

– Przysięgam – walnąłem się pięścią w czoło, aż zadzwoniło.

– I na Anataz, Brukit, Spessartyn, Sfaleryt?

– Przysięgam.

– I tak ci nie uwierzę. Łżesz. Łżesz i będziesz łął, choćbyś mi przysięgł na cały wykaz rzeczowy Wielkiej Encyklopedii Kamieni Szlachetnych Galaktyki, a jeszcze nie zdążyłeś nawet przysiąc na jedną setną Wykazu z Encyklopedii Kamieni Szlachetnych Ziemi!

– Ależ nie!!!

– Łżesz! Łżesz jak pies i nie uwierzę nawet, gdybyś się zapierał przed Wszystkimi Świętymi Wszechświata, a jeszcze nie zdążyłeś przed Wszystkimi Świętymi najbliższej okolicy! Nie wylazłeś w tym zapieraniu nawet za opłotki!

– Przysięgam na Migmatyt, Pigmatyt, Serpentyt, Skarn, Almandyn, Grossular, Czaroit, Demantoit...

– Stop! – przerwał mi. – Stop, stop! Czy na Czaroit też przysięgasz?! Czym dobrze usłyszał?!!!

– Tak. Na Czaroit i Serce Szatana! – wywaliłem język, błysnąłem okiem, wyszarpałem się za ucho, trzy razy tupnąłem prawą nogą, cztery razy lewą, stanąłem na rękach, siadłem

na dupie i zaśmiałem się szatańsko.

Popatrzył na mnie badawczo. Postał chwilę z księgą moją pod bokiem.

– Zobaczymy, zobaczymy – powiedział i obróciwszy się na pięcie, w asyście swych osiłków opuścił mą celę.

Tak więc pisanie moje przerwane, a kiedy mi oddadzą księgę, nie wiem. Kto wie, czy ją jeszcze zobaczę. Słowa te piszę na ostatniej karteczce, co cudem ocalała, resztką soku cebulowego, który mi jeszcze pozostał. Rei Furr Łaps cichutko w kącie płacze, bo już pewien jest, że moja historia skończona. Nie pytam go, czy po mnie płacze, czy też żal mu podróży utraconej, która pewnikiem do skutku nie dojdzie. To bez znaczenia. Całe szczęście, że mi się ten karteluszek ostał. Pod pieniek go podłożyłem, bo kiwał się bez przerwy, psując misterną moją kaligrafię, a teraz jest jak znalazł. Bez pisania żyć już nie mogę – chi, chi, chi – grunt to nie tracić dobrego humoru w najgorszych nawet okolicznościach. Może niepotrzebnie zem przysięgał na Serce Szatana, ale cóż, przysięgłbym nawet na Jego Kopyto, gdyby tylko to Certariona Nadzorcę Wielkiego Przemienienia, Przeistoczenia i Przekształcenia przekonało. Przysięgłbym na tysiąc gorszych rzeczy, których tu nawet z imienia wymieniać nie będę, bo wymieniać je na darmo to tak, jak wywoływać wilka wygłodzonego z boru. Ale on mnie wcale słuchać nie chce, a tym bardziej wierzyć nie zamierza. Zatem żegnam się z wami na wszelki wypadek, gdyby mi przyszło jutro o świcie głowę dać. I pamiętajcie o mnie. I wspominajcie mnie dobrze. A jakby któryś chciał mnie kiedy z zarzutów oczyścić i pójść w me ślady, by tryumf intuicji nad chaosem głosić, to błogosławię go na tę drogę ciernistą.

I nie zapomnijcie mnie

I pomódlcie się za mnie

I myślcie o przyszłości

*I nigdy nie myślcie o przeszłości
A jeżeli już, to tylko dobrze
Przyszłość należy do Nas
Przyszłość należy do Was
Przyszłość choć niewiadomą jest
I beze mnie, być może, jest*

To jest
I jest dobra I jest wolnością I jest sprawiedliwością I jest... ale
oto kroki katów moich słyszeć.

Przypisy

- [1] Gdyby Jan czytywał powieści Philipa K. Dicka, również by to wiedział, ale powieści tego autora od wieków już nie istniały [przypisek tłumacza].
- [2] Imię Step zostało tutaj podane w brzmieniu przybliżonym, ponieważ w interlingua można by je czytać jako Zdep, Zdeb, Sdep, Sdeb, Steb. To samo dotyczy wszystkich użytych w opowiadaniu imion, nazwisk i nazw własnych. Z niejasnego rysunku wynika, iż słowo Step oznacza rodzaj błyskawicy ciskanej z prostego kija, lub może jest to nazwa samego kija do ciskania paraliżujących błyskawic. Do tej pory nie spotkałem gdzie indziej podobnego znaku, nie pozwoliło mi to bliżej zweryfikować sensu potocznego, użytego tu jako imię, wyrazu (Przyp. tłumacza).
- [3] Inno Johnstone zmarł, mając lat sto trzydzieści cztery, a nie trzydzieści cztery, jak to błędnie podano w „Przemianach” (Harry Mathews „Conversions” 1962 n.e. (Przypisek autora).
- [4] Szelma – to znaczy superlaska (przyp. tłumacza).
- [5] Elementarz – uczeń szkoły elementarnej (przypisek tłumacza).
- [6] Więcej uwagi poświęcę tym zagadnieniom zapewne w tomie XIV „Zarys historii cywilizacji po Wielkiej Rewolucji Ekologiczno-Humanistycznej Roku Zerowego Najnowszej Ery”, jeżeli rzecz jasna Los, Tao, Bóg, czy jak to tam nazwiemy, zezwoli mi do tego czasu mą pracę kontynuować (przypisek autora).
- [7] Autorowi pomyliły się widać hafty z koronkami. To koronki brabanckie są znane ze swej piękności w świecie (przypisek tłumacza).
- [8] Prawdopodobnie chodzi tutaj o jakieś nieznane nam dzisiaj choroby rozprzestrzeniane drogą płciową (przypisek tłumacza).
- [9] Tekst w cudzysłowie powinien być napisany prawdopodobnie

kursywą. Wskazuje na to fakt, iż w tym miejscu oryginału trójwymiarowe sześciany zamieniają się nagle w sześciorombościany. Być może jest to jednak błędna interpretacja (przypisek tłumacza).

[10] Czyżby chodziło tu o moją skromną osobę? W każdym razie zgadza się data urodzenia i inicjały. Co do daty śmierci trudno mi się dziś wypowiedzieć. Nie zgadza się tylko jedno: nie jestem autorem tego utworu, a tylko tłumaczem (przypisek tłumacza) PS. Nie zgadza się jeszcze jedno: nie cieszę się specjalną popularnością.

[11] Na obecnym etapie tłumaczenia trudno określić bliżej sens tego słowa. Prawdopodobnie chodzi tu o jakieś urządzenie związane ze sztuką inercji, które określa się żargonowym zdrobnieniem: pluskiewka (przypisek tłumacza).

[12] Trudno było stwierdzić na pierwszy rzut oka, czy ten chryzolit jest prawdziwym chryzolitem, czy też tylko infra-papier mâché (przypisek autora).

[13] Otomana – miękka obszerna leżanka, w stylu starotureckim, łóżko z imperium otomańskiego [przypis tłumacza].

[14] Verayher – w narzeczu dorzecza Sov-Phlora-Hy słowo to oznacza tupanga używanego do polowań, czyli phasangańską odmianę psa myśliwskiego – coś w rodzaju ogara lub charta bez oczu, uszu, ogona, sierści oraz otworu gębowego, gdyż zwierzę to żywi się wyłącznie promieniami słonecznymi za pośrednictwem przebarwionej skóry, która wysysa też jak gąbka wilgoć z powietrza.

[15] Idea semabiryntów i wszelkich labiryntów tego typu narodziła się jeszcze u schyłku Epoki Logos. Pierwszy opis samochodowego labiryntu można znaleźć w „Koniec końców” Marka Kreutza, utworze opisującym początkowe momenty Wielkiego Kryzysu Ekologicznego będącego wstępem do Rewolucji Ekologiczno-Humanistycznej.

[16] Góryta – guru i mistrz w sztuce, ale także wzorzec osobowy i psychofizyczna „latarnia” do naśladowania w najmniejszych zachowaniach i działaniach w całym realnym życiu.

[17] Welesowie w wierze rodzimej słowiańskiej – Bogowie

Zaświatów. Na Zaświaty składają się Niwy Bogów na Weli i Nawie – Podziemie Weli zamieszkiwane przez dusze Zmarłych i przez Zduszków (demony). Wela, weli – to znaczy Wielka Planeta, planeta Bogów i Zmarłych – Zaświaty. Inaczej Niwy bywają nazywane Prawią, a Nawie Nawią. Ziemia jest nazywana Jawią – światem widzialnym. Weles, jego żona-siostra Nyja i synowie Lelij-Lel oraz Polel-Sowica są Panami Weli.

[18] Chodzi o wydział G-12, czyli Wydział Poszukiwania i Kontaktów w Rzeczywistości (przypisek tłumacza).

[19] Pojęcie ojca chrzestnego jest tutaj jedynie archaiczną starożytną formułą – chodzi o opiekuna i przewodnika, który ma obowiązek opiekować się podopiecznym jak sam „anioł stróż” – to znów pojęcie archaiczne. Ta opieka ma, bardziej niż z religijnym pojęciem Nieba, coś wspólnego z gangsterką lat 20. XX wieku przed Rewolucją Ekologiczno-Humanistyczną (REH). O ile rozumiecie co znaczy pojęcie „gangsterka”.